

**Sokrat Janowicz**  
**Białoruś, Białoruś...**

KAMUNIKAT.ORG

**Iskry**  
**Warszawa 1987**

KAMUNIKAT.ORG

# **Sokrat Janowicz**

## **Białoruś, Białoruś**

KAMUNIKAT.OJIS

Projekt okładki  
**Michał Piekarski**

Redaktor  
**Barbara Budzianowska**

Redaktor techniczny  
**Anna Kwasniewska**

Korektor  
**Grażyna Henel**

Wydanie I

ISBN 83-207-0837-0

© Copyright by Sokrat Janowicz 1987

Polacy i Białorusini mają za sobą sześć wieków wspólnego losu, więc i podobnej historii. Od momentu, kiedy wprowadził się na Wawel Władysław Jagiełło, król. Białoruś, stanowiąca o Wielkim Księstwie Litewskim, przeistoczyła się w istotny obszar państwa federalnego, Rzeczypospolitej Obojga Narodów, powołanej do życia unią lubelską w 1569 roku. Jej świetność i upadek, zwycięstwa i klęski, dobro i zło, były obopólnym udziałem; u nas o wiek wcześniej wyschły źródła życiodajne, gdyż byliśmy słabszą stroną tego związku. Odradzaliśmy się z wielkim mozołem i z polską pomocą. Nowe czasy, do dziś pamiętane lata, przyniosły odpowiedzi nieoczekiwane zgoła, zdawałoby się, że niektóre z nich wręcz przekreślające cały ów dorobek ponad pół tysiąclecia. Tak jednak nie jest.

Niemniej myli się ten, kto mniema, iż otwierając tę oto książeczkę ma wreszcie przed sobą wykład schludnie uporządkowanej historii adoracji wzajemnej między Białorusią i Polską. Nie przeczę, że ktoś kiedyś powinien napisać taką rzecz (naukowo i dokładnie!). Mnie natomiast idzie tu o co innego, o wywołanie u czytelnika takiej właśnie potrzeby po to, by przyszła wiedza, będąca jej owocem, stała się integralną częścią naszej kultury. Dzisiaj, niestety, jesteśmy pod tym względem najczęściej analfabetami!

Chcę unikać chronologii; i to nie tylko korzystając z uprawnień, jakie daje gawęda, i nie dlatego, by nie nudzić, ani dlatego, że czytelnik mój jest wyposażony głównie w narodowe,

pozabiałoruskie zestawy narzędzi myślenia historycznego. Wygłaszam eksprompt, długą improwizację, że się tak wyrażę, o pilnej już teraz konieczności powszechnego uświadomienia sobie tego, że nie można być pełnowymiarowym Polakiem czy Białorusinem bez pewnych wiadomości w bagażu intelektualnym. Zanotowałem tylko swe odczucia i konkluzje, wsparte wiedzą na ten temat, odwołując się do niej z okazji wybranych, istotnych dla ciągu znaczeniowego wydarzeń i okresów zbyt jednostronnie naświetlonych, a zarazem jakoś determinujących osobowość zbiorową obydwu narodów. Więc w tym pisaniu swoim celowo orientowałem się na podstawowy zestaw informacji kulturalno-historycznych, które posiada przeciętnie wykształcony mieszkaniec dzisiejszej i wczorajszej Polski. W tym oczywiście sporo zamierzonej polemiki mojej z poglądami, którymi żyje dom i ulica w naszym kraju.

Jeżeli ktoś, wskutek tej lektury, wybierze się do czytelnicy lub biblioteki, by sięgnąć tam po wiedzę głębszą i szerszą, obojętne dla mnie, za czy przeciw, będę uważał, że nie napracowałem się niepotrzebnie.

Stawiam przede wszystkim pytania, a to już jest dużo. I serdecznie dziękuję za umożliwienie mi tego!

*Sokrat Janowicz*

Czy to raz się bywało w Krakowie! Pamiętam ze swej młodości (pozetempowskiej) pijane wycieczki zakładowe z Białegostoku do Zakopanego i Morskiego Oka z postojem w tej starej stolicy, zwiedzaniem Wawelu z murowanymi grobowcami, oglądaniem dzieła Wita Stwosza w Mańackim, zadzieraniem głowy na podniebny trębacz, i wino zapamiętałem w kawiami sukiennickiej (gdzie cichcem wzbogacano je sobie żytniówką z „piersiówki”). Och, bachusowy liryzm owych eskapad! Nawet dziś nie czuje się serio wstydu za nie, za takie, a nie inne, lata i chmurne i durne... W albumach rodzinnych zachowały się zdjęcia z mojego (z Tanią) łażenia po Rynku Głównym w okropną odwilż lutową sześćdziesiątego czwartego; na Floniańskiej gotowym runąć wprost w błocko, byleby krzynę pospać, tak mi dał się we znaki powrót całonocnym i przepelnionym pociągiem z gór, gdzie wczasowaliśmy w „Bristolu” nad potokiem, saneczkując na Lipkach.

Byłem po pierwszutkich miniaturach prozatorskich, takich sokratkach, które — teraz to wiem — określiły moje dalsze męki pisarskie. Chodziliśmy na Harendę, po wspominki Kasprowiczowej; oglądaliśmy Witkiewiczowski kościółek na Antałówce; z bukowińskiej drogi patrzyłem na panoramę Tatr oczyma Tetmajera. Byłem niewątpliwie złym Białousinem, bardzo etnicznym jeszcze, skoro nie zdawałem sobie sprawy z tego, że oto i tutaj, w tym krajobrazie, w którym gasł na gnuźlicę

Ivan Łuckiewicz z kohorty najpierwszych naszych bojowników, także poczyniła się wielbiona przeze mnie Białoś! Po burzliwych latach 1905-1906 mianowicie wyemigrowała w te strony galicyjskie poetessa Młodej Białorusi — Ciotka, Alojza Paszkiewiczanka. Ta artystowsko narwana rewolucjonistka również dostała suchot i ratowała się podgiewonckim klimatem, zarazem studiując na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kto wie, może w którejś z tych chat szerniałych, na gacie Gubałówki albo pod Nosalem, zamieszkiwała właśnie ona, odbywając spacerów gdzieś do Białego Potoku czy w Dolinę Kościeliska i obmyślając swe smutne wiersze: „Z czużyny” („Z obczyzny”), „Hadańnie” („Wróżba”), opowiadanko „Navahodni list” („List noworoczny”)... Jak mógł ją przemilczeć Jan Huszcza w wyborze „Wiersze białoruskie” z 1971 roku?!

Kraków stale przewija się w dziejach białoruskich, i by je jakoś po swojemu dopowiedzieć, będąc wracał do tego miasta zarówno wyobraźnią jak i swą cielesną bytnością. Ot, choćby poszukać na cmentarzu wojskowym z dwudziestego roku grobu Aleksandra Pruszyńskiego, pisarza i czołowego budowniczo go idei białoruskiej, który jest powszechniej znany pod pseudonimem Aleś Harun. Odszedł w wieku dokładnie Chrystusowym, wycieńczony zesłaniem nad syberyjską Lenę i dobitý potem dwulicową polityką Piłsudskiego wobec zielonej w sprawach bytu niepodległego Białoruskiej Republiki Ludowej, tej próby zrealizowania przez zaszczyty chłopski naród aspiracji do suwerenności.

Inicjując w lipcu 1953 roku trochę filomacką imprezę: Sajuz Biełauskich Patryjotau (Związek Patriotów Białoruskich), wiedziałem, że krakowską Alma Mater ukończył i uzyskał w niej tytuł doktora nauk wyzwolonych Franciszek Skaryna, syn kupiecki z Połacka (Połocka) i ojciec Renesansu na Białorusi. Wygłosiłem wtedy o nim referat, w przedźniwną niedzielę upalnego lata na poddaszu pożydowskiej chaty, u Hryszy



Harbuza, w moich cudownych Krynkach; mówiłem do kilku kółkowiczów z tamtych początków insurekcji kulturalnej polskich Białorusinów. Kto wie — gadaliśmy — czy Skaryna nie przejeżdżał ongiś akurat przez Krynki, to miasto zyguntowskie na szlaku z Litwy do Korony?... W jedenaście lat po owym sztubackim konspirowaniu się ze swą tęsknotą do poznania przeszłości ojczyznej, tamtego popołudnia krakowskiego, w pluchę, fotografowałem swoją Tanię na dziedzińcu Collegium Maius, koło studni niegdysiejszej, wyobrażając sobie żakowską postać Skaryny w podcieniach krużganków italskich... Franciszek, syn Łukasza z Polacka, zapisał się na fakultet filozoficzny w semestrze zimowym 1504 roku, płacąc wpisowe: Franciscus Luce de Poloczko 2 gr. Słuchał wykładów Jana z Głogowa, tłumacza Biblii na starosłowiański.

Okazał się nie lada studentem ten Litwin (tak nazywano ówczesnych mieszkańców Białej Rusi, współczesnych nam Litwinów zaś — Żmudziniami). Pod datą 13 grudnia Anno Domini 1506 zanotowano w rocznikach uczelni, iż stopień bakałarza, wśród piętnastu innych, otrzymał także: „Fran. de Poloczko, Litphanus”.

Drugi ceniony doktorat, z medycyny, Skaryna obronił na egzaminie eksternistycznym w Padwie dnia 9 listopada 1512 roku wobec Świętego Kolegium składającego się z dwudziestu czterech profesorów, którzy to jednogłośnie uznali, iż on, wielce uczony, acz ubogi młodzieniec Franciscus, nigdy nie oglądany przedtem tutaj Ruthenus (czyli Rusin), jest jak najbardziej godny tytułu „Doctor in Medicinis”. Nastąpiła prześwietna celebrowanie rytuału akademickiego w pałacu biskupim, a przewodził jej kardynał Sycstus della Rovere, bratanek mecenasującego artystom Odrodzenia włoskiego papieża Juliana II; niebawem jego wicekanclerz.

Uczeni do dziś głośnią się nad zagadką dopisku przy nazwisku Skaryny w aktach z Padwy: „Rutheni, secretani regis

Datis" — Rusin, sekretarz króla Danii. Jak dotychczas, pytań bez odpowiedzi jest tu parę. Gdzie przebywał on po opuszczeniu Krakowa i w jaki sposób zdobył tak rozległą wiedzę lekarską (że ważył się na ekstemę!), no i jak to się stało z tym sekretarzowaniem monarsze Królestwa Duńskiego? Ślady prowadzą do Kopenhagi, to pewne. Więc być to może, iż ten młody adept nauk, zachwalany przez jego magnificencję jako biegły w sprawach Wielkiego Księstwa Litewskiego, będącego przecież w unii z Królestwem Polskim, dołączył do poselstwa Zygmunta I, które udawało się w lecie 1509 roku negocjować ugodę z Duńczykami... W każdym razie tam wszechnica istniała od 1479 roku i miała poważną renomę. Przejście więc na służbę duńską, przy nikłych interesach tego państwa na Wschodzie, kończących się raczej na hanzeatyckich miastach pobrzeża bałtyckiego — Rewlu, Rydze i niewątpliwie Połacku — nie obciążało go zbyt, dając mu zarazem szansę na studia wraz ze skromnym utrzymaniem. Tak się domniemywa;

archiwa kopenhaskie bowiem czekają na badacza wczesnych dziejów białoruskich.

Pogrążony w przywoływaniu wizji Złotego Wieku, koniecznie z zapachami pieczywa z grubo mielonego w żarnach ziarna i piwnic z pobrzękiem glinianych kufli, zwidując opastych mieszczan strojnobogatych i ich strzelistookie połowice z domieszką gorącej urody południowej, podniecające się bałaganiącymi żakami w obcisłym odzieniu, którym nie zbywało na kawalerskiej uczynności; rojąc sobie ów tameczny rozgardiasz z niemczyzny, włoszczyzny, ruszczyzny, w którym to polski był, jak i one, jednym z wielu na Szewskiej czy Grodzkiej — nie miałem w ogóle pojęcia o Mikole Husouskim, twórcy „Carmen de bisonte”, przepysnej poemy łacińskiej o Litwie-ojczyźnie, puszcz ostępach nad Dnieprem i Berezyną. Gdzieś tują tłoczono, w oficynie podwawelskiej, w 1523 roku.

W „Kalendarzu i klepsydrze” Tadeusz Konwicki, odpowiadając mi, nazwał Dobronią swoją Białoruś Inianowłosą, na jego wycucie „za dobrą, za łagodną jak na nasze czasy...” Ciągłe odnajdujemy swych wielkich, przedzierając się przez nawarstwienia obcej kultury, kiedyś i obecnie. Trafiono na diament rodziny najwyższej próby, to znaczy na dorobek Husouskiego. Może trochę na usprawiedliwienie swej niewiedzy powiem, że w naukowej historii literatury białoruskiej od czasów najdawniejszych po schyłek osiemnastowieczny wydanej w Mińsku 1968 roku autorowi „Pieśni o żubrze” poświęcono... piętnaście linijek akademizującego tekstu! W Encyklopedii Białoruskiej z 1971 — już nieco więcej. Jak trzeba było Dostojewskiego, by otworzyć oczy Rosji na Puszkina, tak kultura nasza doczekała przynajmniej niezgorszego tłumacza twych łacińskich i polskich wschodów w osobie Jazepa Siemiażona. To dzięki niemu objawiła się nam z nagłą ta postać równa Skarynie, godna wpisania do rejestru rocznicowego UNESCO. (Białoruska SRR należy do elitarnego grona członków-założycieli ONZ). W dziesięć lat po ukazaniu się wzmiankowanych wyżej, jednak kompromitujących dla ich autorów notatek, kultura europejska otrzymała w darze piękną albumową edycję „Carmen de bisonte” z równoległym przekładem białoruskim tegoż Siemiażona (on to przekładał i „Pana Tadeusza”). Utwór ten zrodził się z inspiracji papieża Leona X. Nasłuchawszy się od zachwycającego Rusiczyna ze świąty dyplomatów biskupa Erazma Ciołka opowieści o łowach, poprosił tego dworzanina o ich opisanie. Tak więc Husouski wracał z Italii do swej krainy jezior i borów już ze sławą wziętego poety i rozgłosem sięgającym Zachodu. Mówiono o nim w Rzymie jako o bardzie słowiańskim (znakomicie pomogła mu w tym międzynarodowa naówczas łacina, którą gustownie wysadzał brylancikami białoruszczyzny).

Wiem — wiem, że Mikoła Husouski funkcjonuje w piśmiennictwie polskim. To Mikołaj Husowski; i bynajmniej nie od

wczoraj (jak Symon Budny jest Szymonem Budnym). Naraziłem się prowincjonalnym decydom, zawiadującym instytucjami ruchu umysłowego u nas, pisząc — to nic, że za samym Cate-Mackiewiczem — o białoskich wpływach i wręcz oryginalnej twórczości w tym języku pisarzy Baroku, Oświecenia, Romantyzmu, Pozytywizmu, a także Miodopolaków wywodzących się z Zabuża. Miano mi to za bezczelne podkradanie cudzego, ani trochę nie rozumiejąc, iż aktywność kulturotwórcza nie jest możliwa w przysłowiowych zamkniętych czterech ścianach, bez rozwartych okien, bowiem dostaje ona wówczas rozległego zawalu. Czyż zaistniałby największy z naszych klasyków nowożytnych, Janka Kupała, gdyby nie chłonał także poezji Młodej Polski (pod której silnym wpływem początkowo pisywał)? Nie wyobrażam sobie i Mickiewicza, pędzącego żywot w intelektualnym zaduchu warszawskich salonów. Powtarzał mój szkolny polonista: im dalej na wschód, tym więcej poetów... Przesadzał? Przesada służy przecież uwypuklaniu czegoś! Zjawiska znaczące — niczym rozłożysta i owocodajna jabłoń, która czerpie swe soki również z najbliższych grzęd w ogrodzie różności. Prawdą jest, iż bez „Pana Tadeusza” nie wiedzieć jak długo czekalibyśmy na własny epos „Nową ziemią” („Nowa ziemia”) Jakuba Kolasa vel Kastusia Mickiewicza (też z Nowogródzczyzny). Jak i sprawdzone jest to, że najgłośniejsz sławiony z rodziny literackiej Mickiewiczów, Adam, rozczytywał się w „Carmen de bisonte”.

Nadarzyła się wyjątkowa okazja odwiedzenia rodzinnych stron obydwu geniuszy — wieszczą Adama i pretendującego do rangi proroka, Jakuba. Pojechaliliśmy całą ferajną literacką — z Jazepem Siemiażonem i Janka Brylem, weszliśmy na słynny kuhan obok grodu zamkowego, usypany w latach dwudziestych, i wraz z wiemy ludem pobyliliśmy w katedrze, w której żenił się 2 Zofią Halszańską Jagiełło; chlapałem się w przejrzystej Świtezi w Płużyńskim borze, ciągnęło i do Tuhanowicz, ale tam, ponoć,

prócz kilku dębów niczego więcej nie ma... Niemało gadało się o tym przepięknym pożegnaniu uchodzących w mroki niebytu, ponurych dla nas czasów szlacheckich, o ostatnim zajeździe na Litwie.

Brył: Mickiewicz myślał nie tylko o zakątku, w którym się urodził, spędził dzieciństwo i młodość — myślał o Białorusi. Z woli niełaskawego nam losu wypadło nazywać ją oficjalnie, w języku władców, Litwą. Niemniej jednak nikt z wielkich nie mówił o języku ojczystym uciskanego, biednego Białorusina tak, jak zrobił to on, Adam Mickiewicz, z wysokości europejskiej trybuny nazywając ten język najbogatszym i najczystszy z wszystkich języków słowiańskich — charakteryzującym się podniosłą prostotą. Kawał serca włożył w nasze pola i ostępy puszczańskie, jasną Świteż, bystry Nioman (Niemen), wschody i zachody słońca, w delikatne białe obłoki, mrok i gniew ulewnych burz, w niebotyczną mądrość gwiazdzistych nocy. Poczynając od pierwszych młodzieńczych ballad i romansów, poprzez spokojny, szeroki nurt „Pana Tadeusza” — wszędzie z niezwykłą siłą i nieodgadnionym urokiem żyje cudowna przyroda białoruska, jej niepowtarzalność, głęboko osadzona w dźwięcznym słowie polskim.

Mowa ta zgodnie współżyła z polszczyzną; do „darcia kotów” doszło później.

Gros łacinizmów, germanizmów, rzeczowników węgierskich i słówek orientalnych, a i nieco czechizmów trafiło do starobiałoruszczyzny za pośrednictwem polskim, najtłumniej w schyłkowej dobie bojów reformacyjnych i kotrreakcji na nie. Mnóstwo z tego ostało się w słownictwie Białorusinów i nic w tym nienaturalnego: to przewyższający ich cywilizacyjnie Polacy stanowili o tym państwie federacyjnym, Korona — O związku z Wielkim Księstwem Litewskim (od 1569 roku — Rzeczpospolita Obojga Narodów według przegłosowanej nomenklatury). Ten sojusz mocnego ze słabym, zwyczajnie, przyniósł i korzyści

rusińskiemu wspólnikowi, chociaż, oczywiście, nie tylko, nie same jeno pożytki... W dwa pokolenia później, w 1596 roku nader ostro sfinalizowano podpowiadaną unię cerkiewną, by jeszcze w sto lat później stopniowo zaprowadzać język polski jako urzędowy od Białowieży po Smoleńszczyznę, od Polesia po Inflanty. Na pytanie: czy doszło aż do zakazu używania języka białoruskiego w urzędach w tych stronach, historycy, nawet niechętni Polsce, nie znajdują twierdzącej odpowiedzi.

Zwiedzam Wawel niczym jakiś żałobnik i nijak nie mogę wybić sobie z głowy tych parametrów degeneracji idei jagiełłońskiej! Paweł Jasienica nie bezpodstawnie wyrzekął, iż źle przysłużyła się losowi polskiemu owa polonizacja, wpuszczająca Kłaków w nie swoje, zbyt cenne i szkodliwe interesy, w ostatecznym efekcie ograniczająca potencję i dynamikę królestwa przejętego w spadku po Kazimierzu Wielkim. Jasienica miał swoje uzasadnienia, po zapoznaniu się z którymi na niejedno otworzyły mi się oczy. Ale nigdy nie są możliwe ustalenia absolutnie pewne i pełne – życie bowiem jest diabelnie niejednoznaczne, a fakty, zawsze z bezdenną głębią, są przez nas z grubsza za ledwie sformułowane, ot, łódek przymrozku, nadający wyrazisty zarys rozlewisku, i chyba tylko na to. pozwala wykształcony w nas oddech myślowy porządkowania.

Bo, zdawałoby się, drobne zdarzenie: żołdacy Batorego wracający spod Pskowa, rozfanatyzowani, podochoceni biciem schizmatyków, pochwycili heretyka Szymona Budnego, biorąc go z bandycką rozkoszą na męki, a i pławiąc w rzece, póki nie przysięgł im zaprzestać ataków na katolicyzm, więcej — wspomagać jezuitów w ich ekspansji na wschód. Być może w rechoście nienawiści wołano o posłanie Kalwina na stos, chociaż kroniki milczą o tym... To Batory, ten Madziar, unuchomił perpetuum mobile fobii religijnych na kresach; pod Haliczem Węgrzy palili cerkiewki wraz z wiernymi! Właśnie on — i Człowiek Zachodu, prącego do wojen wyznaniowych;

jagiellońska epoka pokoju między narodami Rzeczypospolitej odchodziła w rzewną przeszłość. Nieuniknione to było? Budny, nie bez kozery zwany poprzednikiem Spinozy (przypomnijmy: litewski absolwent Akademii Krakowskiej), uparcie uprawiał protestancką krytykę urzędowych dogmatów chrześcijańskich, sporo drukując w starobiałoruskich oficynach Radziwiłłów i Astapa Wałowicza. Jak przystało na koryfeusza Złotego Wieku, swobodnie czuł się i w piśmiennictwie antycznymi w ówczesnym życiu europejskim; w służbę swej twórczości ze swadą zaprzęga łacinę i polski. Gra wysoko! Ruś Biała, to było dobre dla Skaryny czy Husouskiego; stawiał na całe imperium szlacheckie (urodził się na Mazowszu, w bliżej nie zidentyfikowanych Budach — stąd i nazwisko).

Czy odwiedzał Kraków po ukończeniu tam swych nauk? Odpowiedź powinna być twierdząca, pomimo braku pewnych wiadomości.

W siedemnastym wieku o Krakowie coraz mniej w annałach Białej Rusi. Jan Biełabocki, intelektualista — gdzieś ze Słuczczyzny? — trochę włóczył się po dzielnicach koronnych, studiując w Toruniu i za granicą. To, jak skończył, urasta do symptomu wyrodnienia stosunków polsko-białoruskich, jeśli patrzeć na nie z dystansu wieków. Ten innowierca o wszechstronnej wiedzy został wygnany przez jezuitów do Moskwy, której ciągle daleko było do czasów Piętrowych. Europejczyk w każdym calu, piszący rymowane traktaty filozoficzne, rzecz rozumiała, musiał „podać tyły” w tym źle znoszącym myślenie carstwie; na nic mu się zdało nawet przechrzczenie się na Andrieja... Roku jego śmierci nikt nie zanotował.

Ów typowy później chwyt wielkopaństwowych ciemnogrodzian wobec aspiracji autochtonów, do którego uciekano się już odruchowo aż do upadku... Drugiej Rzeczypospolitej, można by określić „wariantem Biełabockiego”. Wzywam tutaj na świadków cienie polityków

zachodniobiałoruskich, zaszczytanych przez piśsudczyków (do czego będę powracać w dalszych partiach swej relacji).

Przypadkiem raczej, w parę lat po czterechsetleciu zawarcia tego matrimonium politycznego między Koroną a Wielkim Księstwem Litewskim (1569 r.) i zrodzeniu tworu państwowego Rzeczypospolitej Obojga Narodów, znalazłem się w mieście Biernata, gdzie dokonano owego przedsięwzięcia ogromnej wagi historycznej. Nie fetowano rocznicy (myślę, że długo nie będzie to łatwe...). Pochodziłem po zabytkowych uliczkach, siłąc się na Rejowskie widzenie Litwina w Lublinie (dał się obrobić łapczywej kurtyzanie, rozeznającej się w rozgorączkowanym miłośnie białoruskim gaworzeniu nadzianego mamoną capa). Zaniósł mnie i na Zamek, wonczas rozbebeszony remontem kapitałnym; w gąszczu rusztowań nie zastałem żywej duszy. Tym lepiej, bo przez nikogo nie nagabywany dumałem sobie do woli.

Do tej unii w sześćdziesiątym dziewiątym parł bojarczyk-szlachetka z twardo rządzonej przez kniaziów Litwy i Żmudzi (po dzisiejszemu — z Białorusi i Litwy). I choć białoruszczyzna w kancelarii wielkksiążęcej i namiestnictwach miała dominować mniej więcej przez wiek i to z „hakiem”, to jednak w nowych warunkach strumień polonizmów i podpolszczonych latynizmów rozlanych na jej przestworza zdecydowanie zyskał na sile. Jednocześnie dopowiedzmy: nie było to takie złe — potrzebne pożyczki bogacą język, usprawniają go jako narzędzie używane w obrębie rozwijającej się technologii bytu, pod względem leksykalnym czynią go partnerem innych języków. Jak do wyjątków należą jeziora bez dopływów i odpływów, z góry skazane na wysychanie, tak i białoruski żywioł językowy wirował także i w stronę polskiego akwenu. Świetnie rozumiał to, na przykład, Łukasz Gómiński, popierając wzbogacające polszczyznę nowalce pojęciowe z sąsiedztwa. Rozwinął tę myśl Grzegorz Knapski w przedmowie do wydanego przezeń w 1621 roku słownika polsko-łacińsko-greckiego! Wypowiadając walkę



barbaryzmem cenił zarazem ożywcze białorutenizmy i inne inkrustacje słowiańskie. Dobitnie potwierdziły to badania prowadzone na Uniwersytecie Łódzkim, prace między innymi, Olechnowicza z 1964 r.

Wytworzyły się niezwykle korzystne układy dla przyszłych stosunków białorusko-polskich, niestety, pogrzebane z kretesem przez politykę bardzo państwową, która — o czym stale przekonujemy się — wcale nie musi sprzyjać dobru narodowemu... Konstytucja Trzeciego Maja w ogóle przekreśliła Litwę! Czarna dziura antymaterii kulturotwórczej tutaj poszerzała się przez siedemnaste i osiemnaste stulecie, pochłaniając takie ośrodki jak ongiś mocarny Połack czy Radziwiłłowski Niaśviz (Nieśwież) z Mahilowem (Mohylewem) na dokładkę, także i samo Wilno. Daniel Beavois — znawca dziejów Uniwersytetu Wileńskiego, założonego całkiem wcześnie, bo w 1579 roku — stwierdził w konkluzji swego dzieła, że ową słynną w pierwszej ćwierci ubiegłego wieku uczelnię animowała nieduża grupa wybitnych mężów uczonych oraz kilka roczników nieprzeciętnej młodzieży, a wszystko to razem osadzone było w intelektualnej pustyni kresów północno-wschodnich.

Pomedytowawszy nad ruską genealogią nazwy Lublin (dość powszechną u Słowian toponimią — Lubin, Ljubljana), pofolgowałem na koniec swym męskim skłonnościom, zerkając na pięknotki wielkowiejskie, w rysunku lic których Czekanowski niechybnie dojrzałby cechy polowieckie, karnację postscytyjską oraz irańską czamobrewość, co dodawało tyle czaru Ukrainkom ze stanic nadnieprzańskich. Ciekawe — kombinowałem — że jest to najbardziej widoczne u kobiet, czyżby to był materiał konserwatywny biologicznie...?

Wracałem do białostockiego mieszkania „luxem”, wymęczony do granic maligny. Gdzieś za chmurnym horyzontem z lewa miałem Siedlce z Pogonią — herbem miejskim, owo podlaskie siedliszcze na granicy z Koroną sprzed 1569 roku, to jest sprzed

inkorporacji Podlasia, województwa ze stolicą w Drohiczynie, gdzie w cerkwi katedralnej Daniłowicz (ano tak, Roman, trzy wieki wstecz) koronował się na popieranego przez Rzym króla Galicji. Do podnóża drohiczyńskiej Góry Zamkowej, podniewanej przez Bug, kiedyś zawędruję. Owszem, doświadczyłem już tutaj wycieczkowej udręki, wraz z bratem na jego czeskim motocyklu prześląkaliśmy się przez skatolicyzowane i zmazurzone wioski z sołtysami o niepolskich nazwiskach, polnymi drózkami do siedleckiej szosy na Białystok (Białystok).

Ocknąłem się na dobre dopiero na ryneczku w Zabłudowie. Teraz podbiałostockie toto, lecz bez wymienienia Zabłudowa nie może obejść się nawet elementarna historia Białorusi. Znam ja to miasteczko bez porównania gorzej, niż, na przykład, Tykocin, średniowieczną domenę Gasztołdów, wpływowych przeciwników zbliżenia Wilna z Krakowem, wysiudanych ze Smoleńszczyzny i jak na ironię losu otrzymujących refundację w przymazowieckiej i nienawistnej im okolicy, dokąd przenieśli się wraz z wiemy bojarstwem, uykającym przed okupacją moskiewską (Iwan Groźny jeszcze się nie urodził). To za ich sprawą dotrwała aż do Powstania Listopadowego cerkiew tykocińska, oczywiście jako unicka, już, gdzie modlili się praszczurowie zasiedziaty na dobre rodów Sitowiczów, Lewkowiczów, Iwanowiczów z Ruskich Bud czy Ruskich Wsi, spolszczonych od onych czasów, aliści zachowujących w nazwach wyraźne ruskie cechy leksykalne, obecne nawet, hen, w łomżyńskiej gminie Czyżew (ustalił to miejscowy aptekarz, historyk z zamiłowania).

Dotychczas istniał jakiś ład w tej wzajemnej tolerancji — wileńska kongregacja unicka w 1636 roku, więc za Władysława IV, wręcz zobowiązywała parochów wygłaszać kazania „ruskoju mołwoju”, w miejsce martwej cerkiewno-słowiańskiej (nie mylić, na Boga, z rosyjskim; w Moskwie i okolicy zwano ten język z Rzeczypospolitej — białorusyjskim). Wcześniej dom wydawniczy braci Mamoniczów tłoczył „Statuty” i „Trybunały”, do tego

stopnia nowatorskie i ważne kodeksy praw Wielkiego Księstwa Litewskiego, że wnet tłumaczono je w sąsiednich dworach europejskich, takż i po polsku doliczono się około dziesięciu ich edycji, wstrzykujących do gwary specjalistycznej jurysdykcji urzędów koronnych szereg niezastąpionych terminów i zwrotów. (Oto próbka: „Ustawiuem też, chcąc to mieć i przekazuiem, aby w każdym takowym Powiecie, gdzie sąd Ziemski jest w i Zamku abo dworze naszym, Sędzia, Podsędek i Pisarz Ziemski, pospołu z szlachtą i wszystkimi innymi stany opatrzyli i zbudowali takowe mieysce, gdzieby zawżdy księgi Ziemskie beśpiecznie od wszelakiej przygody były zachowane. Przeto Woiewodowie i Starostowie sądowi w każdym woiewodztwie, ziemi i Powiecie w Zamku abo dworze naszym sądowym, schowanie dobre i warowne postąpić im na to winni będą).<sup>1</sup>

Kancelarie królów Rzeczypospolitej w dziełach tyczących się Księstwa i Podlasia pracowały w języku starobiałoruskim, dysponując sztabem odnośnych skrybów (ponoć takim był pradziad Andrzeja Tadeusza Bonawentury Kościuszki, zwyczajem ówczesnym dorabiając się na tej funkcji pisarzuczka niebłahych zysków). Szlachta z odłączonego na rzecz Korony Polskiej Podlasia, w poczuciu „lepszości”, zabiegała u Zygmunta Augusta o to, by pisma królewskie od tej pory słano do niej jużci po łacinie, jużci po polsku, a nie po rusku; ale sejm musiał liczyć się z nadal żywotnymi prądami niepodległościowymi w sfederowanej Litwie i bezwzględnie odmawiał tym ambicjonalnym petycjom. Pamiętano zapewne i o bliskich powodzenia w Rzymie, popieranym przez Jagiełłę i cesarza Austrii, zabiegach Witolda, by koronować się na monarchę (insygnia przechwycił Oleśnicki).

---

<sup>1</sup> Statut Litewski z 1529 roku w: „Białoruski Kalandar na 1984 hod”, Białystok 1983, str. 111-112. Autorem tłumaczeń z języka białoruskiego zawartych w książce jest Sokrat Janowicz.

Był on zbyt wielkim politykiem i władał naprawdę olbrzymim państwem, od przedpoli Moskwy po Zamość, aby móc zadowolić się rolą wasala Jagiełłowego.

Powołuję się na najświeższe głosy historyków, którzy wcale nie są tak pewni dziś tego, iż prapoczątków Wielkiego Księstwa trzeba doszukiwać się w okolicy wileńskiej Aukstocie. Bynajmniej! Wzrok swój kierują oni na też nowogródzką Górę Zamkową, ową podniebną resztkę wczesnośredniowiecznej twierdzy i ośrodka gospodarczo-politycznego, gdzie półmityczny Mendog obwieścił się królem Litwy (1253 r.). Ciągłe płacze się nam dawne rozumienie Litwy ze współczesnym. Otóż Litwinami były plemiona wschodnich Bałtów, które to, ulegając słowiańskiemu żywiołowemu naciskowi, przeistoczyły się w substrat jakościowo nowego zjawiska etnicznego, mianowicie białoruskiego. Księstwo Połockie, z racji uwolnienia się spod kurateli Rusi Kijowskiej wykreowane na symbol mielenijny w rekonstruowanej pieczołowicie przeszłości Białorusi, pod względem ludnościowym należy w istotnej mierze uważać za litewskie. Za panowania wspaniałych Bracysławiczów, jak się oblicza, przykroiło ono sobie terytorium zbliżone do połowy dzisiejszej Białoruskiej SRR. Intrygująca jest ta wędrówka na zachód nazw Litwy i Białej Rusi — pierwsza przemieściła się na Aukstotę i Żmudź, czyli Wileńszczyznę i Kowieńszczyznę, druga zaś, wschodząc na Smoleńszczyznę z obrzeżem mohylewskim wyparła określenie Litwa z jego praojczyzny. Może przestaniemy się temu dziwić, kiedy zastanowimy się nad tym, jak to się stało, że — mówię to dla paraleli — nie przypominające potęg państwko Polan dość szybko strawiło dorównujący mu obszar Wiślan; pewnie za sprawą dynastów, a no Piastowiczów etc. Ciekawe byłoby uchwycenie momentu inicjacyjnego w wykształceniu się form nazewniczych — Biała Ruś, Czarna Ruś, Czerwona Ruś, w odróżnieniu od mrowia innych Rusi, które, no właśnie, nie brzmiały tak metaforycznie, z prostymi przymiotnikami

tworzonymi od imion własnych centrów administracyjno-militarnych (Ruś Kijowska czy Moskiewska).

Wywodzę się z Krynek (kilometr od granicy z ZSRR), z Grodzieńszczyzny, tzn. z Czamej Rusi, z dziedzin, które Czekanowski zdefiniował jako zeslawizowane włości Bałtów; Czarnorusin ze mnie, dociekający korzeni rodzinnych stron... Tędy książę Kiejstutowicz galopował na spotkanie z Jagiełłą w marcu 1434 roku: wtedy, w granicznym zamczku krynkowskim, wznowiono unię polityczną między Polską i Wielkim Księstwem Litewskim, tym razem na zawsze! Miasto to moje — zakopane w dolinie, rozsiadłe jak gdyby na półwyspie płycizny przedpotopowego jeziora — z garbów okalających je Łapickich Hor czy Prafitki sprawia wrażenie nagle ujranej

olbrzymiej rafy kolorowych muszli w wodorostach brzoź i topól. Jeszcze widoczne są zapadliska z poczemiałymi dźwiągami fundamentów po gigantycznej rzezi narodów w ostatniej A wojnie. Czas, ów pracowity dentysta, ubytki wypełnia perlistymi domkami i piętrowymi willami. Pierwszy wyruszył na pustkowie zgliszcz mój ojciec, w końcu lat czterdziestych; wznosił dom pośród wzdętych zwalisk cegły i zarośli ostu. Tkwiąc na tym wydziałym, makabrycznym płaskowyzu, pewnej wiosny zauważyliśmy, że ktoś u ujścia Kościelnej do bezludnego rynku wygradza siedzisko. Zrobiło się weselej... Zameczek ów mógł być akurat przy wąskiej Bannej, a w dole, nad Krynką, dziewczyny jak len czerpały wodę i śpiewały o niespełnieniu: Oj, reczańka, reczańka, czamuż ty niapounaja?... Wyobrazić sobie w zgrzebnych Krynkach cztemastego wieku zmierzch tulący się w drewniane uliczki pod słodkimi brzożami! A czy nie szukać poczęcia „miasta krynskoho" na stromej Górze Królowej Bony z nawaliskiem pogańskich kamieni nagrobnych — cmentarzysku na naszych kresach Rusi Kijowskiej. U podnóża szumi gaj i skrzy się bezimienna rzeczka, złocą się niwy Harkawicz, tej wsi bojarów putnych. Najwspanialej jest pod Razbojnikiem, w zapomnielisku

pól. Cisza tam zupełnie nisko, nad samiuteńką ziemią. I bierze chęć pójścia chyłkiem aż na skraj widnokregu, by posłuchać dzwonięcia w Krynkach. W opolu bławatkowe smuci się kwiat miłości, wałuszka-vasilok. Malinowe dzwonięcie...

W siedemdziesiątym dziewiątym kontemplowałem pracę początkującego rzeźbiarza, monument z trójtwarzą ojca narodu białoruskiego: Krywicza, Drehowicza, Radymicza, wojów tegich— by dopowiedzieć za artystę — którzy pojмали roślą Litwinkę, uczyniwszy ją macierzą swych wspólnych synów... Tu nic z wulgarności, Gołubiew w „Bolesławie Chrobrym” smakowiciej podał dwudziestowiecznemu podniebieniu obyczaję erotyczne przodków. Zresztą używam tu przenośni. Rozłożysta Historia nie czuje się gwałcona, wydaje na świat kolejne mioty narodowości; i tych nigdy nie wyrosniętych „młodszych braci”, i imperialnych, dbając też o ich groby. Jedne narody odchodzą w zaświaty, by żyły inne. Niczym w wymianie pokoleń, posługując się nowinkarską frazeologią.

Urodziłem się kilkadziesiąt wiorst od geograficznego środka Europy, który wytyczono w okolicy podaugustowskiej Suchowoli. Na tę panią Europę pozieramy, łapiąc zachodni wiatr... Mocarstwa, metropolie narodowe, także przemieszczają się. U nas, Białorusinów, stolice umieszczano jak najdalej od wschodniej ściany i jakoś zawsze w zatoczku map politycznych (najpierw Połock, potem Nowogródek, po nim zaś Wilno, tzn. Połack, Navahradak, Vilnia).

Kiedy wreszcie ja, zabiegany człowieczek, pozwolę sobie na taki zwykły krok, by pójść na dworzec autobusowy białostockiego PKS-u i wsiąść do podmiejskiego wehikułu, kusującego wahadłowo do Zabłudowa, jednej z sypialń wojewódzkiej nowometropolii? Właściwie po nic, zwyczajnie, położyć turystycznie po tej półwioskowej mieścinie, nie wiem, czy cośkolwiek wiedzącej o swym rozgłosie. Tak to jest: miasta-nuworysze dorabiają się sławy, załopuszając swe przeświecne lenna n,a

krańcach, którymi pomiata nowoczesność. Zabłudów, czyli to, co za Puszcza Błudowską (gdyby tu przeważał etos polski, byłoby zapewne — Błędowską). Zabłudawa, spolszczając — Zabłudowo. Za-Błudowem, per analogiam: Za-Wiercie, Zawiercie... Taka zabawa językoznawcza w tym wypadku jest dorzeczna, nie wytrąca nas z tematu.

Domena Chadkiewiczów (Chodkiewiczów), jaśnie oświeconego pana Hrehora, hetmana, który w elitarnym tłumku podobnych sobie stopniowo zarzuca obronę prawosławia, jako że koszula jest bliższa ciału, i gdyby nie śmierć... Dlatego krótko zabawił na jego dworze zabłudowskim, zaproszony do ^drukowania ksiąg świętych ruskich, Moskal Iwan Fiodorow do spółki z obrotnym Litwinem gdzieś spod Smoleńska, Piotrem Mściślaucem. Oficyna ruszyła — dokładnie to wiadomo — 8 lipca 1568 roku, wypuszczając „Učielnoje jevanhille”, a następnie inne tytuły. Pan Chadkiewicz opatruje je swymi przedmowami i — rzecz znamienita — chce wytłumaczyć się wobec czytelnika z tego, iż trzyma się języka cerkiewno-słowińskiego miast mowy „ludu pospolitoho” w ślad za Skaryną. Ma usprawiedliwienie, niewątpliwie podpowiedziane mu przez świętobliwych i demagogicznych starców: przekład grozi herezjami, izbavi nas ot toho Boże!

Gdzież mogło stać w Zabłudowie tamto dworzyszczce z wielkopanskim pałacem? Bo i w Knyszynie, tej niedosłej stolicy Rzeczypospolitej, ani śladu po zamku Zygmunta Augusta, który przecież zmarł tam (jak przystało na idealistę — w opuszczeniu).

Do pobliskiego Supraśla, również włości tego. zajadłego „schizmatyka”, owszem, zaglądałem, nie tyle dobrowolnie, co z musu; moich znajomków z Warszawki ciągnie do owego weekendowego uzdrowiska, niemożebnie rozdziennikarzonego. Niestety, nie ma już tutaj wspaniałej Dabravieszczanskiej Cerkwi, perły architektury światowej miary; wysadzili ją w powietrze cofający się Niemcy (o kulisach tej tragedii różnie teraz gadają

tutejsi Białorusini). Ocalałe z niej ułamki fresków szesnastowiecznych wystarczają, by przydać sporego rozgłosu placówce muzealnej w byłym Pałacu Opatów (na posesji obok — walące się podziemia z niszami grobowymi monarchów, sprofanowane). Dabrawieszczankę wnoszono w czas ciężkich wojen Wielkiego Księstwa Litewskiego z Moskwą i Krymem; zaczęto w 1503 roku, by w jakieś osiem lat zakończyć budowę tej świątyni, a zarazem twierdzy. „Aby tot monastyr... na naszej otczyźnie ćviordo na wieki stojau naszym spomożeńniem” — zaznaczył w akcie fundacyjnym mniej znany z Chadkieviczów, Alaksandr.

Daruję sobie przypomnienie zasług dużego później wydawnictwa klasztornego, zarówno dla piśmiennictwa Białosinów, jak i polskiego. Trzeba natomiast powiedzieć, iż ostatni druk starobiałoruski „Sobranije pryypadkov kratkoje i duchovnym osobom potrebnaje” — pewnie unicki — ukazał się nakładem tejże oficyny (1722 r.). Później, po sam finał bałaganu saskiego i długo po uśmierceniu imperium lechickiego, nie pojawiło się nic w tej materii. Wraz z polonizacyjną wymianą krwiobiegu kulturalnego na Białosin, tylko w dwa wieki później, powolutku zdano sobie wreszcie sprawę ze świetności zdobywszy serca i ducha już półzapomnianych Litwinów. Literatura starobiałoruska dla dziewiętnastowiecznych twórców pozostawała nieznaną — może najwyżej wspominali o niej wśród biesiadnych napomknień przypadkowo spotykający się erudyci. A zatem:

żadnej kontynuacji! — tego los zaoszczędził innym niszczonej literatury słowiańskiej, które nie doznały podobnej „przerwy w filmie”, zapaści letargicznych. Plamy martwicy na płatach świadomości białoruskiej istnieją do dziś i dają znać o sobie okresowymi płasawicami (cóż my wiemy o naturze epilepsji, szczególnie w organizmie kultury narodowej?!). Białorusini ciepłą niedorozwój narodowy.



Na swój sposób przykuwa mnie całego, wywołując coś z perwersyjnej fascynacji, to niesamowite schorzenie, jak gdyby jakaś wyrwa w nieśmiertelnym ciele ziemi, na dnie której, niczym ze szczętem zetlała tunnę dębową, odnajduje się okrucy skarbów niespodziewanych i niewyobrażalnie wielkich. Naród mój białoruski, żywcem pogrzebany przez macoszą mu Historię, ku zdziwieniu oświeconej i wyfrakowanej Europy powstał z grobu, tu i ówdzie powodując wśród swych nieprzyjaciół pogański wrzask!... Nie wypada, panowie, dokuczać tnu,;że słabuje nieprzyzwoicie przewlekle.

Supraśl jest zasmucającym miasteczkiem. Wbija się ono w głupią dumę na widok pieniących się tu willowatych domów letniskowych, złodziejówek notabli i spekulantów, wnoszonych po cichu i ze smakiem budowniczego schronów bojowych... Wszystko w nich jest przeżarte natrętą myślą i pragnieniem: bezwzględnie podnieść swój standard! A te nawet już i nie mieszczaństwo, które snobowało się przecieźna gustowny wystrój elewacji i wewnątrz mieszkalnych. Boże, co za regres! Czy to aby nie cena, jaką musi uiścić, nie wiedząc O tym, wszelki pośpiech społeczny, wylew nizin na pagóry przyelitarne?

Odwracam się, widzę monaster, gmach o arystokratycznie wymodulowanej bryle; w nim cała pasieka dziatwy długonogiej: Zespół Szkół Mechanizacji Rolnictwa (lepsze to niż dawna stajnia koni huzarskich w zaborze pruskim). Jeszcze jako żonkoś i zawzięty dziennikarz „Nivy” natknąłem się na belfrującego tu kolegę, który zawłókł mnie do swojej kawalerii, najoczywiściej adaptowanej z celi. Popiliśmy tam zdrowo wińska „patykiem pisanego”; za oknem bzyczał chrząszczami maj i gdzieś na przycmentarzu gziły się początkujące dziwki. A mnie, w aurze przed delirium, zwidziały się rozrzucone pergaminy z cyryliczami bukwami, słynny Kodeks Supraski, bez którego, być może, nie byłoby wśród przedmiotów uniwersyteckich języka staro-cerkiewno-słowiańskiego... Odkryto go przed półtora stuleciem w

tychże murach, w księżnicy, i rozdrapano — sto osiemnaście kart trafiło do Lubljany; skromnie jakoś, baszesnaście, do Petersburga; reszta, sto pięćdziesiąt jeden, zachowało się w Warszawie (po wojnie ledwie wydobyliśmy tę zdekompletowaną część aż z USA, z musu bogacąc jakiegoś skurczybyka i pasera dokumentów ludzkości). Na progu szesnastego wieku ktoś tu zbiałouszczył i wykaligrafował Statuty Wiślickie Kazimierza III Wielkiego (tak, Koronie wcześniej zazdroszczono; chciano zlania się z nią?). Coś jest w tym fakcie. Wczoraj mówiłem do bibliotekarzy w Sokółce o „wietrze białouskim” w literaturze polskiej, w owej niegdys Sokółce z klucza dóbr malawickich Bony. Pan Daszuta (pyszne nazwisko żmudzkie!), dyrektor zdegradowanej przez reformy giełkowskie tamtejszej biblioteki powiatowej, wydobyl z regału kserografowany przedruk aktu nadania praw miejskich magdeburskich teje Sokółce w 1609 roku (rutynowe formuły, czyli początek i koniec, spisane są w języku oficjalnym, treść właściwa zaś... po polsku). Skojarzyło mi się to z ustaleniami Martela w jego „La langue polonaise dans les pays ruthenes”, że u schyłku Złotego Wieku pojawiają się w Księstwie pisma urzędowe polskojęzyczne, lecz, dla zgody z obowiązującym w tym federacyjnym państwie prawem, z omówieniami ruskimi (wkrótce akta całkowicie starobiałouskie stają się rzadkością). W księdze kanderza Lwa Sapiehy z lat 1596-1598 zarejestrowano sto pięćdziesiąt siedem pergaminów, z których już dwadzieścia ułożono po polsku, a osiem po łacinie. Wniosek: to załączek procesu porzucania własnego języka przez elitę. Gwałtu na niej można dopatrzeć się w blokowaniu karier prawosławnych hierarchów na terenie własnego kraju i całej federacji (czego nie mógł przeboleć Paweł Jasienica w „Polsce Jagiellonów”), Szedł katolicyzm, a był on ekspansją kultury polskiej. „Góra”, zanim wyrodziła się i przekształciła w element obcy na tle krajobrazu duchowego Litwy, przez jakiś czas próbowała chronić swe korzenie. Sapiehowie, Ostrogscy, najpóźniej weszli w Polskę,

po głębiając dekompozycję Pierwszej Rzeczypospolitej, która, jak się okazało, nie zdała egzaminu jako struktura związkowa wielu narodów (Druga Rzeczpospolita nie odważyła się na próbę powtórki nieudanego eksperymentu; dawała w kość swym mniejszościom pobratymczyrnaż huczało!)

Podskabi litewski Bohusz Bohovitynovicz herbu Korczak tak oto po swojemu testamentowa! się w roku 1529: „Vo imia Otca i Syna i Światoha Ducha. Ja, rab Bożyj Michajło Bohusz Bohovitynovicz, Podskabij ziemskij Wielikoho Kniażestva Litovskoho, Marszałok i Pisar Hospodina Jeho Miłosti, Starosta Słonimskij i Kamienieckij, czyniu i piszu siej testament (...) policaju duszu svoju Hospodu Bohu Vsiederżytelu i Preczystoj Jeho Bohomaterij i św. Ioanu Bohosłovu i św. Cudotvorcu Mikole i św. Archanhełu Michaiłu i Vsim Światym (...) Jeśli Boh miłyj duszu moju s tielom rozdielit, oni majut' tielo moje hresznoje posłali do Kijeva do monastyra św. Preczystoj Pieczerskoj i tam jeho położyli i provod uczyniti i sorokoust hodovyj i upis wiecznyj dati, kak jest obyczaj i ustava cerkovnaja, a potom po vsim cerkvam sobornym Wielikoho Kniażestva Litovskoho sorokousty hodovyje i vbohim na jałmużnu davati, a małoby było tych pineziej ino zboże prodavati i płaty s imienii moich na osień pryjduť, tymi to po duszy mojej spravovati. A na budovanie u Vilnie św. Trojcy — 200 kop hroszy, a obraz św. Mikoły... postaviti u Vitulinie, a nad hrobom moim postaviti obraz św. Antonija i Fiedosija v srebro opravleny. Żonie mojej, Fiedorce, 1000 kop hroszej zapisanych jej na imienijach kuplenych v Jabłycznie, Słovatyczach i Dołhobrodach... Doczce Hannie — dva dvory moi Siemiatyczy i Orla so vsim... A ryznica vsia do Cerkvi Czernickoje doczce mojej Fiedorce... A monastyr św. Borysa i Hieba v Horodnie s dvorom i lud'mi prywłaszczaju k rukam hospodaskim... A czeladź nievolnuju po vsim moim dvoram, vsich na volu vypuskaju (...) A stado moje Siemiatyckoje doczce mojej Hanii, a Kamienieckoje Fiedorce, a Promieźskoje Ulance

(...) A pry tom mojem testamencie byli duchownik moj świaszczeńnik słonimski śv. Płanicy Kuźma (...) Pisan w Słonimie leta Bożeho Narodzenia 1529, listopada 2-ho". (W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Ja, sługa Boży Michajło Bohusz Bohowitynowicz, Podskarbi ziemski Wielkiego Księstwa Litewskiego, Marszałek i Pisarz Jego Miłości, Starosta Słonimski i Kamieniecki, niniejszym czynię i spisuję ten testament (...) polecam duszę moją Panu Bogu Wszzechmogącemu i Przeczystej Matce Bożej, i świętemu Janowi Chrzcicielowi, i świętemu Mikołajowi Cudotwórcy, i świętemu Archaniołowi Michałowi, i Wszystkim Świętym (...)) Jeśli Bóg miłościwy duszę mą z ciałem rozłączy, wonczas mają oni ciało me grzeszne odesłać do Kijowa do klasztoru świętej Bogudzewicy Pieczerskiej i tam je złożyć, i pogrzebać jak należy, i dać na ofiary przepisane, i na wpis na wieki wieków, jak to obyczaj i ustawa cerkiewna nakazują, zaś potem we wszystkich cerkwiach katedralnych Wielkiego Księstwa Litewskiego ofiary przepisane jak i jałmużnę ubogim dawać, a gdyby pieniędzy na to brakło, to zboże sprzedawać, zanim należności z dworów moich na jesieni zebrane zostaną, i tymi dochodami na intencję duszy mojej dysponować. A na budowę świątyni świętej Trójcy w Wilnie dwieście kop groszy litewskich przeznaczam, obraz świętego Mikołaja (...) postawić w Witulinie, a nad grobem moim postawić obraz świętego Antoniego i Teodozjusza w srebro oprawne. Żonie mojej Fiedorce 1000 kop groszy litewskich zapisuję na dobrach kupionych w Jabłecznej, Słowatyczach i Dołhobrodach (...) Córce Hannie — dwa dwory moje, Siemiatycze i Orla, ze wszystkim (...) A budynek przy cerkwi Czernickiej córce mej Fiedorce (...) A klasztory świętego Borysa i Gleba w Grodnie z dworem i ludźmi oddaję w ręce książęce (...) A czeladź niewolną po wszystkich mych dworach na wolność wypuszczam (...) A stada moje w Siemiatyczach córce mojej Hanii, a w Kamieńcu Fiedorce, a w Promieżku Ulance (...) A przy spisaniu tego testamentu obecni byli: duchowny mój z

cerkwi w Slonimiu Kuźma (...) Spisany w Sionimiu w roku 1529 od Narodzenia Pańskiego, w listopadzie, dnia drugiego.

Tak się składa, że niegdysiejsze władania Bohovitynovicza znam z autopsji. Z wyjątkiem Slonima niewiele one mnie, człowieka XX wieku, obchodzą. Nie wsparły rewolucji białoruskiej; nic lub prawie nic nie zrobiły dla podniesienia z klęczek tego sponiewieranego ludu. Słynny skądinąd zbór kalwiński w Orli, w województwie podlaskim, też ni ziębi, ni grzeje... Niech się myślę! Nieodległe stąd Mochnate; pamiętam, jak w rozstłonecznione święto Spasa któregoś lata zakładałem w tej wsi Koło Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Zesła się sama młodź. Dyskusja Reorganizacyjna przeniosła się z pomieszczenia w szkole do sadu, w cień papierówek i koszteli, za kamienną piwnicą wdzięczyły się przejrzałe maliny. O starych dziejach naopowiadałem im, o wspaniałościach przyjaźni i tolerancji; niestety od nich akurat najmniej zależnej... Pisał imć pan Tadeusz Lachowicz w swym raporcie na ręce Izabelli Branickiej, pani na Białymstoku: „Lada, 26.IX.1795 r. Spichlerz mochnacki, którego na ołańską cerkiew projektowałem, już jest przez wojsko rosyjskie zajęty i mamy zapewnienie, że go rozbierać nam nie pozwolą, lecz mamy od J. W. Pana Budziszewskiego rezolucję, aby wydał młyn deptak w Trzewieży mimo pretendowania J. W. Jagmina, i ten będzie nierównie zdatniejszym...”. To wielmożna Branicka, katoliczka, zabiegała o budulec na cerkiew w Orli, co spłonęła (a było to tuż po rzezi Pragi, sprokurowanej przez żołdaków Suworowa).

Stoi ta świątynka prawie dwieście lat.

W mojej małej ojczyźnie, w litewskich wedle staroświeckiego rozumienia Krynkach, mieście, w którym współżyły ze sobą cztery religie — judaizm, prawosławie (w miejsce religii unickiej), katolicyzm, islam — więc w tej ojcowiznie każda droga i uroczysko zdolne są uzyskać rangę miejsca historycznego, o czym tubylcy nie mają nawet pojęcia. Na

tych obszarach wschodziła Polska, ale i Białoruś. Nad dzielnicą Hrodzienską góruje stromizna Szybienicy vel Szubielnicy. Babunia Pałosia (Pelagia), pamiętająca wyjątkowo ciepłe przedwiośnie w porze zniesienia pańszczyzny przez cara-wyzwolicielem (w marcu bosowała z bahasłubą — nabożeństwa), bajła mi o tym wzniesieniu, na garbie którego wieszano „miaciecznikau”. Gnano ich — zapamiętała — w kajdanach, Haradockim traktem z ostępu Pieraciosy... Tu Hrodzienszczyzna (Grodzienszczyzna), najzacieklejszy bastion Powstania Styczniowego, pierwotny rezerwuuar białouiskich odrostów niepodległościowych, przestrzeń dla marzeń o nadrealnym raju dla Białorusi połączonej z Polską, nie zanikające echa bitew hyrnych partii leśnych czerwonego rządu dyktatora Kastusia Kalinouiskiego (Konstantego Kalinouiskiego), zmouszczyka — spiskowca, polityka, publicysty i poety języka białouiskiego (jego młoda śmierć na placu Łukiskim zamykała ciąg widowisk egzekucyjnych Wieszatiela). Dziejopisowicie głowią się nad nie rozszyfrowaną przez kontrwywiad tajemnicą drukami podziemnej Kastusiowej „Muzyckiej Praudy”, gazetki odbijanej widocznie gdzieś w zapadliskach Puszczy Kryńskiej, czy aby nie w głuchej kryjówce za rozlewiskami Sakałdy... (Sokołdy). Kalinouiski jest moim ziomkiem z folwarku Mastaulany (Mostowlany), dwojga imion: Konstanty, Wincenty. W pięćdziesiątym siódmym pielgrzymowałem do tych łąk dzieciństwa owej charyzmatycznej dla Białorusinów postaci z Józkiem Rybińskim, żurnalistą-Polakiem z... białouiskiej białouiskojęzycznej „Nivy” (na emeryturze siadłszy wydał on dużej urody wspomnienia kresowca „Słońce na miedzy”<sup>2</sup>). Jemu diablo nie w smak kreowanie Kalinouiskiego na niepolską wielkość. A cały problem elementarnie prosty, wystarczy powołać się na przykład Domeyki i jego rolę w rozwoju Chile (czy samego

---

<sup>2</sup> Józef Rybiński, „Słońce na miedzy”, Olszty n-Białystok 1983.

Rybińskiego w umuskularnieniu tejże „Nivy”). Nikt nie robi Węgry z generała Bema, choć uchodzi tam za bohatera i wystawiono mu pomnik w Budapeszcie.

Kresy są chronicznie zagrożone walką o duszę. Z tygodnika „Świat” przedrukowałem rewelacje o białoruskich fascynacjach Adama Mickiewicza i Maryli Wereszczakówny i spotkał mnie w Białymstoku zarzut, że podle wykradam Polakom itd., itp. Infekcja nacjonalizmu! Nieprzyjmowanie do wiadomości, że są wielcy równie zasłużeni bratnim czy zaprzyjaźnionym kulturom. Tym ciężiej robi się na sercu, że urażam Polaków, naród uważający się za sumienie Europy, rewolucjonizujący ów kontynent. Stowarzyszenie Patriotyczne „Grunwald” jest dla mnie dowodem, że choroba objawia się w sprzyjających okolicznościach, że nosimy w sobie asortyment zarazków i że profilaktyka — jak mawiają medycy — jest społecznie istotniejsza od leczenia.

Spotykamy ludy, które utrzymały swą osobowość pomimo pozbawienia ich organizacji państwowej bądź szczepowej i podporządkowania wielkim nacjom o sprawniejszej strukturze władzy. Takim ludem są Białorusini, według Mickiewicza: najbardziej słowiańskie ze słowiańskich plemion. Jego pochodzenia i prehistorii trzeba metodycznie doszukiwać się w procesie sławizacji Bałtów wschodnich, rozważając, jak już mówiłem, pokrywanie się domniemanego ich terytorium z zasięgiem akcentu i wymowy białoruskiej. Nie tylko dla fachowców wyraźna jest nieomal całkowita identyczność wzorów najmniej zmiennych — tkanin i strojów ludowych — białoruskich i litewskich, podobnie rzecz wygląda w przypadku strojów rosyjskich i fińskich (Rosjanie z kolei wyłonili się z podłoża ugrofińskiego). Niedowiaćkom polecam tu wspomniane dzieło Czekanowskiego „Człowiek w czasie i przestrzeni”<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> Jan Czekanowski, „Człowiek w czasie i przestrzeni”. Warszawa 1962.

Oto suwalską ciuchcią wróciłem z krainy Litwinów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Znakomicie spędziłem sobotnie-niedzielę wśród nich, nie bacząc na zagranicznie niezrozumiałe brzmienie łowionych uchem pogwarek na chodnikach Puńskasa (Puńsk).

Teraz dopiero dałem wiarę hipotezom akademików odnośnie litewskich cech w mowie białoruskiej, tzw. ciekańniai dziekańnia, tudzież melodyki naszej wymowy. Zagroda Juozasa Maksimovicziusa (Józefa Maksymowicza) w Oszkiniach. W domostwie raban jak przed Wielkanocą — łomocze żelastwem instalator c. o. i w. c., a i zjechały na kanikułę córki z dziećmi i mężami (piękna Ruta poszła za Wałodżkę — Bałtausis z niego, czyli Białosin, doktor zresztą, wykładający na politechnice). Owszem, już po godzinie znajomości z gospodarzem wyuczyłem się zwrotów wymaganych przy stole, przy którym wnuczeta z miast z zapałem litwinizują się w swym naturalnym otoczeniu; białostoczanom najłatwiej ze względu na bliźniacze podobieństwo sporej liczby form białoruskich. W tej pouczającej konwersacji przeszkadza nam udomowiony kruk; wali dziobem podłego kota, którego broni naiwny pies! Legowisko na poobiedni odpoczynek nad Sejwami upatrzyliśmy w bok od wyspy; to tam oszukany kawaler utopił dziewczynę. Duszny wieczór i orzeźwiająca północ spędziłem na konwentyklu w domu nauczycielskim; pomykał w chmury księżyc. Gadaliśmy i nie mogliśmy się nagadać. Nazajutrz dokończyliśmy w wozie dyrektora liceum litewskiego, na wysokości Małego Szelmentu. Otrząsnąwszy się z oczarowania pełną jeziorek doliną koło Smolnik, ruszyliśmy marszem przez morenowe jary, by wreszcie wspiąć się na imponujące zamczysko Szurpiły, owiane legendą o Egii, królowej węży... Z zarośniętych wałów — nie zapomnę tego chyba nigdy — spoglądałem na pobłyskujące fale, daleko w dole, jak gdyby kryjące się w oczerety i łozy z leszczynami, za spiczaste szłomy świetków i jodeł, i czułem jakąś dojmującą nicość swego istnienia; uciekam przed



widokiem głębin otoczonej puszcą w obawie przed narastającą wtedy we mnie chęcią rozplynięcia się w tym wszystkim, samobójstwa! To zew pragniazda? Na szupilskim szczycie? Bo i stąd moi prajcowie...

Dzięki synowi-gitarzyście zjrzałem do „Pogadank o muzyce” Bohdana Muchenberga: „głęboko nastrojowy styl symfoniczny Karłowicza może najlepiej reprezentują dwa poematy symfoniczne powstałe w r. 1906. Są to: »Trzy odwieczne pieśni« — poemat złożony z trzech części, zatytułowanych: »Pieśń o wiekuistej tęsknocie«, »Pieśń o miłości i o śmierci« i »Pieśń o wszechbycie«, opartych na technice motywów przewodnich przenikających całe dzieło — oraz najbardziej chyba popularny poemat Karłowicza »Rapsodia litewska«. Treścią jego jest według słów kompozytora »wiekuista niewola Litwy, pobrzmiwająca w melodiach ludowych tego biednego kraju«. Określenie »Litwa« obejmuje tu wszystkie ziemie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, zamieszkałego zarówno przez Litwinów, Białorusinów, jak i Polaków. W rzeczywistości »Rapsodia litewska« Karłowicza opiera się nie na litewskim, lecz na białoruskim folklorze i wykorzystuje jego oryginalne melodie ludowe”.<sup>4</sup>

No właśnie, skądinąd uczciwy komentarz świadczy jednocześnie o nieświadomości rzeczy jego autora — Litwinem był dla Karłowicza oczywiście Białorusin. Nie zmieniło się w tym nic a nic od epoki Mickiewicza i jego: „Litwo, ojczyzna moja...”, skoro przez calutkie dziewiętnaste stulecie za mówienie po białorusku, niechby i za adres hołdowniczy do cara, dostawało się „murowany” Sybir, aż tak bezwzględnie tępiono ów język (a cóż dopiero ewentualne buntownicze treści!) Powstanie Styczeńowe u nas położyło jeno cegiełki erekcyjne pod gmach uczuć

---

<sup>4</sup> Bohdan Muchenberg, „Pogadanki o muzyce”. Państwowe Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1978.

narodowych, wydawszy ich animatora, poetę Franciszka Bahuszevicza (Franciszek Bohuszewicz — jurysta wileński i bojownik z lasów augustowskich). Na biwakach śródleśnych ochoczo śpiewano: „Hej-ha, razam, chłopcy!” Dotrwały między innymi pieśni wojenne Feliksa Rażańskiego, współtwórcy „Muzyckiej Prawdy”, a potem wygnańca w austriackim Krakowie.

„Rapsodia litewska”. Jesień 1906 roku. Rozsyłano wtenczas do prenumeratorów pierwszą legalną gazetę Białorusinów „Nasza Dola” (na sześć numerów pięć uległo konfiskacie!). A propos, „Trzy odwieczne pieśni” — także z „litewskiego” tworzywa. Mieczysław Karłowicz genialnie opowiadał o Białorusi trwającej bez nadziei (niesamowite jest owo zespolenie pojęć w jedną semantyczną: wiekuista niewola). Kto wczuje się w ten zwrot, nie mało zrozumie z charakteru Białorusina.

W upalny początek czerwca, już w posiepniowej Polsce, złożyła mi wizytę Lynne Maddock, białka z południowo-zachodniej Anglii, z przedpoli mniejszościowej Walii. Zjawiała się u mnie z poznańskiego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, gdzie wykładała angielski. Była to dla mnie dobra pora na zajmowanie się gościem — dokuczała mi niemoc twórcza, taka chandra, kiedy to myśli w nadmiarze, a niepodobna zasiąść do stołu, by cośkolwiek zanotować, zapisać. Wybraliśmy się więc do mojego gniazda rdowego, do Matki, do słonecznych Krynek w melancholijnej kotlinie. Panna Lynne życzyła sobie kontaktu z etosem białoruskim, pragnęła pogрузić się w nim przez dni parę. Domowy obiad i kolacja w ciepłej atmosferze; pójście na groby moich dziadów i na tę Szubielnicę; przechadzka pośród słomianych zastodoli, wythnienie od prawie murzyńskiego buszu zakamarków za gumnem; kume chatyny na Nowej i przedwojenne artezyjskie studnie na wypalanej przez okupanta fabrycznej Pahułance, senna Cerkiewna i chagallowsko malowniczy Zaułek Szkolny z głupio wysadzoną w powietrze przez wojewodę białostockiego Sprychę ruiną dawnowiecznej synagogi (adaptacji

klasztoru unickiego?). Klucząc niefrasobliwie po Bannej, Nadrecznej i Aziaryszczy, zajrzeliśmy do pałku jak z powieści Turgieniewa, ostatku dworu de Viñona (w Warszawie jest mecenas o tym nazwisku, krynczanin?). Niedoszabrowane rozwaliska przed sadzawkami, po których ostały się wspominki, wzmiankowana w aktach gubemi grodzieńskiej manufaktura pańszczyźniana pułkownika Lipharta... Przespacerowaliśmy się pod starodrzewiem Wysadżanki, aleją z wiekowymi lipami i klonami, prowadzącą do traktu na Sokółkę, a w uszach turkotało mi echo kolasy pana dziedzica, którego ja, gówniarz polskoludowy, mogę wyobrazić sobie tylko z lektur w rodzaju „Zapisek myśliwego” czy „Rodziny Połanieckich”.

Opowiadałem Angielce, a opowiadałem! I cóż to takiego ja jej mogłem naopowiadać? Interesowała się istotą poczucia białoruskiego. Faktami — mniej, by nie wpaść w szum informacyjny (dla niej), nieoczytanej w przedmiocie, nie zagubić się w zwaliskach przeszłości. Będąc londyńską nusycystką z wykształcenia, nie rozumiała Polski, bez czego nie mogła zrozumieć losów Białej Rusi. (Na niedocenianiu tego związku przyczynowo-skutkowego sparzył się niejeden historyk na wschód od Białegostoku).

Więc — istota!

O, droga Lynne, gdybym to ja wiedział albo ktokolwiek inny tak na sto procent! Dla mnie (bardziej wyczuwam to, aniżeli rozumiem) świadomy siebie Białorusin to aktywista oświatowy; inteligent, jednakże w pierwszym pokoleniu. Ta świadomość narodowa jest z reguły wyjątkiem, dysponują nią kadry (w Mińsku, stolicy Republiki Białoruskiej, odezwanie się w mowie rodzinnej w miejscu publicznym automatycznie uważa się za manifestację elitarnego statusu). Jest wyzwaniem rzuconym Karłowiczowskiej „wiekuistej niewoli”, zakodowanemu nieomal genetycznie kompleksowi niższości; nie tyle dobrowolnej, co wręcz upragnionej przez generację parobków rezygnacji z samych

siebie. Samozaprzeczenie jako poczucie nieskrepowania, bycia równym wśród równych? Według mnie pisanie białouskie samo w sobie leży w interesie rewolucji społecznej, działa ono bowiem na rzecz nobilitacji tych nizin doli człowieczej, które ciągle są dziejowe przegrane i — czy tylko raz? — skazane na nieistnienie! Nie chodzi tu w końcu o klasę chłopską, lecz o coś nieporównanie bardziej duchowo zdegradowanego. Z braku własnego państwa naród zamienia się w narodowość. Ruś Litewska i Żmudź utraciły i jedno, i drugie; i Wielkie Księstwo, i własną tożsamość. Irredenta kulturalna w dekadzie popowstaniowej nad Niemnem i Dźwiną zapowiadała się nieśmiało drukami ulotnymi — środowiska aktywne kulturowo chłoneły na razie Pozytywizm. Aliści nie kto inny. tylko Maria Konopnicka zdobyła się na wysokiej próby prośectwo w swej korespondencji z podróży na te niepolskojęzyczne kresy: to, co kiedyś zrodzi się z ludu tego, nie będzie ani Polską, ani Litwą, lecz Białousią! Kiedy pani Mańa wyrażała owo przeczucie, apostołowie nowożytnej Białej Rusi dopiero nosili koszulę w zębach albo jeszcze nie przyszli na świat (Kupała i Kołas to rówieśnicy z 1882 roku, Bahdanowicz — urodził się w 1891 roku, w którym staraniem Karłowicza drukowano u Anczyca „Dudkę białouską” Macieja Buraczka, debiut książkowy twórcy podstaw ideologii białoruskiej, Franciszka Bahuszevicza).

Ów czerwiec z wizytą Angielki nie dał mi wytchnienia w drażnieniu pokładów wzajemnych stosunków sąsiedzkich; zjechał z żoną Ferdinand Neureiter z Salzburga, działacz Towarzystwa Austriacko-Polskiego. Znowu przejażdżka do Krynek, przez puszcę jodłową. Trochę kalkowałem trasę wycieczkową; Pałac Opatów i tamże zarys fundamentów bezcennej cerkwi Chadkieviczów...

Popuszczamy wodze fantazji: czyż nie tam oto, na gardle rozlanej Supraśli, musiał być zlokalizowany młyn papierniczy tej prześwietnej oficyny? Wielebny ojciec Ryhor Sasna z Siemiatycz

— Herr Neureiter zna to miasto! — skrzętnie wymienił ponad trzysta pozycji wydanych w tymże ustroniu mniszym po cerkiewnosłowiańsku, starobiałorusku, rosyjsku, polsku, po łacinie i litewsku. A wszystko to miało początek iście kryminalny. Mianowicie około 1690 roku, wprawdzie z polecenia samego metropolity Żochowskiego i przy współdziałaniu Karola Radziwiłła, ale widocznie niezbyt fair, bazylianie z Supraśla wywieźli z wileńskiego klasztoru (jak i oni sami unickiego, ani chybi) prasę drukarską i czcionki cyrylicy. Wilnianie więc podnieśli gwałt na forum kongregacji; skończyło się, jak to u nas, decyzją „ani waszym, ani naszym”, czyli: warsztat nakazano zwrócić jego prawowitym właścicielom w... sprzyjających po temu czasach. Łapówki zrobiły swoje, te diabory?

Pogadując o tymi owym — na przykład o rzeczy Kupały „Na polską nutę” i o jego wierszu „Śnieg” jako reminiscencji z lektur Przybyszewskiego czy o dramacie „Raskidanaje hniazdo” („Rozrzucone gniazdo”), napisanym pod ciśnieniem „Wesela” Wyspiańskiego — stanęliśmy na tym, o ile dobrze pamiętam, iż Romantyzm przyniósł odkrycie ładu białoruszczyzny, a nieco później, Neoromantyzm wzniosł niebotyczne konstrukcje ojczyzny białoruskiej (macierz Historia powiła nieodrodne córki: Młodą Polskę i Młodą Białoruś). Motyw bliźniąt przemawia do mnie, czuję, że jakoś specjalnie oddaje zjawisko wstawiania Feniksa z popiołów, w których są i polskie węgle. I jak to przydarza się bliźniakom, jeden z nich jest najczęściej nie lubiany w rodzinie, życie zaś przysparza mu nieprzyjaciół. Obelgi na siostrę białoruską posypały się z imperialnego Petersburga i z wielkopańskiej Warszawki. To nie było trudne. Maksym Gorki określił Białorusinów jako ludzi przeraźliwie uciśnionych duchowo i pozostało to trwale prawdziwe. W obronie ich narodowego jestestwa zabrała swój ważki głos Polska Partia Socjalistyczna. Leon Wasilewski, w przyszłości negocjator okropnego traktatu ryskiego, wypowiadał się w dwunastym roku o

„Naszej Nivie”, która przejęła pałeczkę po „Naszej Doli”: „nie sieje nienawiści do ościennych narodów, przeciwnie, żywi do nich szacunek, szerzy przekonanie, iż trzeba czerpać pełną garścią ze skarbnicy ich najlepszych dokonań i osiągnięć, nie daje się sprowokować zarówno rosyjskim, polskim jak i litewskim nacjonalistom. Z godnym podziwu wyczuciem i taktem redaktorzy tej gazety potrafią walczyć o swą sprawę narodową wobec ataków różnej maści szowinistów”.<sup>5</sup>

Nie do wiary, ale ten naród nigdy nie szowinizował!

W pewne paskudne popołudnie zagadał był do mnie przyjaciel: Jestem ojcem. Żona urodziła mi syna i córkę. Przybył strach, dotąd nie oswajany przeze mnie, choć słyszałem o nim, o jego występowaniu... Jakiś półzwierzęcy, że chłopca, wcześniej czy później, zabiją mi, dziewczynę zgwałcą i puszcza na łajdactwo! I już jak gdyby czekam na to, niczym na telegram zawiadamiający o czyims pogrzebie... Nie uważasz, że to da się odnieść i do narodów? Że Rzeczpospolita Obojga Narodów rozsypie się w proch i pył, biadano nad tym z dawien dawna, aż stało się to pewnikiem!

Milczałem, porażony. Przeszło mi przez myśl, że... kraiku takiego jak nasz nie stać na wiele i że może on jedynie przebierać nogami, uczepiwszy się kogoś lub czegoś. Szczęście, jeśli ten ktoś będzie w nastroju i towarzyszyć mu będzie pomyślna passa. Bieg dziejów to dla mnie galop tabunu w kurzawie: koń, który się potknął, pada stratowany.

Z państwem Neureiter udałem się do przykrynkowskiej wsi Kruszyniany, ongiś tatarskiej, w której cerkiew wzniesiono grubo później, w osiemnastym wieku, po tej samej stronie co i meczet. Oprowadzono nas po świątyni pod półksiężycem i zarośniętym cmentarzu, wyjaśniając: coraz mniej tutejszych muślinów, resztką

---

<sup>5</sup> Leon Wasilewski, „Sprawa kresów i mniejszości narodowych”. Warszawa 1925.

ino dzisiaj, z piętnaścioro... Kapkę więcej — w Bahonikach, trzydzieści kilometrów na Kuźnicę. Kto młody — w miejskim bloku siedzi, parę tysięcy ich w sumie... Rozbuliśmy się w przedśionku; Herr Ferdinand wrzucił szylinga do skarbony „Złóż ofiarę”. W domu dopiero połapałem się, że nie zachowałem się tam najwłaściwiej: przewodnik poprosił był mnie z nagła o papierosa (Polska akurat nie paliła do woli, cierpiąc głód nikotynowy), więc ochoczo uraczyłem wyznawcę Proroka dymem, zapominając, że prawdziwy muzułmanin nie pije i nie pali, nu, ale nie tu i teraz...

Piśmiennictwo litewskiego księstwa Białorusinów — władza wasza, mowa nasza! — winne jest dozgonną wdzięczność jeńcom krymskim. Osadzani na ziemi — rdzenna Polska nie zna takiego osadnictwa Tatarów — i hołubieni przez ich miłości Panov Radu Wielikoho Kniaźstwa za azjatycką bitność, asymilowali się najnaturalniej, nie dysponując w stosunkach zaopłotkowych z Rusinami równorzędnym zapleczem kulturowym. Swe księgi święte, kitaby, pasterze duchowi, imamowie, w końcu przekładali wiernym na żywy — nie książkowy — język białoruski, posługując się alfabetem arabskim, wszczepionym im przez religię. Filologia wpadła na ich trop, zdumiewając się pyszną poetycznością tekstów w tej właśnie oprawie słownej. Pani profesor Shiin Akiner z Londynu ostatnio opublikowała opasłą dysertację na temat tego niezwykłego zjawiska (dyskutowałem z nią na Sydney Street).

Cegły architektury moich Krynek wielojęzycznych — bizantyńskiej kopulastości, strzelistego gotyku, atyk synagog — wypalały się w słońcu śródziemnomorskim. Już sama ta przenośnia, gdy chadzałem po uliczkach mej młodości w tej porzuconej przez Boga mieścinie, napędzała mnie ciepłem i wiarą, że los się uśmiechnie z głębi znakomitej przeszłości miejscowej magdeburgii... Mogiłki żydowskie, niczym miniatura prozatorska Izaaka Babla, czytana w sadku z jakimś radosnym

zasmuceniem z obcowania z nieskończonością. Wyrwam do Białegostoku, bo w nim, przy Sobieskiego 10, na podwórku pojudejskiej kamieniczki z zapachami niosącymi się od porośniętych zielskiem zgliszcz i ocalałych zakamarków, w cieniu jabłonki, szeptalem z odeskim pisarzem, oczywiście sam przymierzając się do niego (z czasem stałem się cierpliwszy, z byle powodu już nie zaciskam zębów).

Białystok to przerośnięty dzieciak w porównaniu z Krynkami, zgromadzenie zabudowy bez zrębów planu urbanistycznego, z rynkiem najwyraźniej uformowanym w trójkącie dróg rozbiegających się od pałacu hetmańskiego Branickich (który, owszem, przypomina Wersal). Cerkiewka na wzgórzu Magdaleny — przeoczony przez pożogi bitewne ostatek Rusi; obok, ordynamie — amfiteatr (ani krzty w nim lekkości helleńskiej), dalej budyniska z peerelowskiego okresiku kultu jednostki:

a za rozstajami zaś na Suraż i Knyszyn, czyli za Rynkiem Kościuszki, kościółek, przygwożdżony czerwieniejącym zwaliskiem fary. Zaułeczek z wydumaną tabliczką: Zamkowy...

Bachor kapitalizmu i tyle!

Białystok ten Białorusinom zawdzięcza swoje życie literackie. Organizacja twórców powstaje tu w maju czterdziestego roku, za władzy radzieckiej na tym terenie: Oddział Związku Pisarzy Białorusi, ogarniający zarówno siły miejscowe, jak i uciekinierów z Warszawy. Jego założycielem jest delegowany z Mińska Cimoch Krysko (swe poezje sygnuje: Vasil Vitka). Ufundowano teatr profesjonalny, wyłącznie polski, pod dyrekcją Aleksandra Węgielki z Warszawy (rozstrzelany przez hitlerowców; imię aktora upamiętniono potem w nazwie sceny). Grał w owym zespole Jacek Woszczerowicz.

To gród przemysłowy nad rzeczulką Biela (Białka), o której Vitka zauważył, iż zdarzało się jej bywać istotnie białą, czystą — w świętki, kiedy nie pracowały fabryki sukiennicze. Otóż owego



miasteczka ponadpowiatowego nigdy — od czasów Wersalu Podlaskiego — nie oznaczano na mapie ośrodków kulturotwórczych. Po rzezi wojennej w dalszym ciągu było to nieobecne. Bielostocensis restituta litteraria nadchodziła ślamazarnie, wraz z tygodnikiem „Niva” — redagowanym po białoruska, od pięćdziesiątego szóstego (uwaga — repliką „Naszej Nivy” sprzed pół wieku) i skromniuteńką, przyredakcyjną szkółką autorów „Bielawieża” („Białowieża”). Z tego chełdaka wychował się tutejszy Pegaz. Utwory „bielawieźców” obserwowano z sympatią. Warszawska „Współczesność”, piórem Eugeniusza Kabatca — to on szykował się do napisania polskiej powieści „Białorusini”, po „Pijanym aniele”, zanim nie zawładnęła nim czarująca Italia — podsumowała dziesięciolecie „nivowania”: „...cały ciężar odpowiedzialności za rozwój ojczystej kultury wśród ludu białoruskiego, zamieszkującego w dzisiejszej Polsce, spadł na młodych (...) treści zawarte w ich twórczości, nie mając w sobie nic z nacjonalizmu, zaświadczyły w sposób wzruszający o tym ogromnym przywiązaniu do ojczystego języka, do ojczystej ziemi i jej ludzi, jej krajobrazu, jakie było i pozostaje źródłem prawdziwego humanizmu”.<sup>6</sup> Gdański obecnie krytyk, Andrzej Kazimierz Waśkiewicz, konstatował w „Nadodrze”: „Literatura białoruska, nie mnie oceniać jak istotna jest to część jej dorobku, powstaje także w Polsce”.

Białystok nie widywał u siebie aż tylu wielkości literatury polskiej co białoruskiej. Ulicami Mickiewicza (dawniej: Puszkina!), Kilińskiego, Lipową przechadzali się Janka Kupała, Jakub Kołas, Maksim Tank, Janka Brył. Przed chwilą oderwałem się od fragmentu dzienników Vitki w najświeższym numerze — majowym — „Maładości”. „Dorożką z dworca kolejowego udałem się z Kupałą do Związku Literatów na Mickiewicza.

---

<sup>6</sup> Eugeniusz Kabac, „Białoruski almanach”, „Współczesność” nr 14, Warszawa 1966.

Kupała długo milczał, aż nagle poprosił mnie, bym nikomu nie mówił o jego wizycie. Po śniadaniu i krótkim wypoczynku, wybraliśmy się na spacer po mieście. W antykwariacie kupił poeta starą akwafortę, u jubilera srebrną podstawkę pod szklanę. Na Sienkiewicza zreflektowałem się, że i tutaj Kupała jest również powszechnie znany, ten i ów z przechodniów unosi kapelusz w pełnym szacunku ukłonie. U jakiegoś szewca zamawia Janka Kupała modne pantofle na wiosnę..."<sup>7</sup> 27 marca 1941 roku.

Do samobójczego zejścia w Moskwie w 1942 roku pozostało mu piętnaście miesięcy. Urnę z Jego prochami sprowadzono na ukochaną Białoruś za Chruszczowa, w czasach recydywy nie najszcześliwszego i zakompleksionego białoruskiego patriotyzmu.

Kupała, ukazany jako romantyk, niepodobny do żadnego innego na świecie. Aliści z poetami prawdziwej miary zawsze bywa nielichy kłopot, mają własne widzenie rzeczy tego świata. Pierwszej rewizji i konfiskaty rękopisów doświadczył jednak od agentów polskiej „dwójki”, gdy dywizje strzeleckie pały na Mozyr i Kijów.

Cienkoskóry, musiał odejść do królestwa cieni. Po prostu nie wytrzymał. Matka Poety przeżyła syna o dwa tygodnie.

Tragicznym rysem przeszłości Białusi jest to, że postacie jej najpierwszych twórców nader metodycznie wytrawiano z pamięci zbiorowej. Sława i chwała tego ludu bardzo przeszkadzała potęgom przewalającym się przez owe wrota, wiodące zarówno do Rosji, jak i do Europy. Dosłownie przedwczoraj dostrzegłem w radzieckim „Hołasie Radziny” („Głosie Ojczyzny”) artykuł doktorów nauk historycznych: Mikołaj Ivanawa i Lwa Miraczyckiego. Przywracają oni, może nazbyt nieśmiało, dobre imię Ivanowi Łuckiewiczowi (w stulecie jego urodzin). Cierpliw mój Czytelnik pomyśli: o kogóż to tym razem chodzi? Ano, ni mniej, ni więcej, tylko o animatora instytucjonalnych form

---

<sup>7</sup> „Maładość” nr 5, Mińsk 1981, BSRR.

naszego odrodzenia narodowego, Kruha Białoruskaje Narodnaje Praświety i Kultury (Kręgu Białoruskiego Oświecenia Ludowego i Kultury, 1902 r.), Białoruskaj Rewalucyjnaj Hramady (Białoruskiej Rewolucyjnej Hromady, 1903 r.), wreszcie legalnych czasopism „Nasza Dola” (święta konfiskatami) i, już ostrożniejszej, „Naszej Nivy”, która swym inauguracyjnym numerem z dnia 10 listopada 1906 roku zapoczątkowała wręcz epokę emancypacji i rozwoju całej sprawy (literaturoznawstwo ukuło termin: Naszaniuskaja Para, czyli Okres „Naszej Nivy”). Bez tych wydarzeń objawienie się geniuszu Kupały i plejady Młodej Białusi byłoby najzwyczajniej niemożliwe.

Gruźlica dziesiątkowała świętych tej pokutniczej ziemi. Gaśli jeden po drugim, nierzadko w anonimowości konspiracji (Ivan Łuckiewicz zmarł w zakopiańską odwieczerz, 20 sierpnia 1919 roku, i na Jego grobie nie ma marmurów ani odświętnych znaków czci od wdzięcznych rodaków). Ivan, skrzykując w drugim roku dwudziestego wieku petersburską emigrację, by konstituować Kruh — Jerzy Turonek z Warszawy utrzymuje, że Waclau Ivanouski (Wacław Iwanowski) go wyprzedził — być może przeczuwał zaledwie, licząc sobie dwadzieścia jeden wiosen, że oto powołuje tym samym do istnienia nowoczesny naród, o którym mówiono dotychczas zdawkowo. Studenciak z niego był kongenialny, kończył jednocześnie dwie uczelnie:

prawo na uniwersytecie imperatorskim i Instytut Archeologiczny w tymże Petersburgu. Troszkę starszy od Janki Kupały, zasadził młodniak z idealistycznych pięknoduchów i doczekał w nim sosen i dębów; Branisława Taraszkiewicza wykreował na badacza gramatyki mowy ojczystej (przyjaźnił się z cenionym polskim językoznawcą Baudouinem de Courtenayem). Polityką zajmował się również z zapalem, lecz nie dorównywał w tym swemu podopiecznemu; naiwność jego wyrażała się w przeświadczeniu o przewadze argumentacji nad faktycznym stosunkiem sił. Białoruskaja Narodnaja Respublika (białoruska

Republika Ludowa) pozbawiona własnej, liczącej się armii nie miała wysokich notowań na targowisku wersalskim lub choćby w planach federacyjnych Piłsudskiego, który, jeśli potrzeba go przypiliła, potrafił wygłaszać oracje niebrzydka białonusczyzną; wyszło jednak na jaw, że Dziadek robił to dla korzyści taktycznych. Polska, niestety, nie wyrosła na ośrodek wyzwoleńczy, promieniujący na kresowe nacje. Traktat ryski oznaczał zwycięstwo postulatów terytorialnych Narodowej Demokracji i Dmowskiego, Białorusini i Ukraińcy, żywioty pozbawione „wyraźnej fizjonomii narodowej”, potraktowani zostali jako potencjalny przedmiot polonizacji, coś co można zagarnąć. Całkowicie zanegowano ich odrębność. Antona, młodszego brata Ivana, pod pozorem jakichś rozmów o randze międzypaństwowej, zwabiono do Warszawy z Paryża, gdzie w charakterze szefa hromadowskiego rządu BRL zabiegał o posłuchanie u przewodniczącego konferencji pokojowej. Widocznie nie bez powodzenia, skoro w Polsce niezwłocznie go intemowano... *Petition presentee par la delegation du Gouvernement de la Republique Democratique de la Ruthenie Blanche*, sygnowaną w Horadnie (Grodnie) 22 stycznia 1919 roku rozpowszechniano w stolicy francuskiej osobnym drukiem na miesiąc przed oficjalnym finałem wojny światowej. Cóż z musztardy po obiedzie... Litwini z Puńska wyjaśnili mi to wprost: wam, Białorusinom, zabrakło wtedy człowieka formatu Oscara Miłosza, francuskiego poety, lecz syna Litwy. Łatwo im tak wyrokować. Nieprzerwanie dysponowali emigracją na Zachodzie i w Ameryce, wychodźstwo Białorusinów zaś jest całkiem świeżej daty, na dodatek stale trapione przez aneksjonistów na wygnaniu, wywodzących się z pazernego sąsiedztwa.

Ze świetnej pracy Andrzeja Chojnowskiego „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939” dowiadujemy się między innymi: „...w ZSRR rozpoczął się okres walki z tzw. odchyleniami nacjonalistycznymi. Władze polskie,

obserwujące zmianę nastrojów wśród ludności białoruskiej, nie poczyniły jednak istotniejszej próby pozyskania jej dla polskiej racji stanu. Przeciwnie, utwierdzały się one teraz w przekonaniu, iż ze względu na zmianę sytuacji międzynarodowej nie ma potrzeby spieszyć się z ustępstwami wobec Białorusinów<sup>8</sup>). Tak było później, Aleksandra Bergman idzie dalej w swej publikacji „Kwestia białoruska w KPZB”, zamieszczonej w „Przeglądzie Historycznym” z 1971 roku: „Wypadki zachodzące w ruchu komunistycznym w ZSRR wpłynęły na zmianę stanowiska Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, która od września 1928 roku rozpoczęła walkę z białoruskim ruchem narodowym”.

Ale wróćmy do Chojnowskiego, który opiera się na niezwykle rozległej lekturze i licznych źródłach (około trzystu pozycji!). Zdanie Bergmanowej — wtrąćmy — jest podwójnie wiarygodne, sama będąc bowiem aparaczką zachodniobiałoruskiego podziemia partyjnego, świadczyła owym „zakrętom i wirażom” na szlaku Moskwa — Warszawa. Chojnowski orzeka: „Jednoznacznie polonizacyjny program rządowy z początków 1939 roku stanowił logiczne ukoronowanie ewolucji stanowiska obozu piłsudczykowskiego w kwestii stosunku do mniejszości narodowych. Realizacja tego programu obliczona była na długie lata, przyjęty zaś niemalże w przededniu upadku państwowości polskiej pozostał on jeszcze jednym z wielu nie zrealizowanych przez rządy polskie w tej dziedzinie zamierzeń. Jednocześnie sam fakt, iż plan ów narodził się jako wyraz troski o zwiększenie bezpieczeństwa państwa w obliczu zewnętrznego konfliktu, stanowił świadectwo przyznania się do bankructwa dotychczasowej polityki narodowościowej (...). Proces ten pozostawał w ścisłym związku z ogólną zmianą oblicza ideologicznego obozu piłsudczykowskiego, który z ruchu

---

<sup>8</sup> Andrzej Chojnowski, „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939”, Wrocław 1979.

stojącego na platformie tzw. ideologii państwowej, przekształcał się stopniowo w obóz głoszący zasady ideologii nacjonalistycznej". Aha, endecja, choć nie dopuszczona do rozkoszy władzy w Drugiej Rzeczypospolitej, wzięła w końcu odwet w sferze podstawowej — ideologicznie wchłonęła rządzących, którym wywietrzały z głów nawet frazesy socjalistyczne.

Notuję i takie, gorzkie w swej nieodwołalności podsumowanie tegoż uczonego, po którym najteższy apologeta dwudziestolecia może popaść w wątplenie. Brzmi ono: „Szansa na całkowite i trwałe przewyciężenie nurtujących Drugą Rzeczpospolitą antagonizmów narodowościowych była w ramach ówczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej równa zeru”.

Trudno mi jednakże oprzeć się wrażeniu kryptonimowości powyższej opinii — wrażeniu, że słowa posłużyły tu jako sygnały naprowadzające. I że ich znaczeń doszukiwać się należy głębiej. Uważam je raczej za rzetelną odpowiedź dotyczącą tych zmian zapalnych w myśleniu zbiorowości Polaków, jakie nastąpiły na tle ponadwiekowej eksmisji politycznej z Europy i zapiekłego stąd odruchu antyrosyjskiego (pod butem sanacji najboleśniej obrywały przecież mniejszości słowiańskie o fizys kojarzącej się z cechami najbrutalniejszego z zaborców). To pozorny paradoks, iż zajadle ugniatany przez cesarzy naród, wyzwoliwszy się wreszcie dzięki nieprawdopodobnemu wysiłkowi zbrojnemu, z nie mniejszym zacietrzewieniem zabrał się do gnębienia gnębionych — Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, przecież swych współników na drodze dziejowej. Z poczucia niepewności odzyskanego bytu międzynarodowego? Kłósenie się niwy białoruskiej brzmiało w przewrażliwionych wielkopańskich uszach niczym chrobotanie komików, naruszających podwaliny nowiutkiej niepodległości, na którą wybito się z takim trudem.. Człowiek zadający pytanie po polsku powoduje u mojej Matki nieprzewartą chęć oddalenia się, zejścia mu z oczu. Do urzędu

idzie, kiedy jest kategorycznie wzywana lub przymuszona biegiem swych spraw. Już w przedśionku gabinetu naczelnikowskiego gotowa jest do lamentów. To są reakcje warunkowe, nabyte przez nią i jej pokolenie w wyniku kontaktów z administracją panów Polaków. Ze mną, jej synem, jest podobnie; z tą tylko różnicą, że nie wylewam łez, lecz klęę (wnuki znormalnieją). To odwrotność tego samego strachu i poczucia niższości, które wzały się w nasze geny. Polskość — równa się pańskość (łakniemy jej i boimy się zarazem). Białoruskość — to schłopienie (takie odebraliśmy wychowanie od Rzeczypospolitej).

Alaksandar Ćvikievicz, czołowy polityk miński, z naukową drobiazgowością rozszyfrował bluff obozu belwederskiego, który w skrytości ducha ani myślał o układaniu się z Białorusinami. W opracowaniu „Adradżeńnie Biełarusi i Polszcza”<sup>9</sup> („Odrodzenie Białorusi a Polska”) dowodnie wykazał zbawienną rolę roku 1772 i upadku państwa szlacheckiego dla Białusi. Rzeczywiście, zgodnie z Konstytucją Trzeciego Maja, Rzeczpospolitą Wielu Narodów przemianowano na Polskę. Wartości duchowe wytwarzane przez jaśnie wielmożnych panów skwapliwie przyswajały sobie masy ludowe, przy czym po rozbiorach zarysował się rozryw, pęknięcia biegnące w głąb: w białoruskiej hołocie, zdegradowanej do rangi parobków, fermentowały nade wszystko idee klasowo-socjalne, w polskiej natomiast — coraz silniej pieniały się narodowe; chłop nadniemeński w każdej następnej epoce coraz trudniej porozumiewał się z nadwiślańskim. Chłopscy żołnierze Naczelnika Państwa, peronującego o federacji nawet z Łotwą, poczynali sobie na tzw. Litwie jak srogi okupant, w czym celowały proendeckie oddziały z Poznańskiego, siejąc większą grozę niż gołowąsi gwałciciele z Galicji. Sama Magdalena księżna Radziwiłłówna okrzyknie ich... polskimi okupantami. — Sami bolszewicy tu, psiajucha! — na to oni.

---

<sup>9</sup> Alaksandar Ćvikievicz, „Adradżeńnie Biełarusi i Polszcza”, Mińsk 1926.

Aliści przenikliwość Ćwikievicza pozostawała czymś nader odosobnionym w kipiących polityką latach dwudziestych, także pośród działaczy mu bliskich. Ciągłe żywotna była owa atmosfera wiary w gromkie deklaracje, mistrzowsko oddana w utworze Mariana Brandysa „Królestwo Białusi”<sup>10</sup>. Tamto pięciolecie złudzeń, podtrzymywanych istnieniem dziwołagu, jakim była Litwa Środkowa, urwało się w styczniu dwudziestego siódmego wraz z rozgromieniem słynnej Hromady, mimo iż partia ta mieściła się w ramach polskiej racji stanu. Ten „czarny styczeń” jest cezurą; po nim gardłowanie za Warszawą w tych stronach kwalifikowano natychmiast jako nachalną kolaborację, pachółkowanie panom i militarystom przy szabelce. O wiele bardziej rozbuchany niż w centrum kraju aparat policyjno-prowokatorski omotał swymi mackami ośrodki insurekcji białoruskiej. Niewiarygodnie zaczytane egzemplarze pisma konspiratorów wojskowych „Biełauski Partyzan” („Białoruski Partyzant”) krążyły od chałupy do chałupy niczym „Mużyckaja Prawd”, ów pamiętny zew „czerwonych” z okresu Powstania Styczniowego (które wpisało na porządek dnia kwestię suwerenności Białej Rusi). Tajne druki zawsze sprawiają mnóstwo kłopotów bibliografom i dziejopisom; „Biełauski Partyzan” wychodził od połowy lata po koniec jesieni dwudziestego drugiego — raptem cztery numery. Wydawcą był Główny Sztab Partyzantów Białoruskich. Adres redakcji... Puszcza Białowieska! Zespołu redagującego nie ustalili badacze ani archiwiści. Gdyby ocalili ci redaktorzy, pewnie odezwaliby się dzisiaj... Bohaterowie idą w pierwszym szeregu do piachu.

Konstanty Srokowski, obiektywny autor referatu „Sprawa narodowościowa na Kresach Wschodnich”, sporządzonego po zabójstwie prezydenta Gabriela Nautowicza na zamówienie ówczesnego premiera, generała Władysława Sikorskiego, kon-

---

<sup>10</sup> Marian Brandys, „Strażnik królewskiego grobu”, Warszawa 1984.



kludował: mniejszości słowiańskie są uciskane narodowościowo i wyniszczane gospodarczo. „Dla tych zaś, którzy wierzą, że nacjonalizm polski dokaże istnienia tego, na czym załamały się nacjonalizmy pruski, rosyjski i węgierski, słowa te w ogóle pisane nie są”. Srokowski podawał: polskie władze wojskowe w r. 1919 zlikwidowały szkolnictwo białoruskie w sposób drastyczny (około trzystu pięćdziesięciu placówek), aktywniejszych pedagogów internowano, zabraniając reszcie posługiwania się tym językiem, nawet jako pomocniczym, w procesie wychowawczym. W okolicach Mińska, na przykład, szkoły te bez żenady na powrót zrusyfikowano i, z kolei, odgómie polonizowano. Nauczycielom Białorusinom proponowano zatrudnienie w... Kieleckiem, z zasady na lewym brzegu Wisły. (W Krynkach, opowiadał mi ojciec, ułani siekli i palili „chamskie” książki).

Chyba wspominałem gdzieś o tym, że publiczne wypowiedzianie się i pisanie po białorusku ma posmak rewolucyjności. Zwracam się do Szanownego Czytelnika, prosząc go o to, by chłodnym okiem spojrzeć na takie oto rozumowanie: jeśli współczesny nam naród białoruski wynurzył się z odmetów chłopstwa pańszczyźnianego, a jego mowa śpiewna nie mogła nie uchodzić za gwarę pariasów, jego nobilitacja zaś była możliwa tylko w przypadku odcięcia się od gorszego nawet niż plebejski rodowodu, jeśli widomą oznaką tego, że już się nie śmierdzi tą „wiochą”, stawała się właśnie znajomość polskiego lub rosyjskiego, to demonstrowanie białoruskości musi mieć aspekt radykalny, jest rehabilitacją i nobilitacją tychże dołów. Białorusin i cham — postszlacheckie i szczujące synonimy. Nie dziwota przeto, że robotnik wielkoprzemysłowy — Białorusin też jest wyjątkiem, a mało kto słyszał o białoruskim polityku, choćby dzisiaj. Nie ma znaczenia w skali odczuć powszechnych także to, iż naprawdę zdarzali się, i nadal zdarzają, tacy odkompleksieni — i robotnicy, i politycy, i rzemieślnicy, i inżynierowie, podobnie jak piśmiennicy — pisarze. Tych ostatnich ulica bezbłędnie

rozpozna je jako kochanków białoruszczyzny, tej brzyduli o gołęmbim sercu, wyśmianej przez miastowych amatorów blichtru.

Przybiałowięże. Widoki jak z ostatniej drogi Witkacego. Nie wiedzieć czemu jego samozagłada w ostępie poleskim, koło jakichś Jezior, na miedzy Białorusi z Ukrainą, przywołuje wspomnienie zagadkowego upadku Kupały do studni klatki schodowej (niestety, nie znanego w szczegółach). Witkacy przyjaźnił się z Teodorem Birulą-Białynickim z Witebszczyzny błękitnojeziomej, ziemianinem z rodu o ciągotach „kozackich”. O młodszym z Białynickich — wuju Witoldzie — Henryk Bułhak napisał w „Przeglądzie Humanistycznym”:

„(...) pozostał na Białosiu, aby stać się jednym z najwybitniejszych malarzy-pejzażystów tego kraju”<sup>11</sup>. Niczym Jadwiga Rozdziałowska z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dla mnie, Janowicza, sposobność to do refleksji metafizycznej: Witold Birula-Białynicki urodził się mianowicie w... Krynkach koło Orszy (ja — w Krynkach na Białostocczyźnie). Jest tych Krynek! Twierdzą znawcy: źródłosłów ma tu być dwuznaczny — „krynka” jako krynica, ale i dzban (wiadomo, w jakich miejscach zalega udatna glina).

To przy jasnej pogodzie we wrześniu osiemdziesiątego roku ruszyłem z przyjaciółmi z Mińska „na Navahradak”, w ów park krajobrazowy talentów poetyckich. Z samym Janka Brylem, nie mianowanym ambasadorem literatury polskiej na Białosiu i obrońcą Gdyni w trzydziestym dziewiątym, a dzisiaj — żywym klasykiem na tamtejszym Parnasie. I z dystygowanym Jazepem Siemiazonem, kolejnym tłumaczem arcydzieła Mickiewiczowego. Z Góry Zamkowej, z której wiorstowe widoki, ruszyliśmy do fary, bo w niej Mickiewiczuka chrzczono Adasiem, a hen, przed czterema wiekami, Jagiełło pojął za żonę młodziutką kniaziównę

---

<sup>11</sup> Henryk Bułhak, O Biruli-Białynickim, „Przegląd Humanistyczny” nr 2, W-wa 1980.

(posypali się wreszcie Jagiełłowicze!), i wiedliśmy dyskusje nad przejrzystą Świtezią. Później zwiedziliśmy Niaświż (Nieśwież) Radziwiłłów, ale to już inna sprawa.

Dzieńby białuskie trafnie będzie przyrównać do pracy serca w organizmie atakowanym przez infekcje i omdlenia; sinusoidy elektrokardiogramu opadają ku linii niemal prostej (to zapaści). Leon Kuczkowski wprost przyznawał: Mowa polska, która tu, w Tuhanowiczach i nad Świtezią, znalazła swe najpiękniejsze wiersze i najwspanialsze obrazy, jednocześnie była na tej ziemi mową klasowego i narodowego ucisku<sup>12</sup>. Bohaterowie „Pana Tadeusza” wszelako mieli mgliste odczucie starobiałoruskości przodków. Puls tej starej kultury ucichł do stanu letargu; zgon nie nastąpił. Powolutku wracała do świadomości, na razie ledwo artykułowanym „ja chcę żyć”. Ożywała na tyle inna, na ile zmieniony bywa ktoś po obłożnej chorobie. Zerwała się w niej bowiem więź z minionymi czasami; nawet nie podejrzewano, że gdzieś w półmroku monasterskich archiwów i bibliotek jarzy się świętojańsko poezja mnicha Simeona Połackiego (Samuel Piatrouski-Sitnianowicz), tomy Skaryny, Budnego, Ciapńskiego etc. Puszczala ona korzenie niczym stare drzewo, w owej melancholii wiekuiestej niewoli, wzrastając na zapomnianym ugorze, przydeptywana przez urzędników imperialnych. Doglądali jej inteligenci bladolicy, sielankowi idealści w rodzaju Pierre'a Bezuchowa, chcący nieba przychylić i skarłów ojczyzny wieśniakowi batożonemu na gumnie, temu rabowi jaśnie oświeconych. I tak w piśmiennictwie tego ludu miało być przez długie dziewiętnastowiecze. Jego prorocy — Kupała czy Kołas — nie osiągnąwszy wykształcenia uniwersyteckiego, w młodości nie słyszeli o prowadzonych jednakże badaniach oraz o publikacjach na temat języka, w którym sami pisali dzieła; normy zapisu białoruskiego kształtowała praktyka publikatorów, początkowo

---

<sup>12</sup> Janka Bryl. Witraże, „Czytelnik”, Warszawa 1979.

nauka nie brała udziału w tym procesie. Intelktualiści, a byli to, niczym w czasach Renesansu, znawcy wysokiej rangi — pojawili się w epoce naszych ojców i matek, dzisiejszych dziadków i babć (Epimach-Szypillo, Navina-Łuckiewicz).

Współtwórca owej literatury nowożytnej, Jan Czaczot (Czczot), utyskiwał w przedmowie do swych „Piosnek wieśniaczych znad Niemna i Dźwiny”: w tej mowie krywickiej sporządzano ongiś dokumenta państwowe, a dziś w pogardzie ona jest. Choć naród to niemały, lecz nie posiada jakowejś gramatyki czy słownika swego od czasów najdawniejszych poczynając, a i obecnie mało ten język w użyciu bywa, jeśli pominąć fakt wydania w nim w Wilnie katechizmu, choć on, Czaczot, nie widział go na własne oczy... Czaczot mógł, oczywiście, nie mieć wiadomości o kompozycjach autora poematu muzycznego „Wesele białoskie”, Abramowicza, do słów niepolskich wierszy Jana Barszczeuskiego (Barszczewski debiutował ponoć w 1809 roku). Na konspiracyjne zebranie filomatów i filaretów pisywał Jaśko stylizowane na folklor pieśni i scenki. „Da pakińcież hoła drać” („Przestańcie się wydzierać”), „Jedzieć mileńki Adam” w opracowaniu muzycznym Zana, i Maryli Wereszczakówny „Da cierzaj moj dwor” („Przez moje podwórko”) — to efekt podobnej działalności. Środków rodzinnych starczyło jeno na rok studiów w Alma Mater Vilnensis, więc żegnając umiłowanego Adasia Mickiewicza (ważne to „ć” pierwozapisu) Czaczot poszedł służyć jako oficjalista w dobrach Radziwiłłów. Stykał się tam zapewne z bogatymi księgozbiorami, tudzież zwojami pergaminów królów polskich i książów litewskich, kreślonych inkaustem przez krywickich pisarczuków... Tak czy owak, zarówno Czaczot, jak i w dwa powstania później adwokat Franciszek Bahuszevicz, uświadamiali sobie, że ich Litwa-Ojczyzna nie wypadła sroce spod ogona. Wtórowało im w tym kilku filomatów, na pewno Mickiewicz i Tomasz Zan. Może ktoś jeszcze... Niewątpliwie Vincuk Dunin-Marcinkiewicz, ale o nim ja potem. Sam Linde,

twórca fundamentalnego słownika języka polskiego, pioniersko przysłużył się zainteresowaniu lingwistów Rusią Litewską. W „Historii literatury białoruskiej sprzed 1917 roku” lapidarnie zdanko profesora Adama Maldzisa: „W 1861 roku został wydany w Warszawie elementarz białoruski”<sup>13</sup>. Wielce intrygująca to dla mnie informacja, którą próbuję zweryfikować i poszerzyć (dostępne mi źródła są, niestety, szczątkowe; wojny, panie, wypaliły nam książnice). Z innej beczki — Mikucki ze Szpilewskim i Nosowiczem zabrali się do układania dykjonarza Białorusina, ale czy ktokolwiek dzisiaj wie o tym coś więcej?... Jak w tych kronikach średniowiecznych — wyłowisz jakieś imię, lubo i nazwisko, i natymkoniec.

Własnej encyklopedii doczekali się Białorusini na progu trzeciego tysiąclecia (lepiej późno niż wcale!). Mnóstwo haseł osobowych zamykają tu zwroty: „jego twórczość jest własnością sztuki zarówno polskiej, jak i białoruskiej”, „jest pisarzem polsko-białoruskim”, „należy do kultury polskiej i białoruskiej”. Idea samoistności Białorusi zakiełkowała przy polskiej pogodzie na tych obszarach. Aleksander Rypiński, pułkownik Wojsk Polskich, tom odczytów paryskich „Białoruś” jeszcze dedykuje pierwszemu z kmieci tutejszych, który pierwaj czytać, a zatem mówić i myśleć po polsku nauczy się; chce on, by dziecko ruskie wcześniej umiało wymówić słowo „Polska” anizeli „Matka”. Wydorosłały — już nie położyłby swego personal signature pod taką sugestią, po napisaniu ballady „Niaczyścik” („Diabełek”), chociaż Białoruś nigdy nie przestała mu się jawić „tą prowincją polską”. Miłość do niej zaowocowała przyjaźnią samego Mickiewicza.

Rosjanie, pewni swego, nie interesowali się poważniej tą częścią zaboru. Kiedy wreszcie dostrzegli, co się tu święci, ostro zabrali się do roboty, czyniąc co tylko w ich mocy, by nie dopuścić do rozkrzewienia się wschodzących pędów świadomości

---

<sup>13</sup> „Istorija białoruskoj dooktiabrskoj literatury”, Mińsk 1977, str. 320.

narodowej tubylców. W dniu 18 lipca 1840 roku cesarz Mikołaj I podpisał groźny ukaz zabraniający pod odpowiedzialnością karną stosowania nawet terminów „Białoruś”, „białoruski”. Na krótko przed tą datą mieszczanin miński Ignacy Lehatowicz zdążył ponieść z tego tytułu straty, umieszczając w almanachu „Bojan” utwór niby polski tzn. alfabetem łacińskim „Skaży, wialmożny panie” („Powiedz, panie wielmożny”).

Ów akt najjaśniejszy z 1840 roku nie miał radykalnych skutków, to i owo ogłaszano sprytnie wbrew jego zakazom; długo by można o tym mówić, aliści wyczerpywała się energia, z jaką lansowano kulturę rodzimą. Spalenie w 1859 roku z rozkazu cenzora nakładu dwóch pierwszych ksiąg „Pana Tadeusza” w przekładzie Dunina-Marcinkiewicza zahamowało jego prace, niemniej po trzech latach, kiedy Królestwem i Litwą zawładnęła gorączka przedpowstaniowa, tajna policja założyła teczkę osobową „o ziemianinie Marcinkiewiczu, który rozpowszechnia w guberniach zachodnich pisma podburzające...”. Konfiskata tomiku Mickiewicza kończyła się zazwyczaj wyrokiem skazującym, jak za nielegalne posiadanie... pistoletu.

Vincuk (Wincenty) Dunin-Marcinkiewicz, pisarz średniego lotu, nie bez kozery uchodzi za patriarchę nowej literatury w tym języku. Dożył sędziwego wieku i, prócz godnej uwagi puścizny literackiej, zostawił też po sobie refleksje i przemyślenia ku pożytkowi wstępujących wnuków. W liście do „Gazety Polskiej” zwracał uwagę, że kulturalne i duchowe wyzwolenie masy białoruskiej będzie możliwe jedynie na jej podstawie narodowej i że zapędy asymilatorskie w stosunku do niej oznaczają hamowanie postępu. Było to już po wystąpieniu Ignacego Chrapowickiego na łamach „Rubonu” (artykuł „Rzut oka na poezję ludu Białoruskiego”). A Syrokomla cieszył się w czas Wiosny Ludów:

*Zdarovyż budźcie, ej, dobryje wieści!  
Tam, na Zachodzie, pralivajuć krou,*

*Bjucca dla slavy, svabody i części  
I robiac volnych ludziej z muzykou!*

Zrozumiałe jest dla mnie podwójnie epitet „piewcy ziemi białoruskiej”, jakim obdarzył Lirnika Litewskiego sam Aleksander Brückner.

Operę białoruską zapoczątkował... Stanisław Moniuszko! To nie przejęzyczenie. Wywodząc się z Mińszczyzny, pełnymi garściami czerpał z rodzimego folkloru, że powołał się na klasyczne „Prząśniczki” (zawsze swojsko mi brzmiała ta melodia w sygnale łódzkiej rozgłośni). Przyjaźnił się serdecznie z domem Marcinkiewiczów, których starsza córka, Kamilla, nieprzeciętny talent muzyczny, pianistka i śpiewaczka — przepadła na zesłaniu jako członek władz powstańczych z sześćdziesiątego trzeciego — ochoczo brała udział wraz z siostrą Malwiną i bratem Mirosławem, a pod czujną kuratelą samego seniora Wincentego, w wystawieniu w sezonie 1852 roku w Mińsku dwuaktowej opery komicznej „Sielanka”, skomponowanej przez pana Stanisława do libretta ojca (tłoczył je w 1846 edytor Józef Zawadzki). Chodziło w niej o wykpienie — uwaga! — kosmopolityzmu, frankomanii, pogardy dla stron ojczystych itd.

Okazuje się, że nie tylko Moniuszko z Marcinkiewiczem zabiegali w tej sprawie; trzecim do spółki okazał się skrzypek Karol Krzyżanowski. „Sielanka” koronowała burzliwą aktywność tej trójcy panów artystów na scenach miast i miasteczek środka Białorusi (wystawiono ją w theatrum w Lucince, mająteczku wiałmożnaha Vincuka).

Okolice Lucinki. Gościniec, rozbamboszony przez zachłanne epoki w gżącą się szosę asfaltowaną, cmentarz na pagórze, mostek w dole, rzeczka, ściemiska sierpniowe, upał przedjesieni 1979. Sławak Rahojsza z Uniwersytetu Białoruskiego uraczył mnie i moją Tanie ponętymi drobiażdżkami z tajnie domowych „znatnej familii”... Jakbym obaczył oto bryczkę dobrotliwego panoczka,

wlokącą się z warkoczem kurzu, wyładowaną sprawunkami z kramów kogoś kto, być może, był dziadkiem Chagalla. Zda się, dolatuje do mnie jego rozmowa z Navumem, co powozi i od czasu do czasu ponagla klacz:

No-o, kasztanka!... Kab ciabie, kab ciabie dabro napatkało!... (Wio, kasztanka! Żeby cię, żeby cię dobro nie ominęło!...)

Jakże żałuję, że nie wymusiłem na docencie Sławku, by wtenczas zapoznał mnie z Alehem Łojkiem, profesorem, ale i felczerukiem ze Słonima — wchodził w świat nauki tematem:

„Adam Mickiewicz i białoruskaja litaratura”. Kultura, jak pamięć, nie da się wymazać.

Chciałbym powtórzyć za Łojką: wielki poeta polski ostał się w mej świadomości nie jedynie jako dawca arcydzieł, lecz i krajanem on dla mnie jest, na dobre i złe zauroczony Białą Rusią, ludem sponiewieranym, folklorem jego i duszą źródłano-czystą. Obszar myśli i uczuć Wieszcza jakoś tak, machinalnie, zlewa mi się z naokolami mojego dzieciństwa, wypełnia się pogłosami ojczystymi, echami, pieśnią i baśnią matczyną. To tu, u nas, spełniał się cud poezjowania Mickiewiczowego.

Odrzebano w końcu tamten katechizm, o którym to doszły Czeczota jeno słuchy: „Krótkie zebranie nauki chrześcijańskiej dla wieśniaków mówiących językiem polsko-ruskim wyznania rzymskokatolickiego”, Wilno 1835. Czyja to robota, nadal nikt nie wie (być może na wieki wieków). Nie żałuję w tym momencie miejsca na dłuższy cytat z książczyny, bo jest ona dziewiczym drukiem zwartym w mowie odradzających się Białorusinów.

Pytanie: „Jaki budzieć hrech, kali chto naznaczanaj pakuty nieadprawić?”

Odpowiedź: „Kali za ciałkija hrachi naznaczanaja była pakuta, tak ciałkij i hrech jakoby nieadprawić; za mniejszyje hrachi pakuty ni adprawić, tak mięszy i hrech zarobić”.

Pytanie: „A czy dobrabyć u niebie?”



Odpowiedź: „Ach jak dobra, bo tam to szczęścia i radość wiecznaja, tam z Bohami z Aniołami żyć”.

Pytanie: „A czy dobrabyć u piekle?”

Odpowiedź: „Ach straszno i padumać, tam to wiecznaja bida, tam ahoń wieczny, tam i usiakoje nieszczęście, tam złyje duchi, tamusie płaczuć,"a nictło ich niepacieszyc”.

Całość kończy modlitwa śpiewana: „O, moj Boża! Wieu Tabie!” Z jej żywym wykonaniem zetknąłem się w cerkiewce unickiej w Londynie.

Powyższy ciąg refleksji, kieruje mnie w przeszłość; w czasy Sentymentalizmu i Oświecenia. Oba te prądy umysłowo-artystyczne użyżniły glebę polską, w prowincjach zabużańskich zasilając co najwyżej nie wyschłe starorzecza, nad którymi jął przechadzać się jako tako odchowany Parnas krywicki; Romantyzmem powiało tu znacznie później, gdy nadszedł on po raz drugi, gdy krakowianie nosili na rękach Przybyszewskiego i zwariowanych koleśiów Mistrza, lubujących się w pieniach cmentarnych i samobójstwach kochanek, wydumanych tragediach i prawdziwych tupach. Tymczasem cóż my mamy z tego, że Polesie wydało Juliana Ursyna Niemcewicza i Adama Naruszewicza, a na Grodzieńszczyźnie „ranne wstały zorze” Karpińskiego...

— Poeci Jezior, mroczny irracjonalizm germański, mistyka patriotyzmu polskiego, beznadzieja melancholii rosyjskiej i lukrujący to z lekka byronizm, ów artystowski Drang nach Osten romantycznego bezrozumu, usztucznionego aż do wymiarów grozy totalnej, który raczył zwrócić uwagę na muzyków nad Dźwiną, Niennem i Świsłoczą dopiero przy swoim powtórym ukazaniu się w chimerycznych chmurach wyobraźni i w melancholii zasmuconych serc (o Kupale więc pamiętajmy tu, o Bałdanowiczu, i w żadnym wypadku nie przykładajmy do nich miarek warszawsko-krakowskich, skoro nie czynimy tego wobec Rosjan czy Anglików). Mieszaniłą Sentymentalizmu i

Oświecenia przysię Marcinkiewicz, ten Białorusin, a zarazem Polak, bardziej jednak Białorusin, za co popierali go Syrokomla z Pługiem, dając po łapach dworskim szowinistom (którzy zawsze wiedzą, gdzie stoją „konfitury”),

Wiek osiemnasty z sejmem 1733 r., postępującym na całego prawosławnych, i epoka stanisławowska. Słucka konfederacja szlachty ortodoksyjnej i wymuszone przez naciski zagranicy zrównanie jej, P; także protestantów, z katolikami w obliczu prawa i majestatu władzy, głównie za sprawą carycy-Niemki; wściekłość Karola Radziwiłła i całej konfederacji barskiej, a jeszcze jakobinizm i Targowica... Manufaktury i sukienice, estry i drukarnie, obozy bałagółów i kanały wiodące ku zarnemu Morzu, towar i pieniądz (dobry i zły szeląg). Rzeczpospolita Obojga Narodów przekonstituowana trzeciego maja w Polskę — zamulone jezioro demokracji, otoczone ciemniejącymi borami z ryczącym w nich niedźwiedziem erlińskim, łopoczącym skrzydliskami potworkowatym orłem wугłowym, tudzież austriackim sępowatym drapieźnikiem.

...Kiedy posłyszę to czy tamto o koniunkturze i ekonomii podskarbiego WXL, Tyzenhauza. Krynki moje cichego listowia stają mi przed oczyma, królewskie, przebudowane wonczas podług gwiazdowego układu, z sześciobocznym rynkiem (służą za przykład w podręczniku historii budowy miast). Kiedy z ojcem wychodziłem w Aleksandrowskie żyto kosić i ustawiać w „dziesiątki”, poglądałem na bielejący w dali geometryczny kształt kościoła bierastawickiego. Wyemancypowany ze swej półchłopskości, dzisiaj pobłądziłbym niechybnie szukając tamtego poletka, przywołuję zatem wizję zapamiętaną 7 czasów bosonogiego chodzenia po rżysku, przebiegając wzrokiem parę linijek wzmianki o udziale Pułaskiego w bitwie pod tąż Brzostowicą. Hołota moskiewska — odnotowano — rozpierzchła się sromotnie, a „malec” Pułaski, po tej chwilowej wygranej, wygubił „da nahi” (co do jednego) okolicznych zwolenników

równouprawnienia innowierców (nielecho pohulał, traktując ich bez namysłu jako pomagierów Moskali). To był błąd — jak i wszystkie błędy — nie pierwszy i nie ostatni. Egzystencja mniejszości narodowych wszędzie bowiem jest niepewna. Matula moja, staruszka, w goniące jedna za drugą odnowy poznańsko-warszawsko-gdańskie, raz po raz jest w obawie o swój „ruski” żywot; ja też wtedy nie zadzieram nosa. Docent Stanisław Alexandrowicz oględnie wyraził się na ten temat w białostockiej „Gazecie Współczesnej”, wynosząc do rangi tytułu uspokajającą formułę werbalną: „Nasze tradycje i nasi Białorusini” (2-5 lipca 1981 r.) „Ważną częścią tradycji narodowych jest zawsze stosunek do innych (zwłaszcza sąsiednich) narodów: złożony system stereotypów, sympatii i fobii, ukształtowanych wszakże nie przez czyjekolwiek widzimisię, ani nawet przez jakąkolwiek propagandę, lecz przez zbiorowe doświadczenia całego narodu, bądź społeczności lokalnych. Szczególnie ważą tu doświadczenia pokoleń jeszcze żyjących. W wypadku Polski, której ziemie przez lat co najmniej sto dwadzieścia pozostawały pod obcym — Rosji, Prus i Austrii — panowaniem i uciskiem, w zróżnicowanych warunkach gospodarczych i politycznych, doświadczenia te (a i dzisiejszy, po przejściach z lat 1939-1945, sposób widzenia wielu spraw) są jeszcze bardzo różne. Nie wyrównał ich całkowicie okres powojenny...” Do tej masy spadkowej wchodzi nie same skarby, ale i długi, nie tylko wzory do naśladowania, ale i przestrogi.

Oby cię, kochany, spotkało zrozumienie!

Słowem białoruskim nader sporadycznie posiłkowano się w wypowiedziach doniosłych (wędrownie trupy kabotynów cyzelowały je częściej jako niezawodny środek komizmu). „Pieśń żołnierzy białoruskich 1794 roku”, tzn. kościuszkowców.

*Pomnim dobra, szto robili,  
Jak nas dziorli, jak nas bili.*

*Dakul budziem tak mauczaci,  
Hodzi nam siadzieć u chaci...  
Naszo zienu nam zabrali?  
Naszo u puty zakawali?  
Daczki, żonki nam hwałcili?  
Tre, kab myim zapłacili.*

Szkoda, że nie dotarłem do całości tego gniewnego krakowiaka ułożonego w naszym języku. Trzeba by nie mniejszej cierpliwości do starodruków... Federowski cytuje podanie: Kaściuszka zawajawauby świet cały, żeb pany jeho słuchać chacieli, ale pany jak pany: hulali, bankietawali. Kaściuszki nie słuchali, zatym i Polszcza prapała. „Dziennik Poznański” wydrukował pieśń ludową — „Nasz Kaściuszka słauany byu” i „Słaua Wilna, słaua Hrodna”. Dochowała się odezwa, z równoległym przekładem polskim: „Sovjet litovskij pod naczalnicestvom Faddeja Kostiuszki”. Kler zaś, znany z ksenofobii, zwalczał (i obecnie czyni to!) białoruszczyznę — z wyjątkiem unitów. Natomiast z drugiej strony zausznik Katarzyny II władcyka Wiktor Sańkowski grzmiał na soborze w Słucku: ja wam pokażę, ja was zniszczę, żeby języka waszego przekłętego białoruskiego (czyli litewskiego naówczas) nie zostało i śladu, na zesłanie wykieruję, albo w żołdaty poddaję, a na miejsca wasze zza kordonu moskiewskiego nasprawdzam swoich!!!!... Za tą tyradą majaczyła wielka polityka: wykazanie zasadności tzw. powrotu tu Rosji, aneksji cudzego etc.

Nic się nie odbywało w tej gmatwaninie bez powodów! Lepiej powiodło się wierszowaniu. Jego światłość Joachim Chreptowicz, reformator, a i kanderz Wielkiego Księstwa Litewskiego, nie naraził swymi poezjami bezpieczeństwa osobistego. Opisał Jasieniec na Nowogródczyźnie z okazji poświęcenia tam swej „novaj chaty” (wtórowała mu siostra Anna).

„Pałac hojny, w nim pryhoża, paubierano wsiudy hożo...” (hojny — bogaty, pryhoża — pięknie, wsiudy — wszędzie).

W miarę przyswajania przez elitę kultury polskiej muza białoruska, odsunięta na margines, wnet nabawia się kompleksów, wygasa jej płomień, milkną słodkie dźwięki, degeneruje się w rumianomordego prostaka o gustach z niewybrednej burleski. W tumultie grabieży dzielnic Rzeczypospolitej dokonywanej przez ościenne moce odchodzi ona w zacisze lamusa, by stamtąd, od czasu do czasu, wysunąć SWÓJ niemodny łeb ku uciezce wykwintej gawiedzi upudrowanych dworaków. Przeszawała być wartością i dla samej siebie. Zaponniana, przeleżała się w ustroniu domowych bibliotek szanowanych rodów, wśród „papierów ruskich”, nad którymi nikt nie miał ochoty ślęzczyć ani się zastanawiać (może jakiś tam zabiedzony pisarzyna jak Czeczot albo suchotniczy Ludwik Kondratowicz).

O wpływach estetycznych i moralnych agresora znad Newy, mową i religią bliższego żywiołowi białoruskiemu — gwałty Moskali nie mogły tego przekreślić, reasumuje cytowany Ćvikiewicz — niepodobna wszak wypowiadać się tu seio. Wystarczy przypomnieć, że księgarnię rosyjską w Wilnie założono dopiero w 1864 r. i że nie stanowiła ona konkurencji dla aż piętnastu polskich; w takie same proporcje układała się liczba drukarni. Na „bukwach” i rosyjskim piśmie znali się sprowadzeni tu z guberni podmoskiewskich urzędnicy oraz popi, przekabacani z parochów. Wydawcy — jeśli zachodziła konieczność — stosowali polską transkrypcję do tekstów krywickich, co z kolei denerwowało animatorów pochodzenia rusyfikacyjnego. Czynnikiem najwyższym nie godził się nawet na „lityry ruskie”, choćby miało to służyć celom dywersyjnym, choćby pozomie nie chciał tolerować białoruskiego języka. „— Utrwalcie język w pisaniu, przydajcie mu niejakię ogłady literackiej, spiszcie jego zasady gramatyczne, wprowadźcie go do szkół, tedy sposobami temi — o zgrozo! —

wytworzyć i rozwinąć narodowość odnośną<sup>14</sup> — dywagował podkształcony stupajka. O ciemności dantejskie!

Mądrzejszy dominuje głupszego, silniejszy słabszego, wyrobiony mniej wyrobionego. Brandenburczycy podporządkowali sobie plemiona Łużyczan; miasto niemieckie uzależniło wieś mazurską; polskie mieszczaństwo imponowało zwłaszcza masie białoruskiej, Białorusinowi zaś nie dorównywał zarośnięty po białka oczu półtatarski „kacap” z Powołża... Fala wyższości toczyła się od Europy Zachodniej do przedgórzy Uralu. Spieniona i pchnięta dalej imperatorską dłonią Piętrową, zatopiła Syberię po Pacyfik i pustynie przedperskie, wyniosła łodzie słowiańskie do fiordów Alaski, a także musnęła Kalifornię (kolonia Rosa). Zapatrzenie chłopa na pana, parweniusza na elitę. Łużyczanin czy Mazur wołał konwersować na rynku po niemiecku, bo miał w tym odwiecznie ten sam interes gospodarski; identycznie czynił Litwin w spolonizowanym mieście itp. Któż chce uchościć za gorszego? Otoczenie jednocześnie nie cierpi lepszych! W moich Krynkach, w tych, które przeminęły z wiatrem, obcość utożsamiano z polszczyzną, szczególnie dotyczyło to ludzi przyzwoiciej ubranych (bogactwo i ruskość miały się do siebie niczym ogień i woda). Oczywiście pokazałby mi plecy najlepszy z kumpli, taki „do cudzych guszek i dziewczuszek”, gdybym nagle zechciał gadać do niego po „pańsku” (czyli, rzecz jasna, po polsku). Splunąłby przez zęby z obrzydzeniem. — Ludzi nie poznajesz, wypierdku przemądrzały! I nie przeszkodziłoby mu to wcale zachichotać ze mnie, gdyby mi „odbiło” przemówić właśnie „po swojemu” na zborze gromadzkim! Krzyknąłby z tylnego rzędu: — Ej, ty tam! Nie jesteś na przedstawieniu, nie rób komedii z zebrania!... Komplex niższości jest wynaturzeniem prywatnego życia, skarleniem.

---

<sup>14</sup> I. I. Kramko, A. K. Jurevicz, A. I. Janovicz, „Historyja białoruskaj literaturnaj movy”, t. II, Mińsk 1968, str. 11.

Rok 1696, w którym oficjalnie zamierzano skończyć z urzędowaniem w języku Księstwa, na razie w sądach głównych trybunalskich, to dla nas nieomal starożytność, jeśli przyłożyć doń miarę dystansu psychicznego. Dużo mniej natomiast w sensie rzeczowym dzieli nas od oplakanego w skutkach anulowania w Warszawie niniejszego artykułu Statutu Litewskiego: „A pisar ziemskij po rusku mając literami i słowy ruskimi vsi listy i pozvy pisaci a nie inszym jazykom i słowy”. Piotr Wielki, bez większych kłopotów, przeistacza Białoruś w obszar operacyjny dla batalii toczonych ze Szwedami, a każda zwada nieproszonych antagonistów dewastowała kraj gospodarczo, wyludniała powiaty, pogrążała coraz to nowe dzielnice, już i wcześniej ciężko doświadczonej obcymi najezdami Litwy (separatystyczne ruchy, popierane przez Janusza Radziwiłła, tego białoruskiego Mazepę, to naiwna próba usamodzielnienia się kraju). Czy ktoś rozpaczał nad tym, poza słańszoną rodziną chłopską lub obrabowanym przez maruderów rzemieślnikiem? Z pożarciem przez cesarstwo Katarzyny II płałów Rzeczypospolitej nie pogodzono się w ... zaledwie pięćdziesięciu jeden majątkach, które naturalnie natychmiast przejął skarb. Rzesze obywateli ziemskich na wypródkę przekonywały Petersburg: żyjąc nie w Polsce, czujemy się jak w Polsce, a nawet i lepiej niż w Polsce! Znaleźli się też tacy, którzy niezwłocznie poczuli się Rossyanami... Weźmy choćby haniebny przykład hrabiów Potockich. Okraszone polonofilstwem rządu Pawła I spowodowały zamęt w uperukowanych głowach! Wmawiano sobie, że nic strasznego się nie stało, że właściwie jest dobrze, bo to i porządek się pojawił, i ukrócono naprawdę dokuczliwą anarchię eto., eto. Wolności narodowych i religijnych najgłupszy uniadnik nie śmiał tykać, prawosławny poddany pana — podkreślano — nie może liczyć na żadne ulgi. Przyniesiony na bagnietach absolutyzm nie zagrażał stanowi Polaków, wręcz demonstracyjnie tolerował to, co dzisiaj nazwalibyśmy samorządem narodowym lub zgoła

autonomią ograniczoną (przywrócono wiele praw przedrozbiorowych, a w tym kilka formacji wojskowych). Rosja nie uznała rozwiązania przez papieża zakonu jezuitów, którego światowym centrum stał się Połack (braciszkanie w Stanach Zjednoczonych uratowali się, organizując się w Prowincję Białoruską!). Gdzieś tam w falach zapołockiej Niaszczardy pluskał się koło oczeretów mały Jaśko, syn pana Barszczewskiego, niebawem scholar i kolega klasowy Franciszka Dziarużynskiego, który w niedalekiej przyszłości miał aktywnie działać w posiadłościach zakonnych jankesów. Wspominam tu już o pocie nowojęzyka!

Najsoczystsze zabytki języka białoruskiego, nie zdeformowane kolokwializmami z czasów poprzedzających okres stopniowej nobilitacji tej mowy w piśmie i druku, ocalały w archiwach szkół jezuickich. (Staroruszczyznę wzbogacano przecież obcym zasobem leksykalnym, leksykonem z zewnątrz wyuczonym). Są to intermedia i interiudia dla teatrzyków. Najwcześniejsze pochodzi z roku 1651, ostatnie, twierdzą szperacze, z 1787 (gimnazjum w Zabieliu na Połoczczyźnie, zbiór rękopisów wykładowców retoryki Maraszeuskiego i Ciacińskiego rodem z Warmii). Mnóstwo białoruteników spłonęło w Powstaniu Warszawskim! Egzemplifikowaną analizę „Początki dramatu białoruskiego” przeprowadził Józef Gołąbek, ogłaszając ją w przedwojennym „Życiu Teatru”.

Dramaturdzy zabięscy, uciekając się do podlejszego gatunku, a zarazem nie zarzucając estetycznych kanonów klasycyzmu, zamasyżycie czepali także z gwary pospólstwa. W tymże 1787 roku Kajetan Maraszeuski prezentował na deskach sceny uczniowskiej swą sztukę „Comedyja”, w dwóch trzecich językowo niepolską. Było to wydarzenie niebanalne, historycy literatury uznali sztukę niejako za premierę nowoczesnego słowa białoruskiego, renesans jego kariery. Z głównych postaci — jeno diabeł, przebrany za panicza, peroruje po polsku. Pełnokrwisty chłop pańszczyźniany, Dziomka, zarysowany z niespotykaną



drzewiej trafnością psychologiczną, nie może, zwyczajnie, żyć wyłącznie dla siebie; taką ma naturę. Dziejcie drze się: — Płać, skurwysynu! Płać, ty żmijo chłopska! Dziomka na to: — Jakija wy dumi, choć i pany. — Ten „dusza człowiek” przerasta typowego Rusina, vel Litwina, występującego w dotychczasowych intermediach, mądry wobec szlachcica, przebiegły w rozgrywce z czartem, pełen poczucia godności przy ubijaniu geszeftów z Żydem-kramarzem, czuły na punkcie honoru, skory do przechwałek (żona ponoć go ubóstwia!), zapalczywy, udaje szlachetnego głupca w obliczu niechlubnej przegranej. Bywa Dziomka i wyniosły, ale nieobca mu jest dyplomacja, gdy trzeba rozwiązać jakąś kwestię. Pełna, wielostronna osobowość.

Urodzaj był na widowiska w kolegium zabielskim. Towarzysz Maraszeuskiego po fachu, Michał Ciaciński, realizuje własną przeróbkę komedii Moliera „Lekarz mimo woli”, wprowadzając do niej sialanau (chłopów) z krwi i kości, Chviadora i Apanasa. Dostawszy się w ich obroty, pseudomedyk zostaje błyskawicznie uleczony z niemoty. Publiczność — nietrudno to sobie wystawić — pękała ze śmiechu.

Łacina również szarogęsiła się w urzędach i instytucjach działających na niezmiernych przestrzeniach Wielkiego Księstwa Litewskiego, od Infantów polskich, tuż koło granicy szwedzkiej, po bagna poleskie; sięgała po Księstwo Ruskie z Podolem i Ruś Halicką, a nawet anektowany przez Moskwę Smoleńsk. Augustyn Rothundus, renesansowy burmistrz Wilna, odnosił więc zwycięstwo z za grobu. Tuż po unii lubelskiej ukończył on mianowicie w mowie cesarów „Kronikę Litwy” i przełożył na ten język sławetne Statuty Litewskie, w przedmowie do których kategorycznie postulował rugowanie ruszczyzny, na gwałt dowodząc, iż mieszkańcy Żmudzi i Auksztoty to... krewni Rzymian i dlatego nie widzi powodów, by się z tym kryć etc. W tych, delikatnie mówiąc, domniemaniach Rothundus nie był

odosobniony. Uporządkował on w spójną wypowiedź na razie mit o indoeuropejskiej rodzinie języków, któremu sprzyjała wyjątkowa archaiczność form mowy, no, Żmudzinów. Wieki całe miały jednak upłynąć nim wyrosła specjalistyczna gałąź wiedzy, lingwistyka, wyjaśniając zaskakujące podobieństwo form litewskich i łacińskich, którym mile emocjonowano się w podkształconych i spragnionych sznytu dworkach pod Kownem i Szawlami, na Laudzie.

Triumf święciło principium: gente Lithuani, natione Poloni.

Artykułem 32 w rozdziale trzecim Statutów wydanych w 1588 roku zezwolono w końcu Kościołowi katolickiemu w tej nie-Polszcze — przyłożył się do tego Piotr Skarga? — na używanie języka polskiego w kazaniach i w piśmie. Kraków promieniował więc oślepiająco. Ekspediowanie samozwańców na stolec kremłowski to wynalazek polityki bodajże Mniszchów sandomierskich, niezwykle zadufanych w sobie, kontynuujących małopolską tendencję ekspansji za Bug, za Niemen, za Dniepr, kędy wbijano się zagonami, niczym nożem w masło (liczne Rusie poddawały się, a jeśli zdarzał się opór wobec okrytych chwałą Grunwaldu ciężkozbrojnych, to raczej symboliczny. Kres temu procesowi położył dopiero Iwan Groźny; śmierć jego spowodowała jednakże niesłychane rozprężenie, „smutę”, w carstwie zlepionym przez tego ostatniego z Rurykowiczów za cenę tak niesamowitą, że nie powstydziliby się jej sam Timur z Samarkandy).

Historia Białorusi, jej nierozłączność z Polską i Litwą... Kłamałbym bezwstydnie mówiąc jedynie o świetlanych stronach związku obojga narodów, uświęconego ślubem królowny Jadwigi z kniazem Jakubem Jagiełłą, ochrzczonym imieniem Władysław. Wątpię w istnienie stadeł partnerskich — takich pomiędzy państwami nigdy nie kojarzono, nawet w aurze idealistycznych tęsknot. Biała Ruś zesłała się z Litwą przed flitem z Auksztotą i Żmudzią; zachowała się jak skromna starsza siostra, ustępująca

pierwszeństwa młodszej w szumnym zamążpójściu 1386 roku, stając się, nie wiadomo kiedy, prowincjuszką Taka umowa nie jest zabawą w spotkania i rozstania Laury i Filona, zawsze wiąże się z alternatywą: być albo nie być. Ktoś niespożycie zdrowy i silny szuka poparcia, i jeśli komuś innemu to odpowiada — dochodzi do ugody. Dyplomaci nazywają to wzajemnie korzystnymi stosunkami (ładnie brzmi, nieprawdaż?). Nie ma sojuszy między silnymi.

Podobne refleksje nawiedzają mnie, ilekroć wyruszą za kordon. Czasami aż dziw mnie bierze, że wytrzymuję owo ciągłe dumanie o Białusi. Jest w nim jakaś darwinowska fascynacja kłębiącą się wokół walką — słabeusze przeklinają siebie za porażkę, zwycięzcy słusznie nie są zupełnie pewni swej wygranej, biedni nienawidzą nędzy, a każdy żywi jakąś nadzieję. Białoruskie życie narodowe po dziś dzień dąży do całkowitego spełnienia, i kto wie, czy w tym niedosycie nie tkwi jego nie dostrzeżona szansa na wspaniałe, zawzięte trwanie, ukryty ładunek mocy. Przeciwności hartują. — Pisarz szczęśliwy przestaje tworzyć — żartują kawiamiani kpiarze. Mieć sprawę do świata to waunek vitalności kultury, powiedzą filozofowie.

W bezchmurny lipiec, na półmetku pracy nad tą książką, złożyła mi wizytę pani Liliana Olchowik-Ślifierz ze „Światowida”. Po kobiecemu cudownie nieświadoma zamieszania, jakie wniosła w rytm mojej doby, z miękką rzeczowością wypytała z grubsza o to wszystko, nad czym tak się trudzę, ciągnąc niniejszą gawędę. Wystuchała mojego entuzjastycznego klekotu; przeleciałem się — bagatela! — nad więcej aniżeli półtysiącleciem polsko-białoruskim. Wolno pokołowałem ku targowisku, z którego sypały się na mnie nie tylko istne snopy iskier znania, lecz i ogniste złożeńia na moją rozrachunkową publikację „Nasi Białorusini” (w cytowanej „Gazecie Współczesnej” z 5 kwietnia posierpniowego roku). Ogląd z lotu ptaka, to pouczający zabieg obserwacyjny. Ochłonawszy z

początkowego wzburzenia powoli zrozumiałem, że zamiast bez sensu użerać się z oponentami mógłbym skorzystać z okazji prawie laboratoryjnego zbadania recepcji zjawiska białoruskiego na tym naszym skrawku przedwojennych kresów. Jakże z tego wnioski? Ano, nie spieszy się. Nie chodzi już nawet o to, że pani Liliana (przygrodzieńskiej proveniencji) na pewno weźmie się do reportaży o Białorusinach, a będzie pisać równie malowniczo-idyllicznie, jak zapewne uczyniłaby to jej matka (gdyby w swoim czasie była dziennikarką). W Londynie poznałem panicza postarzałego na obczyźnie, który łaskawie wstąpił był na mój wieczór autorski w Białoruskiej Bibliotece i Muzeum imienia Franciszka Skaryny (The Francis Skaryna Byelorussian Library and Museum). Panek ów z ojcowską serdecznością wspominał dbałych parobków i wyśmienitych furmanów, patriarchalne rozhovory z nimi... Bezproblemowy świątek.

Powracając do realiów: „Światowid” dostanie od mej rozmówczyni pocztówkową relację, być może ilustrowaną tłukiem poczcwiwów na odpuście przycerkiewnym, reprodukcją ikony pędzla zapomnianego prymitywisty, chatą z rzeźbionymi okiennicami, smakowitym fotograficznym ujęciem biodrzastych dziewczek w klubie rolnika, komicznie uspodnionych na dżinsową modę, lub dobrotliwą fizys brodatego „światara” na zgrzebnej parafii i targiem w budnym miasteczku... Skąd my to znamy? Ziemiańskie epatowanie polskim wschodem. Chryste, jakie to zakorzenie w odnuchach pokoleń, które doszukują się egzotyki Sienkiewiczowskich Dzikich Pól w obrazach mistrzów wystawianych w pretensjonalnych salkach i w rycinach opasłych tomów, które mówią tym, co było, a czego już nie ma.

Literat Aleksander Omijanowicz rozpowszechnił (w kseroodbitkach) publiczny donos na mnie — nie pierwszy — rozwścieczony moim utyskiwaniem, że Białorusini nie są traktowani fair. Chwyćcie za długopis, by udzielić stanowczej odprawy, aliści... po co? Cokolwiek można by powiedzieć, i on, i

ja patrzymy z podobnej perspektywy psychopolitycznej; prezydenta Narutowicza zamordowano, gdyż bronił mniejszości Drugiej Rzeczypospolitej. Stosunek do roli Hromady, moim zdaniem, doskonale streszcza choćby tekst w dzienniku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, którym przedwczoraj zareplikował mi jakiś czytelnik (szefowie pisma gorzko potem żalowali udzielenia mi głosu): „Uważam, że jest to prowokacja wobec narodu polskiego”... (5 lipca, po sierpniu). Cóż, wołałbym tego nie zrozumieć; taka wypowiedź nie kwalifikuje się poza tym do dyskusji.

Oho! Niezniszczalność stereotypu; stereotyp, panoczku kochanieńki, to stereotyp! A nużta książkapomoże?

Et, autorze durny, papier swoje, a ludziska swoje. Nigdy inaczej, tak już zostanie. Tak to, paniedzieju...

A ja swoje i swoje: Polska i Białoruś — siostry. Rodzone, nie przyrodnie!

A czy to siostra siostrze, panie szanowny? ... Hę, hę...

Bywa, bywa... W najlepszej rodzinie trafia się, Boże ty mój, Boże!

W tym gawędzeniu dla Polaków (o bratnich związkach) proszę zauważyć powtarzanie się określenia „pierwszy”. Domyślamy się, iż jest tak dlatego, gdyż rzecz dotyczy narodów młodych. Okaże się to w trakcie lektury prawdą nie tyle częściową, ile niejednoznaczną. Białorusini obchodzili bowiem swoje millennium zaraz po Polakach, a prapoczątków państwa dopatrują się w niezawisłości zasobnej i ekspansywnej Ziemi Połockiej. Początki zaś odrębności artystycznej, owego probierza tożsamości, tu i tam przypadają na trzynaste stulecie, owocne w tym względzie zarówno dla Lechitów, jak i dla Rusinów. Grzmiął Kiriła Turauki, przewany Drugim Janem Złotoustym, powstają, średniowiecznym zwyczajem utwory o świętych i męczennikach, jak „Życje Jęfrasińni Połackaj” („Żywot Eufrozyny Połockiej”), podnoszące talenta władczyńi na Połacku, świętej i

bezkompromisowej patriotki, której legenda jako żywo przywołuje obraz Wandy (co nie chciała Niemca), przeradzając się w kult ogólnonarodowy. Księżna — ihumenja, czynna również pisarsko, przekazała potomnym wcale obszernie wypowiedzi programowe, noszące wciąż znamiona aktualności.

Niemożność całościowego ujęcia procesu kształtowania się kultury duchowej Białorusinów wynika stąd, iż był to proces wielokrotnie hamowany przez czynniki zewnętrzne. Ostatecznie ugruntowujący się potencjał słowiańskiego wschodu oddziaływał i na ten obszar, niebawem już zwany Rusią Litewską, powodując silną polaryzację prądów umysłowych. Zwarcia orientacji wschodnich i zachodnich stwarzały luki wysokich napięć, spopielając do fundamentów struktury rodzime. Ruś Moskiewska, mozolnie oswabadzając się spod protektoratu Złotej Ordy i uzyskując byt niepodległy, coraz natarczywiej pretendowała do praw spadkobierczyni mocarstwowych ambicji Rusi Kijowskiej... Przymierze mieczowe Polski z Wielkim Księstwem Litewskim w niecałe dwa wieki później spłodziło dziwaczne dziecię ideału demokracji stanowej, żałościwej pamięci Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Utarczki między Wawelem i Kremlem rozgorzały, rzecz jasna, na rachunek województw granicznych, i przydaje się tu dla skrótu myślowego porzekadło gminu: „Pany się biją, a chłopom czuby lecą!”

Michał Bobrzyński w niezapomnianych „Dziejach Polski w zarysie”<sup>15</sup> sformułował tezę, iż warunkiem rozwoju narodów jest zdolność organizowania się w silne państwa. W jego „Myślach pierwszych”, spisanych za czasów naszych pradziadków, znajdują coś dla siebie: „Ze słabym i złamanym nikt się nie liczy, pomoc tylko silny ku sobie przyciąga. Kłamiąc współczucie i litość, posługiwała się zagranica naszą sprawą w samolubnych celach...” Charakterystyczna dla niego ostrość sądu wykluczała uciekanie

---

<sup>15</sup> Michał Bobrzyński, „Dzieje Polski w zarysie”, wyd. 4. W-wa 1927.

się do wykretów, nie silił się na obiektywizm, który to w przypadku konkretnych problemów staje się niedościgłym ideałem. Uważał, że „bezstronnym może być tylko fakt historyczny, który jest przedmiotem badania. Historyk musi wobec niego pewne stanowisko zająć. Historyk, który by nie chciał żadnego stanowiska zająć, podobny byłby do człowieka, który błądzi wśród lasu, ociera się o drzewa, ale nie obejmuje jednej rzeczy, tj. samego lasu”. Więc fakty są surowcem, podstawą produkcji myślowej, na razie mniejsza o to, lepszej czy gorszej... Mariaże klepiących biedę suwerenów na Międzymorzu z Polską kolejno dawały odstrasżające przykłady, niestety. Wcześniej lub później kończyły się niczym w endeckim scenariuszu: cherłaka lagą po grzbiecie!... Ze zdumieniem przyjmuję zatem złość opozycji antyrządowej w kraju i poza nim, skierowaną przeciw nam, Białorusinom, jako że mimo hańbiących kolei swego żywota narodowego, stanowczo opowiadamy się za ledwo odepchniętym zaborcą, Rosją, całujemy się zatem z Rosjanami radzieckimi siarczyściej aniżeli sami Ormianie, wdzięczni Moskałom do grobowej deski za wybronienie ich narodu przed kompletnym wyrżnięciem przez azjatycko dzikich Turków (szok był tak potworny, że genialny Komitas-Sagamian umierał dwadzieścia lat w Konstantynopolu i Paryżu, nie odezwałszy się już ani słowem do świata żyjących!).

Panuje opinia, że porażki Europy mają swe przyczyny w niedocenianiu Bizancjum, które przepadło jedynie w wymiarze fizycznym. Stosowało ono najzwyczajniejszy podział — na poddanych i wrogów. Złe nosiło partnerów, dążąc do uczynienia z nich wasałów albo przeciwników. Każdy sposób walki był tam dopuszczalny, nawet barbarzyństwo. Bizancjum żywiło pogardę dla słabych, a respekt tylko dla równych sobie. Było światkiem okłasków i intryg; monstualną szkołą donosu i potakiwania. Rosja zwielokrotnieniem bizantyńskości? Z jej historii wynika pocieszenie dla małych narodów; imperia posiadają przed sobą

przyszłość jednak krótszą od przeszłości, co nader pogłęboko ujawnił los Polski.

Czesław Miłosz w „Rodzinnej Europie” konstatuje, że Białorusinom brak łutu szczęścia...

Ten przyszły laureat Nobla ujął to tak:

„(...) Polaków i Litwinów łączyła wspólna niechęć do religii prawosławnej i jej wyznawców. Odium spadało na Białorusinów, znanych z bierności, niezaradności i pokory wobec losu.

Przyznaję się, że Białorusini są dla mnie dotychczas zagadką. Wielki obszar, zamieszkały przez masę słabiej uciśnioną, mówiącą językiem, który można by określić jako pomost pomiędzy polskim i rosyjskim, z poczuciem narodowym jako najpóźniejszym produktem nacjonalistycznych ruchów w Europie, z gramatyką ułożoną dopiero w XX wieku. Natykamy się tutaj na płynność wszystkich definicji i taka masa łatwo, zamiast być podmiotem, może stać się przedmiotem w rękach obcych. Moskwa popierała szkoły i utworzyła pierwszy białoruski uniwersytet. Warszawa prowadziła politykę mniej szczęśliwą, zakazując, z paroma wyjątkami, odrębnych szkół i stosując więzienie jako środek przeciwko wszelkim próbom organizacji od dołu. Trzeba jednak przyznać, że jej urzędnicy stanęli przed wyjątkowo trudnym dylematem. Nic ich nie przygotowywało do tego zadania, bo nigdy dotychczas nie istniało pojęcie białoruskiego narodu, a język był uważany za miejscowe narzecze, tak jak we Francji langue d'oc. Jeżeli, przewyżając te psychologiczne opory, pozwalali na zakładanie odrębnych szkół, wyniki okazywały się z ich punktu widzenia najgorsze. Chłopski syn, rozwijając poprzez wiedzę swoje dobrze ugruntowane urazy, dostępował pierwszego stopnia cywilizacyjnego wtajemniczenia, tj. prawie z reguły zostawał komunistą i działał na rzecz »reunifikacji«, tj. odcięcia od Polski jej wschodnich województw.

W tym bezkształtnym społeczeństwie wiejskim brak było węzłów krystalizacji, tak wyraźnych u Bałtów. Stąd być może



gotowość przyjęcia takich węzłów z zewnątrz. Jedno jest pewne, że Białorusinom nigdy nie wiodło się dobrze i że dano im, jak złapanej rybie, do wyboru pomiędzy patelnią i gamkiem, tj. pomiędzy polonizacją i rusyfikacją".<sup>16</sup>

Passus z Miłosza oddaje przeciętny pogląd polskiego inteligenta lat międzywojennych, który niezbyt radośnie angażował się w cele skrajne i którego cechowało niejako umiarkowanie osądów. Ani emocjonował się on tymi zmaganiem białoruskimi, ani im ochoczo przeszkadzał. Zimne spojrzenie? I skąd miał on wiedzieć, że niejedną gramatykę tego języka ułożono wcześniej niż gramatyki tych nacji, które od dawna uchodzą za w pełni dojrzałe (Słowacy, Finowie). W 1853 r. Paweł Szpilewski ukończył „Gramatykę białoruską i słownik”, a podobnego dzieła — nic nie wiedząc o istnieniu tamtej wersji — dokonał niemal równocześnie Xawery Niałdźwiedzki... Daremne to były trudy: Cesarska Akademia Nauk w Sankt-Petersburgu odrzuciła obie prace i to do tego stopnia skutecznie, że nie miały one ujrzeć druku.

Rozprowiałem o caracie, któremu Polska przeciwstawiła unarodowiony superkatolicyzm, moralne przywództwo kleru i płatoniczne poparcie Zachodu. Białoruś natomiast, po latach identyfikowania się z tą Rzeczpospolitą, istotnie spadła do poziomu prowincji podbitej, a jej indywidualność, w zasadzie spolonizowana aż do przedpoli siół pańszczyźnianych, stała się indywidualnością regionalną. Katolicyzm nie zadomowił się tu, co można zrozumieć w kontekście jego wtórności i odwiecznej konfrontacji z prawosławiem. W tych stronach wszędzie, gdzie zwyciężał, niósł ze sobą osłabienie i, w konsekwencji, zanik tożsamości narodowej (tak stało się na Podlasiu, tak dzieje się na naszych oczach na północy kraju białostockiego). „Polskaja wiera”

---

<sup>16</sup> Czesław Miłosz, „Rodzinna Europa”, „Twórczość” nr 6, Warszawa 1981.

i „ruskaja viera” (polska wiara i ruska wiara) to zabójcze zbitki kresowe, ale i sygnał doświadczeń zbiorowych.

Skoro badacze zachodni i amerykańscy — Shirin Akiner, Bird i inni — nie przestają patrzeć na trwałość istnienia białoruszczyzny niedowierzającym wzrokiem świadka niesłychanego cudu, to chyba warto poddać im pod uwagę i ten wywód Miłoszowy, który dla nich jest paralełą i aksjomatem zarazem. Noblista, nieprzytomnie fetowany w Warszawie, podzielił się szczególnie cennym dla mnie spostrzeżeniem: „Na emigracji myśli się o tym, żeby zacząć pisać w innym języku — ze względu na kontakt z publicznością. Przekonałem się, że mogę pisać tylko w języku dzieciństwa. Można technicznie znać język (...) lecz kiedy próbuje się w nim pisać, powstaje jakaś psychiczna przeszkoda, blokada wewnętrzna. Pozostała mi więc wyprawa w głąb polszczyzny”.

I jednocześnie uzupełnia to gdzie indziej:

„Kto pisze po polsku, musi sobie powiedzieć trzeźwo, że polscy czytelnicy tylko udają, że interesują ich jakiegokolwiek ludzkie problemy. Naprawdę interesuje ich tylko jedno: bycie Polakiem”.

Podkreśla: „Cała kultura polska rozwijała się w orbicie Watykanu...”

Bywałem na szlaku prowadzącym do doliny Issy. W swojej Arkadii trójjęzyczna. Nie opodal stolicy zgasłego państwa Litwinów i Białorusinów. W Ostrowcu (Astraviec), gdzie wieże kościołów (cerkwi tam nie ma i nie było) i przeserdeczna białoruszczyzna na każdym progu (do granicy z Lietuvos Tarybu Socialistine Respublika dwie ruskie wioisty za Gudagajami). Przy wystawnie zastawionym stole u Czesia Rynkiewicza, przewodniczącego kołchozu Czyrvony Kastrycznik (Czerwony Paździemik). Nocując u rybaka Ramana Wasileuskiego, w chacie pod Mikszanskim borem (w sąsiedztwie opuszczonej hydroelektrowni rejonowej). Pod Bialkiszkami, na stromiźnie

Janauskiego rozlewiska, gdzie kolonia bobrów na ostrowiu porośniętym łożyną, nad ciemną wodą głębi, zachciało mi się głupich wyczynów pływackich, by nastraszyć rodzoną żonę oraz słucką szwagierkę. Brat stryjeczny, Wałodzik, radziecki inżynier — tamtejszy drogowiec i dysponent jeopa, woził nas do Wina, Trok (tatarsko-karaimskie specjały, „kibina” w szykownej restauracji przyjeziornej) za rozwidleniem dróg z polskim także haśliskiem: „Sława KPZR!” Kelneka zwraca się do klientów wyłącznie po litewsku. Uśmiechnąłem się na wspomnienie utyskiwań zabiedzonego pana Romana, żyjącego jak muzyk, którego bracia gracko „poszli w pany”, starszy przemianował się na Vasilauskasa, młodszy — na Wasilewskiego... Kultura, takie a nie inne fascynacje, upadki to sfera pozapolityczna; święci ona swe triumfy oraz oplakuje klęski bez względu na ponoć sprzyjające jej rewolucje społeczne lub ich brak?

Obserwuje się nawet mody na określenie: prawosławny Polak, funkcjonuje ono oczywiście jednokierunkowo, niczym ponudzanie się cząsteczek ku biegunowi. Dla przeciętnego człowieka brzmi to jak dawne: gente Lithuani, natione Poloni. Do tego roztworu, by najprościej zbadać jego elementarne właściwości, wpuściłem kroplę odczynnika, drukując w siedemnastym „Biuletynie Informacyjnym” białostockiej, legalnej jeszcze, „Solidarności” eseik: „Czy Pan Bóg nie rozumie po białorusku?” Okazało się, że — nie! Odzew czytelniczy można by streścić słowami Johana Huizingi: „Patriotyzm — mówi głupiec w każdym z nas — to nasza cnota, a nacjonalizm, to cudzy grzech”. — Postulowałem altruistyczne posługiwanie się również białoruskim w świątyniach Królowej polskich kresów. W niczym nie czułem się tu oryginalny. Od czasów najdawniejszych modlono się w tej mowie; na progu dwudziestego wieku wychynął białoruski katolicyzm, który, pozbywając się onieśmienia właściwego tworam małym i słabym stworzył był ekspozyturę partyjną: Biełaruskaja Chryścijanskaja Demakratyja (Białoruska

Chrześcijańska Demokracja). Ojcowie Marianie w Dru. Księża — Hadleuski, Hermanowicz, Hrynkievicz, Stankiewicz, Stapovicz, Karuza, Paźniak, zastępy kleryków; pisma „Biełauskaja Krynica” („Zdrój Białoruski”), „Ślach Moładzi” („Droga Młodych”), „Chryścijanskaja Dumka” („Myśl Chrześcijańska”)... Pozbawieni możnego mecenasa, zwalczani bez skrupułów przez wszystkie możliwe czynniki władzy, zarówno stabilne, duchowne, jak i świeckie, zdenerwowane przepychanką i zmiennością granic na tej „cholewie Wschodniej Europy” (kształt geograficzno-polityczny Białorusi Zachodniej przypominał wysoki but). Biskup wileński Jałbrzykowski, rozhisteryzowany białorusożerca, budzący niesmak w kręgach światlejszych senatorów, doznawał stanów przedzawałowych, słysząc plotkę, że gdzieś w powiecie białostockim, w Korycinie, wygłasza się z ambony kazania nie po polsku! O co mu tak chodziło? Czy o to, by unicestwić udział Kościoła Powszechnego w budowie domu białoruskiego? Czyżby był nieświadom tego, iż duch podległego narodu, grzebany ongiś jako schizmatyczny, zmartwychwstawał w oprawie... katolickiej? (Jego nowi chłopscy prawosławni twórcy wyrosli w dobie rewolucji antykapitalistycznych). Cała rzecz w tym, że polska kultura jako kultura szlachecka w okresie trwania polubelskiego dominium wspólnoty wessała jedynie elitarną formację kulturotwórczą, a więc kulturę bojarów, powodując tym stan, w którym sfederowane terytoria uzyskały zaledwie fikcję autonomii. W końcu Rzeczpospolita Obojga Narodów, na mocy Konstytucji Trzeciego Maja, zaczęła dogorywać. Ponieważ w historii za wszystko się płaci, mentalność polska została tknięta chorobą megalomanii narodowej (podobnie jak u Madziarów, gdzie nawet rewolucjonista Kossuth negocjował prawo do emancypacji Słowacji, tzw. Górnych Węgier, Słowenii, Chorwacji, Rusi Zakarpackiej). Szwy feudalne puściły jednak i tutaj, zaczęła się inwazja chłopstwa muśniętego polskością raczej kościelną (językiem kantyczek). Jakież mocarstwo mogłoby przełknąć ten żywioł bez

ryzyka udławienia się nim, a wydarzenia wówczas nagliły. Idealny zarys rozprzestrzenionej Polski pękał; jego fragmenty barwiły się po swojemu — odłączyła się ogromna połać mieniąca się Ukrainą, wyszczerbił się solidny owal Białusi, u góry odprysła Żmudź, z widoczną pychą Litwą się nazwawszy, i nieznaną do tej pory Łotwa. Między na powrót stołeczną Warszawą a nieuduszko muskularną dwójstolicą drugiego z Mikołajów ruszyły lody szeroką rzeką od Inflant po Morze Czame. Drgnęły w niej drzemiące ludy, szybko uzyskując świadomość narodową. Dryfowali na boku, rozpaczliwie uderzając płetwami o nadciągające fale, również Białorusini, wytryskując z dusznych jam niczym zaszczuci nędzarze. Biednemu zawsze wiatr w oczy!

Rosja radziecka, ogłaszając słynną deklarację o prawie do niepodległości podbitych narodów byłego cesarstwa, a także anulując traktaty rozbiorowe, ustępliwie dyskutowała kwestie rubieży wschodnich odradzającej się Polski (włącznie do linii z 1772 r.). Tak też się stało — dziecię nadwiślańskiej niepodległości przekarmiono tymi mniejszościami, słabowało ono aż do schyłku dwudziestolecia, gdy zauważono wreszcie upragnione oznaki trawienia tychże mniejszości.

Minister pełnomocny Leon Wasilewski, przychylny onegdaj „Naszej Niwie”, uwypuklił w sprawozdaniu z rozmów z Radą Białoruską w 1920: „...uzyskanie ze strony Białorusinów poparcia dla stanowiska Polski w rokowaniach z bolszewikami — przy jednoczesnym uchyleniu postulatów uznawanych przez nich za minimalne”. Widocznie tak być musiało, odkąd przekonano się, że poczucie samodzielności partnera to za mało, by uczynić go partnerem równym; decydował oręż.

W rezultacie tych pertraktacji, jak świadczy zestawienie sporządzone przez tegoż Wasilewskiego, z dwudziestu pięciu postulatów Rady Białoruskiej przyjęto jedynie dwa, najmniej istotne: Wśród uchylonych — na pierwszym miejscu znajdują się takie jak wydanie deklaracji zobowiązującej Polskę do

rozwiązania losu ziem białoruskich zgodnie z wolą ludności oraz wprowadzenia języka białoruskiego do biurowości gminnej i korespondencji gminy z powiatem.. W tej sytuacji trudno mówić o możliwościach realizacji jakichkolwiek postulatów federacyjnych, toteż wkrótce ostatni politycy białoruscy, w tym i zajadli polonofile, wycofali się ze współpracy z Polską. Słusznie także ocenił sytuację sam Piłsudski, stwierdzając:

„Zasady federacji nie da się zastosować na tych ziemiach, przychodzimy wszak z bronią, co jest sprzeczne z zasadami federacji (...) Poza tym nie ma tu tych, którzy chcieliby do tej federacji przystąpić”. Już nie ma, powinien być uczciwie dopowiedzieć. Po roku polskiej okupacji rysował się obraz jasny; nadzieje na porozumienie z ludnością miejscową, nadzieje na moralny wpływ Polski na federację, rozwiewały się, głównie za sprawą samej Polski, jej wojska i aparatu państwowego, które chciały panować, a nie wyzwalać, oraz miejscowej ludności polskiej, która pragnęła „inkorporacji” Białorusi, zapewniającej jej władzę nad autochtonami. Białoruś nie życzyła sobie zostać polskim przedmieściem. Wywiad sygnalizował: żywiol polski na Białorusi wszędzie prowadzi politykę zmierzającą do wcielenia tego kraju do Polski wbrew otrzymanym przez ludność od naczelnego wodza przyrzeczeniom poszanowania jej dążeń i stworzenia własnej państwowości. Pogląd, iż „Polak to pan” — ugruntowuje się w atmosferze lubowania się zwrotem „ty chامية”.

Doceniony dzisiaj Zbigniew Załuski napisze w „Między Wschodem a zgubą”: „... nic tak nie boli, jak uświadomiony ucisk narodowy”<sup>17</sup>. Białorusini i Ukraińcy bili się z Niemcami w dywizjach polskich dokładnie do 17 września 1939. Później odeszli, wrócili do domów, bowiem Armia Czerwona niosła im

---

<sup>17</sup> Zbigniew Załuski. „Drogi do pewności”, Warszawa 1984, str. 65.

wyzwolenie spod ucisku. Czyż można mieć żal o to do nich, że okazali się sobą?!

Koncepcje federacyjne obozu belwederskiego — bałamucenie, zawracanie głowy, dywersjadorażna, jak się okazało.

Stało się tak nie dlatego, iż Białoruś nie kwapiła się do tego związku. Wprost przeciwnie, co raz jeszcze przypomnę archeologom kultury politycznej obszarów leżących pomiędzy Warszawą i Mińskiem. Po prostu drogi tych narodów rozeszły się definitywnie. I znowu białoruski wyzwolenciel nie dogadał się z polskim dziedzicem w kwestii wagi międzypaństwowej, tym razem nieodwołalnie (chłopskie republiki: litewska i łotewska oparły się o bagnety Frei Korpsów; linię kolejową z Wilna do Kowna szaulisi przezornie rozebrali, wydarli z podkładami). Ćvikiewicz, jak widać, miał niebłahy zmysł analityczny;

klarownie wyluszczył ową niemoc warszawsko-krakowskich decydentów wobec zjawiska „fikcji białoruskiej” (z epitetów Dziadka), a my, wnukowie, odcytani w dokumentacji dostępnej w archiwach dyplomatycznych, przytaczamy na potwierdzenie jego słów dowody. Mądry po prostu wie, i tym się różni od uczonego.

— Co?

Że spóźnione żale?

Że sprawa ta upadła jeszcze wtedy, gdy dziad wyelegantowanego króla Stasia uparcie podpisywał się „Poniatouski”, a książę Ulryk Radziwiłł — jak poświadcza to z niemiecką skrupulatnością Aleksander Brücker — przemysłował nad reformowaniem pisowni starobiałoruskiej, by przybliżyć ją do wymowy potocznej, i przykładał się wielce do tłumaczeń na język litewski (czytaj: białoruski).

Siedzę przy maszynie do pisania, w pokoiku mego mieszkania na lichym trzecim piętrze wielkobloku. Zza uchylonych drzwi na balkonik dolatuje mnie kanonada przedźniwnej burzy, perliście kropi deszcz i jest marudnie. Nie tyle w senność osuwam się, co w jakieś majaczenia, obrazy batalii, pod Nieświeżem, manewry

regimentów magnackich; słyszę trzepot kawaleryjskich chorągwi, krzyki cel-pal, hura-aa-aaa... W tym wynędzniałym kraiku wojowano stanowczo ponad miarę.

Owi Radziwiłłowie, poza gromadzeniem dóbr doczesnych (figurki szczerozłote dwunastu apostołów w skarbcu zamkowym), wykonali w swych włościach kawał bezinteresownej pracy, czego przykładem są dzieje Pauluka Bahryma, ludowego poety z tamtejszego Kroszyna. Po sławnym teatrze panów kniaziów ocalały nie same jeno wspomnienia i bajdy wsiowe. Jakiś osad kulturalny pozostać musiał w pamięci rodziców Bahryma. W ślad za ojcem Pauluk wyuczył się kowalstwa (w miejscowym kościółku zachował się kunsztowny żyrandol jego roboty). Wyrabiając sobie markę „złotej rączki” czuł zarazem nieprzepartą chęć rymowania, co go wkrótce wykreowało na... podżegacza tłuszczy. Szesnastoletni raptem smarkacz „zarobił” na zesłanie w Mikołajowskie żołdacy. Wrócił — ustakował się, lecz swego krnąbrnego pióra nie porzucił, skrobał nim cichcem przy łuczywie (Ignacy Jackowski wspomina o konfiskacie policyjnej trzech zeszytów). Nie zachowałyby się z nich ani litełka, gdyby anonimowy wydawca w Londynie nie ogłosił swej „Powieści z czasu mojego, czyli przygód litewskich”. Szczęśliwie znał on na pamięć z Bahryma „Zahraj, zahraj, chłopcze mały”.

*Kab ja karszumom radziusia,  
Ja by bez Panowabyusia:  
U panszczynub nie pahnali.  
I u Moskali nie oddali.  
Mnie pastuszkom wiek niabyci.  
A u Moskalach trudna życi.  
A ja i raści bajusia,  
Hdzie ja biedny abiamusia?*

*(Gdybym jastrzębiem się urodził,*



*to na pańszczyznę bym nie chodził.  
Na pańskie bym nie ganiano  
i w Moskale nie zabrano.  
A tak pastuskiem nie zawsze będę,  
a u Moskali ciężkie życie.  
Ja i rosnąć się boję,  
bo gdzież się biedny podziję?)*

Kojarzy mi się to odruchowo z poematem Jana Barszceuskiego skonfiskowanego u Bahryma „Rabunki muzykou”. Wychowanek kolegium jezuickiego w Połacku, niedoszły student Uniwersytetu Wileńskiego, Jan kolegował z Adasem Mickiewiczem, już mając na swym koncie taką perełkę dydaktyczną jak „Ach, czymże twaja, dziewańka, hałouka zaniata” („Ach, czymże, dziewczeczko, twa główka zajęta”, 1809 r.). Barszceuski — dowodzą literaturoznawcy — zainaugurował dziewiętnasty wiek w literaturze białoruskiej... Karmiąc się klasycyzmem salonowym, niebawem dołączył on do młodych romantyków. Najpełniej zrealizował się w tomach: „Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach”. Niezmożony wędrowiec, zwiedzał zakątki rodzinnego Naddźwinia zasłuchany w podania ludowe, chłonąc folklor. Podróżował po Anglii i Francji. To on redagował w Petersburgu periodyk „Niezabudka”, równocześnie animując koło literatów białoruskojęzycznych.

Nazwiska Barszceuskiego i Bahryma wspomina się w kontekście rozruchów chłopskich, sprowokowanych francuską agitacją (rozpoczęły się one w czerwcu, w święto Kupały, noc przesilenia wiosenno-letniego, kiedy Napoleon pchnął swe korpusy za Niemen). Barszceuski, posesjonat z nad jeziora Nieszczarda, skąd jego praszczurowie chadzali z kontrabandą za rubież rosyjską, oczywiście potępiał owe parobczańskie grabieże dworów, w przeciwieństwie do piśmiennego chłopca Pauluka,

który wzywał do zemsty na srogim panu. („Pan siardzity, Baćka kijami zabity. Maci tużyć, siostra płacze. Hdziez ty pojdziesz, nieboracze?“).

Kresu nieprawościom nie kładzie współczucie co wrażliwszych paniczów dla niedoli ludu, wzorowe akty miłosierdzia jaśniepańskiego (czynsz miast pańszczyzny) ani trafianie ksiąg pod strzechy. W swej istocie nie przekraczała ta ludomania granic zakreślonych w „Rozmowie między panem, wójtami plebanem“.

Ogamia mnie myśl, iż moją religią jest białoruskość; jestem na nią chory! Znajduję ją w kamieniu i w drzewie, w napotkanym człowieku i zapamiętanym wyrazie jego twarzy. Niełatwo mi pisać o niej wprost, o Białorusi; jest z tym trochę tak jak z próbą opisu śmierci mego ojca: każda sekunda jego konania jest dla mnie tak wielką świętością, że nie potrafię zdobyć się na opis, chociaż nieraz próbowałem (zawsze z uczuciem popelniania grzechu!)

Cholernie zazdroszczę Polakom bogactwa ich kultury i historii!! Czy to jest nacjonalizm? Do tej zazdrości trzeba dorósć! Pozbawiony od dzieciństwa własnej narodowości, pierwiej próbowałem naśladować coś „ruskiego“; przejmowanie czegoś „polskiego“ wykluczyłem od razu. Miałem po temu powody, że tak powiem, i społeczne. To właśnie z powodu czystych, wyperfumowanych rączek mój ojciec żywił do Polaków niechęć. Być Białorusinem znaczyło ucziwie i ciężko pracować na kawałek chleba. Zabawiać się w światowca mógł tylko alfons i łajdak, ktoś kto nie orze i niesieje... Nasz stosunek do szlachty był o tyle lepszy niż stosunek do trutni, że już nie dążono do jej wymordowania [po 17 września 1939 właśnie poprzestano na „rozwalce“ rodziny nadleśniczego oraz proroka Haljasza (Eliasz) jako „sługi eksploatatorów“, za co lewaccy inicjatorzy tych samosądów nie doczekali się głaskania po płowych czubach przez funkcjonariuszy NKWD].

To wprost niemożliwe, by uznano za Polaka kogoś, kto nie był obszarnikiem, księdzem, policjantem, naczelnikiem poczty albo nauczycielem, zazwyczaj przyjeźdnym. Osadnikiem, a więc obcym. Gdy PPR ogłaszała przemówieniami Gomułki jakieś kolejne zwycięstwa, ja i moi koledzy ze szkoły dostawaliśmy linijką „w łapę” od wychowawcy klasowego za gadanie między sobą po swojemu. Takie działania musiały wykrzywiać psychikę i charakter, czuję to nawet teraz, po czterdziestce, podświadomie doznając wrażenia całkowitego bezpieczeństwa dopiero wtedy, gdy mówię po polsku. Przykre to, ale prawdziwe. Rypiński życzył sobie więcej — by najpierwszym z pierwszych świadomie wypowiedzianym przez tutejsze dziecko słowem było słowo: Polska!!!

Aleksander Rypiński. Obojętność dla tego szowinizującego literata i powstańca listopadowego ustąpiła we mnie miejsca ciepłemu zainteresowaniu. Niczym przykładowa soczewka, dzieje tego emigranta skupiają w sobie wszystkie etapy przechodzenia od polskiej samowiedzy ku bezkresom rodzimej białoruszczyzny. Ten rosyjski podchorąży z Dynaburga, druh dekabrysty Küchelbeckera, tłumacz „Rusałki” Puszkina, pułkownik Woysk Polskich w 1830-31 r., uchodźca i towiańczyk, adorator Adama i mistyk, w paryskiej edycji swej „Białorusi”, zapiekły szermierz Polski od stepów Akermanu po róg Kurlandii, w dojrzałych latach tworzy po białorusku; romantyczną balladę „Niaczyścik” (Diabełek) odbija w założonej przez siebie wolnej typografii w Albionie. Na starość natomiast korzysta z okolicznościowej amnestii, ogłoszonej przez wstępującego na tron Aleksandra II, ciągnie na łubą mu Ruś Białą, gdzie w zaciszu domowym niespiesznie układa dzieje jej literatury. W sześciowierszowym wpisie do albumu Viaryhi-Dareuskiego z tejże co i on Witebszczyzny (usłyszymy jeszcze o tym niezłomnym człowieku) solidaryzuje się z nim jako „swój”. Najwyższe to szczęście i ponoć boska rozkosz — doznać swego prawdziwego istnienia.

Podupadły „Północne Ateny” książąt Ogińskich (Ahinskija). Michał Kleofas, którego „Pożegnanie z ojczyzną” potrafi zanucić nieomalże każdy obywatel Białoruskiej SRR — fundator batalionu jeźrów konnych w czasie Powstania Kościuszkowskiego na Zaniemieniu — z czasem zaczyna sympatyzować z liberalizującym Aleksandrem I i przyjmuje z jego rąk tytuł senatora Cesarstwa Rosyjskiego, z nieskrywaną nadzieją na odtworzenie — w 1811 — wypieszczonego w marzeniach Wielkiego Księstwa Litewskiego jako rozległego protektoratu (wzorem Księstwa Warszawskiego). Przejrząwszy despotę, emigruje do Florencji, przekazując kuzynom klasycystycznie urządzone Zalesie koło Smorgonia. Po jego wyjeździe ustały tam wieczory muzyczne, spektakle, wemisaże, improwizacje poetyckie, opieka nad artystami. Zrobiło się pusto i głucho.

Bez języka nie ma kultury, powiedzmy to sobie na początku dalszych rozważań. Gdzie istniała mowa białoruska, tam można mówić o kultywowaniu ducha tego narodu. I bynajmniej nie chodzi tu o wdzięczne szczególiki jak choćby ten, że królowa Marysieńka łaskawie zacytowała w swych słynnych listach do męża-monarchy miłosny śpiew Białorusinki „Czy ja tobie nie mówiła, nie biery wołoszki” („Czyż ci nie mówiłam, nie zrywaj bławatka”), a także zatręśnienie miłosnych „pieśniaw” w rękopisach. Myśliciele są zgodni co do tego, iż formacji kulturotwórczej, nawet najszkaradniej zdewastowanej, nie da się wykreślić z historii, a tym bardziej całkowicie unicestwić. Pozostanie wieczna, nawet w postaci szczątkowej i co najwyżej wynikną trudności z jej odnową.

Wydawało się, że białoruszczyznę ograniczono do zakresu wpływów cerkwi unickiej, jej świętość przeminęła wraz z wygaśnięciem dynastii Wazów („Pramova Ivana Mialeszki, kaszcielana smalenskaha” — „Przemowa Iwana Mieleszki, kaszcielana smoleńskiego”, oraz „List da Abuchovicza”: Zygmunt Stary „(...) Litvu i Ruś naszu lubitelno miłował”). Przywołana na

scenę — 25 listopada 1584 roku — w sztuce Kaspra Piątkowskiego, w dialogu szewca-wilnianina z filozofem, zejdzie z niej na bardzo długo, pojawiając się tylko w intermedyjnych wstawkach jezuickich spektakli (chłop Ivan w prologach i epilogach theatrum grodzieńskiego, Tatarzyn spod Grunwaldu) i w uczniowskich widowiskach kolegium pińskiego.

Epoka rozumu i praktycyzmu wytworzyła w dzielnicach litewskich niesłychaną literacką wieżę Babel. Pisano po polsku, łacinie i w starosłowiańskim, po francusku i po niemiecku, po żydowsku, nie za wiele w starobiałoruskim; wkraczał rosyjski. W listach kielkował nowobiałoruski, zdarzał się litewski (źmudzki) i sporadycznie jeszcze tatarski.

Bolesław Limanowski: na szczególne podkreślenie zasługuje udział Litwinów ruskiego pochodzenia w rozkwicie piśmiennictwa polskiego — mowa tu o Julianie Niemcewiczu, Adamie Naruszewiczu, Franciszku Książniwie, Franciszku Bohomolcu (jest ich w sumie około pół setki). Bohomolec bez ogródek nazywał siebie Rusakiem, a polszczyznę obficie okraszał białoruszczyznami. Stanisław Bohusz-Siestrancewicz, arcybiskup i wkrótce prezydent Rosyjskiej Akademii Nauk, wuj Wincentego Dunina-Marcinkiewicza, układał dykcyonarz białoruski (po jego zgonie niejaki Parczewski wywiózł pracę do Rzymu). Książnin wdzięcznie zbiałoruszczał swe wiersze (baczu-widzę, chutka-szybko, heto-to, staisz-stoisz). Sekretarz Naruszewicza, Nielubowicz, uchodził za biegłego w „ruskich papierach”. Lach z Lachów, Franciszek Karpiński, delectował się śpiewami, jak na przykład „Pajszla dzieuka u reczku pa raki”; przymierzał się do zredagowania utworów Franciszka Rysińskiego, jego zdaniem barda Białorusinów (pisze o tym Podbiereski w przedmowie do „Szlachcica Zawalni”).

Króla Stasia witano w miasteczkach także w języku żydowskim. Na zamku w Nieświeżu ten rozintelektualizowany monarcha wznosił toast rymowany w mowie białoruskiej (1784 r.). „Z

dobrymi pany prymuje was rada, Sercom prawdziwym i nasza hromada" — to próbka wiernopoddańczego napisu z Polesia.

Nie było na Litwie ani nudno, ani bezbarwnie. Gospodarka nabierała obrotów. Mirabeau mówił o kanderzu WXL Chrapoviczu, iż nie zna lepszego ekonomisty jeśli chodzi o kwestie praktyczne, jak i o sumiennosc umysłu, a także o dobroć serca.

Kiedy po rozgadiazu wojen napoleońskich Polskę podzielono na Kongresówkę, Księstwo Poznańskie i Rzeczpospolitą Krakowską, Adamek Mickiewiczów wybierał się do szkół, na uniwersytet, świetność swą zawdzięczający Adamowi Jerzemu Czartoryskiemu, ministrowi spraw zagranicznych Rosji i jej senatorowi, poza tym przyjacielowi poczdwie na razie panującego cesarza (coś takiego jak Hotel Lambert nikomu wówczas nie przychodziło do głowy). Andrzej Tadeusz Kościuszko, półzapomniany, cicho dożywał swych dni w Szwajcarii. Wymykał się synek państwa adwokatowstwa na kiermasze w rynku nowogródzkim i gapił niemożliwie na gawieź hałaśliwą, podochoconą harelicą w karczmie... Jankiela (?). Była to dla niego ważna edukacja estetyczna. Na krańcach powiatu, w Maluszykach gotował się również do pójścia „między ludzi” starszy odeń, i Krywicz nad Krywicze, Jaśko Czaczotau (Czeczotów). Zbliżą się i przylgną wzajem do siebie podczas studiów; młodszy z nich dobieje jako tako do absolutorium, zawalając jednakże pracę magisterską, drugi — z mniej zasobnego domu — nie przetrzyma ubóstwa i ruszy w poszukiwaniu kopiejki na chleb. Zapalają do siebie koleżeńską miłością. Zapamięta ją i opisze Ignacy Domeyko (co przytoczy za nim wrocławska antologia „Mickiewicz w poezji polskiej i obcej” z 1961 roku).

Młodzieńcze Czeczotowe zachwyty nad wschodzącą gwiazdą geniuszu: „Ach, sztoż my waszeci skazam...” i „Jedzieć mileńki Adam”... 12 grudnia 1818 roku zapoznał on filomatów ze swym (krywickim) wierszem „Kupała”. Na którymś z zebrań Adaś

Miickiewiczuk zajął się analizą tego utworu. Na wiosnę chór Tomasa Zana odśpiewał „Imianinnaje winszawańnie”, czyli „Z powinszowaniem imienin”, dedykowane przez uczuciowego Jasia koledze Józikowi Jeżowskiemu. Romantyzm, nurt rewolucjonizujący literaturę polską, przedarł się przez jej granice. Mało tego — nauka polska również najżywiej rozwijała się w grodzie Gedymina, jak gdyby cała wielkość Polski skierowała się w te strony! Pojawił się nowy bohater literacki, chłop, ale nie był to Polak. Czyżby mazowiecka siedziba królów zaprzepaszczonej Rzeczypospolitej, domena Warsa i Sawy, stała się prowincją?

Za przewożenie tajnym kółkom i wystąpienia wymierzone przeciw tronowi skazano Jana na twierdzą; w drodze złagodzenia wyroku zesłano go do Ufy, a następnie — do Tweru. Niewątpliwie wiele wziął on na siebie w filomackiej aferze, osłaniając ubóstwianego Miickiewiczuka, któremu — co tu gadać! — upiekło się, nakazano mu raptem wyjazd do stolic imperium. W rzeczy samej nigdy nie powąchał on na dobre Polski właściwej, innej niż ta, która przybyła na jego ziemię i tam została. Wieszcz wysliznął się z uścisków Petersburga, podążając jak na skrzydłach w kłębowisko Wielkiej Emigracji. Ponad miarę przyzwoitości uwznioślał Powstanie Listopadowe, na przykład czyniąc z Orzona samobójcą (o co ten miał do niego żal). A sam mieszkał całkiem wygodnie w Paryżu i gdzie indziej, wszczynając zabiegi na rzecz bliżej nieokreślonej ugody z carem. „Paszoł won, durak!” — wrzasnął na Słowackiego, który zżymał się nieogłędnie na te zapędy Adamowe, no, ale profesorowi uniwersytetu francuskiego wiele było wolno i uchodziły mu na sucho owe — chcę wierzyć — chwilowe zapędy kolaboracyjne (doskwierała nostalgia?). Cenił nad wyraz język Białousinów, o czym wiemy, bo doczytaliśmy się tego w jego wykładach, twierdząc, iż — jak to rozgłosił nasz Brył — pośród słowiańskich jest on najmniej skażony i precudnie harmonijny. W bajkach i pieśniach ludu, który go wykarmił i odziewał, zawiera się los przeszły i przyszły

owej biedoty, niewyobrażalny dla Europejczyka — dywagował monsieur lecteur et Lithuanien, nucąc: „Anton kazu wiadzieć...” („Antoni kozę prowadzi”).

W życiu literackim nabierała rumieńców twórczość tzw. szkoły białoruskiej. Jej uczniowie i epigoni Mickiewicza — Grzymałowski, Grot-Spassowski, Groza, Reut, Czajkowski, Laskowski, Marcinkiewicz.

Czczot, odciepiawszy karę, pożył czternaście lat i zgaśł, bez klepsydrowych uprzejmości i naprawdę w pełni swych sił (to niekoniecznie pokłon Zmarłemu; w zaraniu tej narodowości przedwczesne zgony uważano za rzecz normalną!). Nie przemarnował odzyskanej wolności na gorzkie rozpamiętywania. Zebrał, ułożył i wydał drukiem aż siedem tomów „Piosnek wieśniaczych znał Niemna i Dźwiny, z dołączeniem pierwotnych w mowie sławiano-krewickiej”, około tysiąca zapisów, w większości przełożonych na polski. Ostatni wydał tylko po krewicku, tj. po białorusku (termin ów zapożyczył od Narbutta).

Wzbogacił teksięgi własnymi wierszami:

*Imnie Boh na świecie  
dau Horo harawaci;  
Sztoby lepsz ja was lubiu,  
I umieu spahadaci.*

W przedmowach, którymi pieczołowicie opatrzył te wydania, daje charakterystykę białoruszczyzny i uzupełnia je „Słownikiem wyrazów krewickich...” oraz „Niektórymi idiotyzmami (własnonazwanymi) krewickimi”, „Przysłowiami krewickimi” itp.

Blade i spadające gwiazdy sierpniowe usiały sklepienie niebios, zanim cmentarz w Druskiennikach opustoszał z żegnających Jana Czczota na wieczną drogę i zapadła noc z bezdomnymi mgiełkami na błoniach. Mickiewiczowi pisane było żyć jeszcze osiem lat. A gdy i on zmarł za górami i morzami, w



białoruskim kraju zawiązała się już była wówczas grupa pisarzy, zakochanych bez pamięci w ludzie i jego mowie. Wszyscy oni, bez wyjątków, zaangażowani byli w konspirację przedstyczniową, z której to właśnie wykluła się idea samostanowienia Białorusi. Powstanie, na którego wygraną nie liczył nikt z rozsądnych polityków, mimo wszystko stworzyło wizję suwerenności białoruskiej. Koncepcję restytucji Wielkiego Księstwa Litewskiego wnet potem zarzucono i jeśli niektórzy do niej nawiązywali, to traktowano je jako śmiechu warte dziwactwo (Piłsudski również bajdurzył w tym guście, szybko jednak połapano się, że to gube matactwo). Przywódcy z Centralnego Komitetu Narodowego — Bobrowski, Padlewski, Miłowicz — w razie wygranej optowaliby za plebiscytem na tych ziemiach: czy chcą one uniezależnienia się od Polski(?).

Roku Pańskiego 1859, kiedy ekipa Aleksandra II dozwoliła na przywrócenie języka polskiego w miejscowych gimnazjach, rozeszła się wśród inteligencji wileńskiej wieść o tym, iż szanowny pan Wincenty Dunin-Marcinkiewicz poniósł dotkliwie straty, szacowane na ponad siedemset rubli, w związku z niefortunnym pomysłem tłoczenia Mickiewicza w „języku prostym”. Wielkopolacy z ukontentowaniem zacierali ręce:

doigrał się ten dudarz chamów! Z rozkazu Komitetu Cenzury w .oficynie Abla Syrkina palono zeszyty: „Pan Tadeusz. Dwanatcać szlacheckich bylic, napisau Adam Mickiewicz. Piarawiarnuu na Białaruskuju haworku Wincenty Dunin-Marcinkiewicz”. Wielkonisi radowali się po swojemu: nie dopuszczono, i słusznie, do upowszechniania się alfabetu łaćńskiego w tym prawie-rosyjskim dialekcie Północno-Zachodniego Kraju, chwala Bogu, zduszono w zarodku próbę odrywania owych niemal-Rosjan od Mateczki-Niedielimój! Ci i tanci podniecali się z diametralnie różnych powodów, lecz z tej samej okazji: zakazu wydawnictw białoruskich!!!

Książka ta miała wyjść jako po raz pierwszy białoruska i do tragicznego symbolu urasta fakt, że natychmiast po jej introligatorskim wykończeniu zarządzono zniszczenie nakładu. Do onego lata fragmenty w mowie krywickiej publikowano zazwyczaj pośród tekstów polskich lub rosyjskich. Dotyczy to również samego Dunina-Marcinkiewicza; „Hapon. Powieść białoruska z prawdziwego zdarzenia, w języku białoruskiego ludu (...)”.

Wielmożny Vincuk zdążył przełożyć dwie księgi eposu, obwarowując się wstępną zgodą władz na ich edycję (badacze dochodzą, że zgłosił do ocenzurowania trzecią). Niech mickiewiczolodzy rozstrzygną, czy któryś z pisarzy innego narodu zainteresował się przed nim „Ostatnim zajazdem na Litwie”. Białoruscy — nie tylko byli pierwsi, lecz interesowali się nim wielokrotnie: Jelski, Taraszkiewicz, Tank, Bitel, Siemiażon... I ja, ich wnuk, miałem ostatnio szczęście pośredniczyć w umieszczeniu w Białostockich Zakładach Graficznych „Pana Tadeusza” przygotowanego przez profesora Branisłava Taraszkiewicza (notabene więźnia stanu Drugiej Rzeczypospolitej). Ta sama wersja pod redakcją akademika Adama Maldzisa — przyjaciela kultury polskiej! — ukazała się wcześniej w Mińsku, gdzie, jak podpowiadają wtajemniczeni (nigdy na nich nie zbywało), czeka swojej kolejki najwyższmiennicy ze zbiałoruszczeń poematu, ponoć zachwycający wyczyn Jazepa Siemiażona właśnie, bezapelacyjnie dzierżącego buławę hetmana tłumaczy nad Swisłoczą, Niemnem i Dźwiną. Niezupełnie — czyż niezupełnie? — wyzbył się rusycyzmów ów dymisjonowany major służby czynnej, i leksykalnych, i składniowych, skrupulatnie wytykanych mu przez językowych purytanów...

W zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej przechowuje się rękopis „Chłopa z p. Mariampolskiego”. Opatrzony datą: „W Warszawie, 27 kwietnia 1861”. Jest to jednak recenzja Marcinkiewiczowego „Pana Tadeusza”. Napisał ją Mikołaj Akiałewicz, bojownik z

1863 r., bliski kołu działaczy przy „Kuryerze Wileńskim”, wydawca gramatyki litewskiej (czyli żmudzkiej). Pytanie na marginesie: dlaczego odzew jest tak późny i czy rzeczywiście chodzi tu o tę pozycję, którą przecież unicestwiono!? Odpowiedź brzmi: Litwin Akiałewicz (Mikolas Akiałaitis) popiera Białorusina Dunina-Marcinkiewicza, który tydzień wcześniej zamieścił był w „Gazecie Polskiej” głośny list do Józefa Ignacego Kraszewskiego, broniąc w nim prawa ukochanego narodu do posiadania własnej literatury. Wystarczy chwilę zastanowić się nad czasem, miejscem, i temperaturą tego publicznego spięcia, by zrozumieć, że wyklarowana wizja narodowości białoruskiej oprze się teraz wszystkiemu. Ugrupowanie „czerwonych” w Komitecie Prowincjonalnym dla Litwy uczyniło ze sprawy białoruskiej kwestię polityczną, a zatem myśl europejska wzbogaciła się o nową kategorię pojęciową;

w gabinetach dyplomatów rozwieszano mapy Rosji zachodniej i z mozołem wyznaczano na nich zasięg Ziemi Białauskiej (Ziemi Białoruskiej), mgliście kojarząc ją z Wielkim Księstwem Litewskim. Bracia Kalinowscy, Walery Wróblewski, Feliks Różański — usłyszymy o nich w tonacji podniosłej. A Aleksander Hercen tak naraził się czytelnikowi rosyjskiemu przychylnym stosunkiem do „miatieżu”, że przyplacił za to plajtą „Kołokoła” (podobnie jak w rozkołysanej fobiami Polsce prezydent Narutowicz głową!)

W majątkach, jak i w kościołach, język nasz miano w pogardzie i stałe z niego sztydzo. Owszem, używano go — jak zaznaczył Dunin-Marcinkiewicz w epistole do Kraszewskiego — do grożenia i łajania. Matki straszły urwipolci: Cyt, cyt, pan ciabie zjeść! (Cicho bądź, bo cię pan zje). Wywiadowcy z Trzeciego Oddziału dociekali ukrytych przyczyn podróży rzeczónego piewcy gminu z Syrokomlą do Warszawy, tuż po osławionym rozstrzelaniu tam patriotów. Być może wiedziano to i owo o punkcie kontaktowym w mieszkaniu autora „Początylona”;

sekretnie przychodzili do niego Wróblewski i Kalinouski ze swym sekretarzem Tytusem Daleuskim (wkrótce ujętym i postawionym przed pluton egzekucyjny). Byli to narodnicy, nie cieszący się w Kongresówce estymą.

Na Witebszczyźnie związał się, niczym w ukropie, pan Arciom (Artemiusz) Viaryha-Dareuski, co nie mogło być przeoczone przez służby rosyjskiego kontrwywiadu. Donoszono w raportach, iż wzmiankowany obywatel ziemski „...i Ferdynand Piottuch-Kublicki, 22 apryla, przejeżdżając przez stację Dymanowską wraz z oskarżonym Walerianem Weryho, przy próbie zatrzymania tego ostatniego zbiegli, by uniknąć aresztowania. Wskutek zarządzonego z tego powodu śledztwa w majątku oskarżonego Weryhi, Stajki, ustalono, iż 22 apryla Artemiusz Weryho, jak to zaświadczyło pod przysięgą sześciu ludzi dworowych, przyjechawszy z oskarżonymi Piottuchem-Kublickim i Walerianem Weryho, bez zwłoki jęli gotować się do dalszej podróży, o czym w sposób sekretny między sobą rozmawiali, i nikogo z postronnych nie dopuściwszy do szykowania swych bagaży, w których, jak to zostało zauważonem przez lokaja Mironowa, zaświadczonego pod przysięgą, znajdowała się broń i coś jeszcze żelaznego a podzwaniającego, złożone we worku, i po tym wszystkim wnet odjechali oni w stronę stacji Dymanowskiej, będąc odzianymi na modłę przyjętą wśród buntowszczyków. W niewiele czasu przed ich odjazdem chłop jeden, poddany majątku Stajki Łukyan Hryhońiew, naszedł w ogrodzie ukrytą w dole pod chrustem tekę z wielce podejrzanyimi papierami, przypominającymi gazety, i odniósł je teściowej Piottucha-Kublickiego, Staniewiczowej, przebywającej w majątku, która upraszała go, by nic nikomu nie mówił o tym znalezisku. Powożący oskarżonych chłop z majątku Stajki, Kuźnia Kiryłow, zeznał, iż Artemiusz Weryho i Piottuch-Kublicki, wybierając się do stacji Dymanowskiej, mieli przy sobie broń i, kiedy zbiegli wówczas przed funkcjonariuszami na teże stacji Dymanowskiej,

to dojechali tylko do majątku w sąsiedztwie, którym włada obywatel ziemski Wasilewski, i zostali tam na noc, nazajutrz zaś powrócili do domu swego. Tak więc przy rewizji, przeprowadzonej w majątku Stajki u Artemiusza Weryho znaleziono przepisaną jego ręką odezwę podburzającą od przebywającego w Królestwie Polskim przywódcy szajki buntowników, Langiewicza, spis 30 osób, z których, według danych miejscowej policji, większość została już skazana za udział w ruchawce, niektórzy tylko zaś przebywają jeszcze w areszcie śledczym, mapę Rosji z naznaczoną na niej ołówkiem granicą Polski, ustaloną przez buntowników. W końcu, będący na służbie w Witebsku radca tytularny, Mateusz Szymkiewicz, doniósł o tym, że podejrzany Artemiusz Weryho był członkiem komitetu rewolucyjnego, ludzie dworscy zaś z majątku Stajki zeznali na przesłuchaniu, że do momentu aresztowania Artemiusza Weryho i Piottucha-Kublickiego, kiedy jeszcze mieszkali oni w Witebsku, Kublicki przyjeżdżał 7 maja do majątku Stajki, skąd zabrał z szaf w domu jakieś papiery, które wywiózł ze sobą..."

Ocalał album Viaryhi-Dareuskiego, unikalny zabytek piśmiennictwa białoruskiego. Ten osobliwy almanach rękopiśmienny obejmuje lata 1858-1863. Otwierają go wierszowane wpisy Syrokomli i Odyńca. Aleksander Chodecki, mieniący się muzykantem znad Wisły, adresse prozą wieńczy dziękczynieniem:

*Że sercem z bratami z Białorusinami,  
Radzibyśmy tu powrócić, znów być między wami;  
Bo wyście nas przyjęli, jak rodzonych braci,  
I serc swych ciepłem tyle nas ogrzali,  
Że z większą wiarą w świat ruszamy dalej,  
Dziękując star opolskiem. Niech Bóg wam zapłaci!  
Mohylew, dnia 24 grudnia 1859 r.*

Więc w Wigilię, pewnie po wieczerzy w kręgu kordialnej siabryny (przyjaciół) nie znany mi J. W. Pan Chodecki rozłożył ów sztambuch zdobny na stole ze świecami i zadumał się... Umyślny od imię pana Artemiusza o brzasku nawracał, uwożąc tę pańską zabawkę, ładne pisanie.

Arciom Viaryha-Dareuski występuje z oracjami przekonując kształconych i obdarzonych darem Bożym, że mają niezbywalny obowiązek bycia solą Białej Rusi, ostoją jej samoistości, ograbianej, odkąd pamięć ludzka tu siega... Pół wieku później piśniar (wieszcz) Janka Kupała będzie ironizował przez łzy: Szczęśliwym jest krajem ta nasza ojczyzna, Białoruś. W każdym czasie historycznym, zewsząd, niczym wielkopostny śnieg, sypie się nań natarczywie wielce łaskawe opiekuństwo... I każdy taki nieproszony opiekun wlecze duszę białoruską na swój młyniec... Trwa haniebnny targ, ohydne komedianctwo nad nieszczęsnym zniewolonym Białorusinem. Idzie w zapomnienie bratnia miłość i sąsiedzka zgoda, i poszanowanie woli, i równość dla każdego, zapomina się, co jest święte, na piedestał wchodzi kłamstwo i bezczelność: bierz go, duś go, gnaj do swego zaprzęgu, boć to twój najukochańszy brat...

Nieprzypadkowo tenże Viaryha-Dareuski przekłada dla ziomków „Konrada Wallenroda” (aluzyjnie?). Jest autorem poemy „Achulha”, opery komicznej „Hrech” („Grzech”), dramatu „Hordaść” („Godność”), opowieści „Bychau” („Bychów”), „Paurot Michałki” („Powrót Michałka”)... Podpisuje się: Bielanskaja Duda. „Białoruska Encyklopedia Radziecka” powiada mi sucho: autografów nie odnaleziono. Do naszej wiadomości doszły jakieś trzy kawałki i fragmencik „Hrechu” z czterdziestego dziewiątego numeru „Ruchu Muzycznego” 1859 r. Taka arytmetyka musi budzić w nas grozę. Jest w tym jakaś straszliwa logika...

Chętnie tworzył po białorusku i Syrokomla, niezapomniany Limik Litewski. I co z tego znany? To jedynie, co utrwalono na

szpaltach gazet lub w broszurach (nielegalnych!). Wiersz „Dobryja wieści”, wmontowany do druczku „Hutarka staroha dzieda” („Gawęda starego dziada”) wydany przez prasę podziemną; „Użo ptuszki piauć usiudy” („Wszędzie już ptaki śpiewają”) opublikowany dopiero w 1912 r. w „Kuryerze Litewskim” (legalnie). Adam Honory Kirkor mnóstwo z Syrokomlowego identyfikował podczas swych wędrowań ludoznawczych. Znał jego puściznę jak mało kto. W sobotnie wieczory gościł go u siebie dosyć regularnie, podobnie jak Moniuszkę, Odyńca, Chodźkę, Tyszkiewiczów, Korotyńskiego; gorąco dyskutowano nad twórczością białoruską. Jedno z takich spotkań zyskało sobie potem szczególne miano pierwszego zebrania pisarzy białoruskich. Kirkor pisał na ten temat w poważnym „Tygodniku Wielkopolskim”, wygłosił również cykl lekcji w krakowskim Muzeum Techniczno-Przemysłowym, po czym wydał zbiór „O literaturze pobratymczych ludów słowiańskich”.

Sekretarzem Syrokomli Wincenty Korotyński (Vinceś Karatynski), okaz intelektualisty wywodzącego się z kmieci nowogródzkich. (Urodzaj na osobowości wybitne w tej strefie jest czymś rzeczywiście wyjątkowym! Genetycy chyba nie zwrócili uwagi na ów fenomen? Zainteresowani nim historycy przebąkują o stolicy kulturalnej Radziwiłłów, o ośrodku nieświeskim..) Podobnie jak w przypadku Viaryhi-Dareuskiego, z dorobku tego samouka zachowały się trzy, cztery teksty; przypisuje mu się „Hutarkę staroha...”

Wszystko co niepolskie ginęło bezpowrotnie. Oslawiony ukaz carski zrobił swoje, nie wykluczo się żadne białoruskie czasopismo na Białorusi, nie istniała również zorganizowana emigracja Białorusinów. Pamiętajmy przy tym stale, że samo posługiwanie się tą mową w piśmie było nieustającym ryzykiem, aktywnością wymagającą konspiracji. I tak aż do pierwszej rewolucji rosyjskiej.

Martinas Jankus, postać szanowana na Litwie Pruskiej i właściciel drukarni w Tylży, w okresie powersalskim podyktował współpracownikowi wychodźczego „Kryvicza” zastanawiające wspomnienie:

Wiosną 1892 roku nielegalnie przekroczył granicę rosyjsko-niemiecką młody człowiek, który przedstawił się jako Antoni Abramowicz i zwrócił się do Litwinów w sprawie zorganizowania druku broszur białoruskich w Tylży. Wydawnictwo niebawem ruszyło, a jego koszty pokryto ze środków, które Abramowicz odebrał z Mińska. W oficynie Schenka odbito trzy, cztery broszury alfabetem łacińskim, między nimi — lementar (elementarz). Potem Abramowicz przeniósł się do Jankusa, u którego tłoczono jeszcze dwie książeczki [„Jan Skiba” i „Dziadźka Anton” („Wujek Antoni”) w obu przypadkach opowiadania]. Wydatki te przemycono przez „zieloną granicę”, a następnie przesyłką pocztową do Mińska Białoruskiego. Sam Abramowicz udał się do Szwajcarii.

Relacja ta jest prawdziwa w swej warstwie ogólnej. Detale jednak wymagają rozszyfrowania. Abramowicz w rzeczy samej miał na imię Marian i obracał się w środowisku studentów-Polaków, spiskujących na Uniwersytecie Moskiewskim. Zatrzymany przez policję w tymże 1892 r. w Warszawie, wpadł z „bibułą”. Epizod tylżycki o tyle godzien jest wzmianki, że do dziś nie objaśniono go wyczerpująco (jak i wielu innych incydentów konspiracyjnej historii ruchu narodowego Białorusinów). Kto wie, czy to nie trop prowadzący do zgola fascynujących odkryć!...

Krażył po salonach intrygujący osobnik o nader ujmującej powierzchowności, Hraf Bandinelli. Z mozołem wykryto, że jest to niejaki Olgierd Obuchowicz (Alhierd Abuchowicz), nowo objawiony separatysta; nie od razu dano wiarę jego wysokiemu urodzeniu i koligacjom z włoską rodziną. Znał Zachód, przyswajał mowie białoruskiej sonety Petraraki, „Fausta” i „Zbójców”, sporo z Puszkina, Mickiewicza, Lermontowa, Konopnickiej, Hugo,



Byrona; zapoczątkował prozę dokumentalną, układał bajki, podróżował, prowadził rozległą korespondencję, był Europejczykiem w każdym calu. Przyjaźnił się — uwaga! — z Franciszkiem Bohuszewiczem (Franciszak Bahuszevicz), wdając się z nim w polemiki na temat kierunków rozwoju kulturalnej odmiany języka białoruskiego, i to wtedy, gdy prawnie zablokowano wszelkie możliwości jakiegokolwiek eksponowania tego języka (w 1867 potwierdzono oddzielnym cyrkularzem, iż wszelkie publikacje w nim stanowią czyn przestępczy!)

Jeśli Czytelnik pomyśli, że i po Abuchowiczu zostały zapewne najwyżej nieliczne publikacje, a archiwum pisarza los unicestwił — nie omyli się ani o jotę! Kopał Białonś każdy, kto tylko zechciał unieść nogę (zwłaszcza w podkutym bucie). Znany nam życiorys Abuchowicza kończy się zagadką — na kamieniu cmentarnym wyryto datę 22 sierpnia 1898 roku jako dzień Jego śmierci. Dzisiejsze badania dowodzą, że chodził on po ziemi jeszcze w 1904 ... O co tu chodziło?

...Nie mogę zapomnieć grubo ciosanej postaci Jana Oziabły z drobnej wioszczyny Pieńki koło Niezbudki, niegdyś fabrykanckiego miasteczka pana Michałowskiego, więc obecnie Michałowa (typowy u nas sposób formowania nazw). Ofiarnie działaliśmy w Białoruskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym w latach pięćdziesiątych. Dzisiaj dopiero doceniam tego człowieka. Ledwie osiągnąłem jego ówczesny wiek, a już jestem wyzbyty z entuzjazmu. Umarł on dość dawno, i to w mękach, na raka, lecz w owych latach ten kościuszkowiec spod Warszawy i Berlina zachowywał się z godną pozazdroszczenia zaradnością, organizując na własnych ziemiach narodowy ruch amatorski, artystyczny i oświatowy, i żył jak gdyby zajadle szybciej, w jakimś gorączkowym pośpiechu, żeby dogonić i nawet wyprzedzić to, czego widocznie kurczowo pragnął za swej młodości, na którą przecież padał pokraczny cień granatowego policjanta... Nie pamiętam jakoś, by kiedykolwiek wspomniął mi

o swym starszym bracie, Aleksandrze. Na nieco legendarną opowieść o nim trafiłem przypadkiem wczoraj, nieuważnie słuchając białostockiego zbieracza folkloru, a myśląc o wersjach dróg życia Abuchowicza. Powiadają — całe trzy roky pod koniec Drugiej Rzeczypospolitej krył się na bagniskach Pałoni, gdzie pieńkowscy ludzie kosili swe dzikie łączki pomiędzy topielami, zwożąc siano do stodół w mrozy, niczym Poleszucy. Był to zbawienny dla Aleksandra cykl robót, dzięki któremu docierał do niego skąpy prowiant od rodziców, ale i wieści. Komendant gminnej policji miał trudności z montowaniem siatki szpidi w tej skomunizowanej okolicy, zaś obszar Pałoni okazał się zbyt rozległy, by załoga posterunku mogła własnymi siłami przeprowadzić udaną obławę (komenda natomiast nie kwapiła się do organizowania zmasowanej akcji przeciwko jednemu półpartyzantowi — trochę pewnie ze wstydu, a głównie z powodu stanu ciągłego pogotowia w buzującym strajkami powiatowo-wojewódzkim Białymstoku). Tak więc komunista białoruski uchował się w swej pustelni wśród żab i węży, i z pomocą podziemia Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi znalazł się wreszcie za granicą białoruską, gdzie przepadł na amen jako... polski szpieg! Jako szpieg, do czego przyznał się podczas tortur, rozstrzelany został również Branisław Taraszkiewicz. I legion innych ideowców.

Mowy Białorusinów artykułowanej za pośrednictwem pędzla i palety nie uważano na szczęście za manifestację ich narodowości, a zatem ciągłot odśrodkowych. W każdym razie płótna, które ukazywano odnośnym władzom i publiczności nie budziły kontrowersji. Nie od rzeczy będzie więc zauważyć, że wszelkie reżimy najdokuczliwiej prześladowały literatów.

Osiemdziesiąt osiem lat przeżył Nikodem Siliwanowicz (Mikadzim Silivanowicz), syn chłopca z majątku rządowego spod Maładeczna; odszedł w zaświaty godnie i spokojnie, bez kłopotów zawałowych czy suchotniczej gorączki. Na jego obrazie „Stary

pastuch" widzimy starca lekko opatego o kij, w czystej siermiędze (śvitka), ze zdjętą czapką, o pasmach siwych włosów spadających na pogodne czoło. W jego spojrzeniu goreje niemy wyrzut. Oczy patrzają prosto. Są jednak jakieś nieobecne, rzeklibym, promocze, z iskierką łzy. Nic na tym padole ioh nie dziwi, widziały wiele...

Strasliwe, potworne zniszczenia stały się udziałem tej części malarstwa europejskiego, która określana jest mianem malarstwa białoruskiego. Średniowiecze pochłonęły tu płomień bitew i nawałnice najeźdźców. Jeśli gdzieś ocalały szacowne budowle, zawdzięczamy to nie miłosierdziu grabieżców, lecz solidności wzniesionych murów. Kilka zniszczonych fresków na ścianach połockiej katedry Spas-Jefrasinni, to niemal antyk słowiański. Portretów i obrazów z epok mniej odległych zachowało się może kilkaset, i czy są to te najcenniejsze? Wydawać by się mogło, iż w ostatnim stuleciu, w wieku pary i elektryczności, sytuacja uległa zmianie... Skądże znowu! Murawiewowscy „znawcy sztuki” nie wahali się nawet przed użyciem topora. Liczne płótna uległy zniszczeniu w wyniku zwykłego niedbalstwa ich niezbyt świątłych właścicieli lub padły ofiarą prostackiej ignorancji. W rezultacie posiadamy, to, co szczęśliwie przetrwało — czyli mało.

A i sama wiedza o artystach, malarzach, którzy niegdyś tworzyli, o ich ekstazie i udręce, jest równie skromna. Bezspornie, sztuka Białorusinów znalazła uznanie, uzyskała należną jej rangę wcześniej aniżeli ich słowo pisane. Jednakowoż niesłusznie uważa się ją za niedostatecznie rdzenną, zarzuca epigonizm, eklektyzm i naśladownictwo obcych wzorów. Tak jednak nie było.

Dziewiętnasty wiek w plastyce tamtejszej doprowadził komplikacje i powikłania do apogeum. Proszę zresztą wyobrazić sobie kraj, któremu nie wolno posługiwać się własną nazwą. Nie ma Białorusi, i tyle; to po prostu nieważny region, nie mający

odrębnego języka, szemrze sobie jedynie śmiesznym narzeczem. Zamożny obywatel tej ziemi z zasady deklarował się jako Polak (katolik) lub Rosjanin (prawosławny). Białorusinowi, który dysponował majątkiem, dostawało się od jednych, drugich i od policji. Przez czas niemały trzymał się Uniwersytet Wileński (ośrodek wolnomyślicielstwa). Liczbą ludności Wilno dziesięciokrotnie przewyższało Mińsk; napływał tu kwiat młodzieży i inteligencji z obszaru rozciągającego się od Polesia po Rygę, od Smoleńska po Białystok. Działała Szkoła Sztuk Pięknych — mistrzowie i galerie, znajomości i dysputy. Uniwersytet imponował cudzoziemcom. Poeta Poleżajew pisał: „O, Ojczyzno prawych studentów, Getyngo, Wilno i Oxfordzie. U was nie może dostać patentów głupiec, hultaj lub niecnota”.<sup>18</sup> Nowosilcow złupił uczelnię i ograbił ją z funduszy.

Powstawał nowoczesny naród Białorusinów. Za jego protoplastów uważa się Walentiusza Wańkowicza, Józefa Oleszkiewicza, Wincentego Dmochowskiego także, którzy i prywatnie, i w towarzystwie, konwersowali „po swojemu”. Upatrując swych korzeni w historycznej Litwie, każą oni otoczeniu nazywać się Litwinami. „Błędni rycerze Białorusi” ze spolonizowanych rodów, świadomi swego prawdziwego pochodzenia, położyli fundamenty pod dzieło utrwalania tożsamości narodowej. Dareuski dziękuje „Litwinom, jakija zapisalisia u moj albom na rażwitańnie” („Litwinom, którzy wpisali się do albumu mego na pożegnanie”); Vinces Karatynski w imieniu hromady litewskiej pisze po białorusku (jego synowie Ludwik i Bruno, już warszawiaczy w czasach Sokratesa Starynkiewicza, poszli pod tym względem w ślady ojca!). Ta skamielina pojęciowa, o dziwo, utrzymuje się do dziś — przybyć z Białegostoku do Łodzi — i teraz znaczy: przybyć z Litwy; z

---

<sup>18</sup> „Nasi Białorusini” (blok publikacji), „Gazeta Współczesna” nr 132 (9389), Białystok 1981.

Knyszyna na wschodnim Mazowszu jeździ się po konie pociągowe także do Litwinów, czyli do Sokółki albo Czarnej Białostockiej. Polska urywa się na dolinach Czamej i Brzozówki (Czornaja, Biazozauka). Pseudonimu Litwos używał Henryk Sienkiewicz, czuły na swój rodowód.

Rozgraniczenie obu tych pojęć — Białorusi i Litwy — wprowadzają podziemne władze „czerwonych” w r. 1863. Chociażby w słynnym „Prykazie ad Rządu Polskaho nad całym krajem litouskim i białoruskim da Narodu ziemi Litouskiej i Białoruskiej”, masowo rozplakatowanym. Kto jest zorientowany, przynajmniej ogólnie, w przeszłości Polski, wnet skojarzy go z postacią Konstantego (Kastusia) Kalinowskiego, któremu to swą rozprawę monograficzną poświęcił łódzki naukowiec Wiktor Kordowicz w 1955 r., a Krzysztof Kąkolewski, ten od „Wańkowicz krzepi”, też grzebał w tym temacie.

Z celi śmierci przekazuje Kastuś gryps „na wołę”, testament społeczny i polityczny „Pismo z pad szybienicy” („List spod szubienicy”), opublikowany potem w Paryżu przez Agatona Gillera. „...No jeszcze tam hdzie żyli palaki, litoucy i białorusy, zawodzić maskouskije szkoły a u hetych szkołach uczać po maskousku, hdzie nikoli nie paczujesz i słowa pa polsku, pa litousku da i pa białausku, jak narod taho chce...” — oburzał się, by skonstatować: „...treba pociarpieć douha, kab wyrwacca z pad jaho bratniej apieki”<sup>19</sup>

„Muzyckaja Prauda”. Ciśnie się na usta objaśnienie: pierwsza w ogóle gazeta białoruska. Wyobrażam sobie, jak przyjmowano jej numery — obliczono, że było ich siedem, niektóre odbite powtórnie i w zmienionej miejscami wersji — na ziemi białostockiej. Zbliżały się żniwa wyzwolonego z poddaństwa chłopca; żał, jeśli miał co żąć. Na przełomie czerwca i lipca 1862

---

<sup>19</sup> „Historja powstania narodu polskiego w 1861-1864 r”, przez Agatona Gillera, tom I. Drugie wydanie”. Paryż 1867, str. 327-353.

roku wieśniacy znajdowali na polach podbutwiące od deszczy płachetki „Muzyckiej Praudy”; bywali i tacy, którzy biegli z nimi na policję.

Powstanie nie przekształciło się jednak w powstanie ludowe, mimo że na Białorusi i Litwie miało po temu szansę (rządy okupacyjne w tamtejszych guberniach były wręcz zwyrodniałe w porównaniu z rządami w Królestwie Polskim, ciągle zachowującymi elementy autonomii i traktowanym jako rozwinięta część imperium, na równi z wcielonymi doń Inflantami i Księstwem Finlandzkim). Przypomina się, drukarenkę polową zamaskowali kalinouszczycy gdzieś w dziewiczych ostępach Puszczy Kryńskiej, na południe od Sokółki (Wierchles? Sakalda? Machnac?). Jak gdyby w studwudziestolecie narodzin tej gazetki ulotnej, z żoną Tanią i synem Jarasławem zanurzyliśmy się w owiane bajaniami dziadów okolice leśniczówki Klin, wysiadając z autobusu do Krynek. Na przesiekach pachniało malinami. Duktem do Jeziorka (Aziańk) dróbiła kobiecina ze schludnym koszykiem na rękę. Kiedy zagadnęliśmy ją swojsko o drogę, obawa przed nieznanymi ustąpiła... Boże mój, szepnąłem do siebie w duchu, wygląda jak łączniczka z siatki Kastusia, alias Vasila Śvitki, przenosząca zwitki „kramoły”, pachnące świeżą farbą. Walery Wróblewski z sokolskiej szkoły jęgrów i pisarzy gminnych, któremu sypał się już wąsik, pełniąc swe konspiracyjne obowiązki bez wątpienia wykorzystywał mir, jakim cieszył się wśród uczniów z zapadłych wiosek, zaścianków i zagubionych uroczysk. Anonimowy szpicel donosił wprawdzie żandarmom, że gospodzin nauczyciel wynusza o zmierzchu bryczką, wraca po wschodzie słońca, a koń jest mocno zdrożony, lecz że nie byle jakim kawalerem był „profesor”, nie wykluczano, iż to eskapady do panien szlachcianek z folwarków w Opolach kryńskich lub maławickich. Dżban, jak na razie, nosił wodę.

Pełne przedruki „Muzyckiej Praudy” znaleźć można w: „Prasie tajnej z lat 1861-1864”, wydanej we Wrocławiu (1966 r.).

Szósty numer zamieścił organ ówczesnej emigracji londyńskiej „Głos Wolny”. Powstanie konało. Ofiarą represji na Białorusi i Żmudzi padło blisko dziesięć tysięcy osób. Na pobojuwiskach wschodziła ruń, rodziły się przekazy i mity, umysły aktywistów roiły letargiczne sny o potędze, kundlały postawy i czyny, na zarastających perzem grobach powstańców znad Niemna coraz rzadziej składano bukiety. Dywersja rosyjska poniechała „prania mózgów”, zaprzestano produkowania rzekomo białouskich deklaracji poddanych, pomstujących na agitację dziedziców przeciw ojczulkowi carowi Wszechrosji, Aleksandrowi Drugiemu Wyzwolicielowi.

Rząd przymknąłby oczy na chłopską rebelię, lecz atmosfera moralna w tych stronach nie zapowiadała sukcesu działaniom, które miały na celu powtórzenie tu rzezi galicyjskiej. Dworów nie kochano, to prawda, aliści i nie ufano zbyt cieżko carskim agitatorom. Manifest Rządu Narodowego z 3 maja 1863 roku żywo komentowano po kurnych chatach (autor „Hapona” przełożył „Boże, coś Polskę...”: „Boża, szto Polsczu...”):

„Rad Polski hetym objaulając usim pousiemiestno szto ze dnia objaulenia hetoho Manichwesta usie rauny, usie syny odnoj Polsczy Ojczyzny naszej, szto usiem muzykam oddajęcsa na uwies wiek ziemia jakaja była u ich używalności biez żadnoj pańszczyzny, ni czynszu, ni jakoho otrobotku... Wiera dla usiech swabodnaja, jak kto chce. Uniaty kotorych perewiamuli u prawosławje mohuć wiarnuć do swojej wiery. Podaciej cau płacić, ni rekruta dawać nie treba. Braty Bielorusy, przysła pora dobraja. Praczniciaż sia i wy da przyzwawszy Boha u pomoszcz, braniecie woli, ziarnli i wiery waszej, a Boh wam dopomoże”.

(Rząd Polski niniejszym obwieszcza wszem i wobec, iż z dniem ogłoszenia tego Manifestu wszyscy są równi, wszyscy synowie jedynej Polski, Ojczyzny naszej, i że wszystkim chłopom oddaje się po wieczne czasy ziemię, którą uprawiali, bez obowiązku pańszczyzny, czynszu bądź innej powinności... Każdy

może wyznawać taką wiarę, jakiej tylko zapragnie. Unici, którym narzucono prawosławie, mogą powrócić do swej wiary. Podatków carowi płacić ani rekruta dawać nie trzeba będzie. Bracia Białorusini, nastał czas! Obudźcie się i wy, i przywoławszy Boga na pomoc, brońcie wolności, ziemi i wiary waszej, a Bóg wam dopomoże).

Stan szlachecki murszał więc na całego. Włościański wóz nie uciągnął ciężaru zainicjowanej rewolucji. Parowóz dziejów, na razie nieśmiało, wyruszał na pewniejsze, żelazne szlaki, do fabryk. Idealistycznych marzycieli rozpychali łokciami rzeczowi pozytywiści. Do drzwi pukał krągłolicy pieniądz. Muskulaturą konketu zdradzał parweniusza. Młodziutki kapitalizm mieszkańców Królestwa, czym prędzej wżenijający się w familie herbowe, zyskiwał na pożądaney wielce delikatności, elegancji i na inteligencji, a półzachodnią "przebojowością" dystansował azjatycko ociężałych i raczej twarogłowych menażerów z Petersburga i Moskwy. Parł za Bug i Narew, przesiadając się na konie mechaniczne, i galopował po traktach przetartych jeszcze za Kazimierza Wielkiego, a utwardzonych przez lobby małopolskich panów (postawiło ono na swoim, wydając Madziarkę, królową Jadwigę, za egzotycznego Jagiełłę). Wiadomo, kto korzysta na mezaliansach. Dobrze urodzone wydawały na świat pokolenia niegłupich patriotów, zdrowo zbudowanych, po chamsku „przykości” i z kiesą przejętą po rodzicielach-nuworyszach. Rozplecił się gatunek nacjonalisty wyposażonego w świętą rację, a i we wszechmocną gotówkę. Szaleństwa nusyifikatorów, którzy od prób zniesienia świadomości państwowej Polaków przeszli do zacierania ich odrębności, przede wszystkim językowej, upowszechniły opór przeciwko nim w stopniu niewyobrażalnym dla heroldów poprzednich zrywów. Katolicyzm wyrósł na niekwestionowanego reprezentanta życia duchowego Polaków, stał się jego zastępczą etykietką, której prawosławny stupajka z zasady nie atakował. Skoro uszlachceni fabrykanci coraz chętniej łożyli



na nieoficjalne cele narodowe, wskrzeszenie rozszarpanej na sztuki Polski przestawało być mrzonką działaczy, stawało się natomiast nieco żmudnym wyczekiwaniem okazji. Na nią pracował dymiący kominami Priwisłanski Kraj. Niepodległość nie mogła tym razem nie nadejść. Wytworzył się bowiem syndrom polski.

Tak układał się porządek rzeczy; kontynent chłopstwa opłatały enklawy „ziemi obiecanej”, a o Białorusinach zapomniano jak o jakimś trzebionym beczelnie i sprytnie, a nie wziętym pod ochronę, rodzaju fauny. Na szpalty publicystyki powracał mocno archaiczny termin: Litwa. Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy rozwijała się akurat nienadzwyczajnie na Kowieńszczyźnie, z lepszym skutkiem wysyłając emisariuszy do Białegostoku, Grodna, Wilna, Mińska Białoruskiego. Tymczasem ocaleli tu i ówdzie pieśniarze polsko-białoruscy dobijali do Styksu, wolniej walił młotem w kuźni miasteczkowej grzybiejący Pauluk Bahrym. Przejmowanie sztafety pokoleń przy zderzeniu epok to zjawisko długotrwałe i często trudno zrozumieć jego uwarunkowania. Działo się tak zwłaszcza na notorycznie tamszonej Białorusi, gdzie ciągle nieliczni ci, którzy mogliby jeszcze lub winni byli przekazać pałeczkę, znaleźli się pod specjalnym nadzorem lub „na białych niedźwiedziach”. Od kalendarzowego początku dwudziestego wieku dzieliły lata; na ich przestrzeni, w etnicznie polskich krainach i w innych częściach Europy, dokonywała się wymiana twórców kultury. Tutaj zaś nic jej nie zapowiadało.

W życiu umysłowym tego kraju nastąpiło czterdziestolecie, o którym niepodobna mówić z ożywieniem.

W grudniu 1865 r. zwolniono z miejsca odosobnienia Vincuka Dunina-Marcinkiewicza. Organom ścigania nie powiodło się tym razem, nie zdołano „uszyć butów” przebiegłemu powstańcowi, przekazano go jednak pod stały nadzór policyjny. Łatwiej poszło z wrobieniem panien Marcinkiewiczówn za

„niebłagonadiożnoje” wychowanie (śpiewały zakazane pieśni, nosiły konfederatki etc.). Wystraszony ojciec wołał nie kusić złego, zamknął się w sobie, ucichł jakoś, i w przeciągu kilku kwartałów zdobył się na napisanie nowatorskiej komedii „Pinskaja szlachta” („Szlachta pińska”). W konwencji farsy-wodewilu tworzy „Zaloty”, spod jego pióra wychodzą i inne teksty, które później ożyją na scenie, w nie dającej się pomyśleć wtedy przyszłości, w czas gigantycznej pływawicy w Rosji, poczawszy od lutowej próby generalnej przełomu 1917 r. Dowiadujemy się i o takich jego utworach, których pierwodruki pochodzą z końca... drugiej wojny światowej. Scripta et manent!

W okresie pofeudalnego ćwierćwiecza, w czasach rozkwitu kapitalizmu, Białoruś coraz bardziej wszak oddalała się od Polski. Załamanie się rzeczywistości pańszczyźnianej ma w sobie oczywiste znamiona dezintegracji pozytywnej, a zadowolenia myślącym patriotom przysparzało także i to, że ich wielkorusyjscy antagoniści jak gdyby zapominali o swym oklepanym epitecie antybiałoruskim: ta polska intryga, ci prawie-Polacy! Na ulicach miast zyskiwało na popularności wystawianie się na modłę moskiewską, co należy uznać za skutek krzepnięcia gospodarki imperialnej. Wschodnioeuropejska mentalność polityczna nareszcie wychodziła z osiemnastego wieku. Zaczynają dochodzić do głosu siły, których u nas — pod powszechnym ciśnieniem klęsk — nikt nie był w stanie przewidzieć. Stacje kresowe nad Dnieprem ubarwią folklor harcowski, nie więcej, dorosłym zaś, w zasadzie, będą już wystarczać Lwów i Wilno. Większego kęsa nie przełknjemy, upomni niejednego zagończyka mrukliwy Komendant w czasie krucjaty antybolszewickiej, kiedy to Biała Rosja przegra w Bulhakowowskim stylu i wyniesie się gremialnie do kawiarni paryskich. Wschodnich półkolonii (jak nazywa kresy Załuski) polski „słaby imperializm” nie był w stanie stawić. Podzielone granicą narody białoruski i ukraiński oczywiście ciążyły ku zjednoczeniu, a Polska nie była w stanie sprawić, by

dokonało się to pod jej protektoratem. Dojrzewała tragedia osamotnienia.

A teraz wycieczka w nieprzewidywalne dni. Chłopcy z Pierwszej Brygady są w istocie spóźnionym zamknięciem idei styczniowej. Podczerwienieni wpływami robotniczej Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiej Partii Socjalistycznej na Litwie, jednocześnie wielce sympatyzują z Narodową Demokracją i chętnie korzystają z jej strategii, co prawda narzuconej przez zaborców. Odrobinę bardziej oryginalną okazała się endecja w swym kategorycznym twierdzeniu: Białoń może być albo polska, albo rosyjska. — Więc to tak, panowie endecy? Białoń nie jest Białorusią, Białoń nie może być białoruska?! — A tak, panowie Białorusini. Białoń ostatecznie może być w części polska, a w części rosyjska, — ... Do widzenia, panowie endecy. — Do widzenia. — Panowie endecy! ... — Słuchamy, czegoż jeszcze? — W czasach Powstania Styczniowego myślano inaczej, panowie. — Bo też teraz nie te czasy, panowie Białorusini. — Ależ sam Piłsudski opowiada się za federacją Polski i tworów państwowych za Bugiem i Narwią... — Kto? — No, Piłsudski! — To zaściankowy cwaniak, panowie Białorusini! — Dlaczego? — My, panowie Białorusini, jesteśmy przynajmniej szczerzy: chcemy was zjeść i nie kryjemy się z tym.. — W takim razie żegnamy was, panowie endecy. — Ano (lekceważące machnięcie ręką).

Tym razem Warszawa nie chciała potraktować serio ambicji kiełkujących w Mińsku, ustępliwie zredukowanych do aspiracji mini-narodowościowych. Owszem, można znaleźć ten czy inny epizod wskazujący na to, że widziała ona konieczność wykreowania białoruskiego partnera w tym swoim zapamiętłym pokerze, w którym stawkę stanowiła niezawisłość, aliści zawsze okazywało się, że przedsięwzięcie takie nie było długofalowe, że była to impreza taktyczna, obliczona na krótki dystans. Nic z

przemysłanej futurologii, aż dziś wydaje się niepojęte, że właśnie nic a nic!

Interesy rosyjskie i polskie zdążyły z rozpędem do czołowego zderzenia, tworząc wokół zdradliwe wiry. Konflikt przeciwnych prądów sprzyja powstawaniu mielizn. Ta nasza kraina polskich panów i niepolskich chłopów przypominała płytki akwen, który szybko zarastał roślinnością odmienną od nadwiślańskiej; stopniowo wynurzał się z niego oczekiwany łąd. Sławiony przez moich ziomków Kaszub Michał Federowski w zapiskach do przedmowy, którą opatrzył kapitalny „Lud białoruski”<sup>20</sup>, zapowiadał: „Tom jeden przypisać przyszłej inteligencji białoruskiej. Są to skarby naszych ojców, dziedzictwo to przebogate, i skazki, i pieśni, i bajki dziadów przemiłych. W proch były one wdeptane, jako ziarna złote, ja je dobyłem, a wy posiejcie, aby wasze przyszłe pokolenia plon obfity zebrały”. (Okolo półtora tysiąca melodii, pieśni i tańców opracował do tych zbiorów... Jan Karłowicz!)

Pionierem stąpającym po tej ziemi spragnionej swojskiej uprawy — Białosinem, wyłącznie Białosinem — czuł się Franciszak Bahuszevicz. Dlatego nie wypada podawać jego imienia i nazwiska dodatkowo w transkrypcji polskiej (dobrze się składa, że i bez tego zabiegu są wystarczająco czytelne). Uczni radzieccy, powołując się na źródła krakowskie podają, że ten dowódca powstańczy z 1863 roku zaczął pisać około 1878 roku, będąc już mężczyzną pod czterdziestkę. Chciałbym jednocześnie uzupełnić Miłoszowe refleksje o Białosinach i Polakach. Otóż — literackie próby Bahuszevicza krążyły wokół tematu bycia Białosinem. Wielki sympatyk jego talentu, natchniona Polka i łączniczka Romualda Traugutta, Eliza Orzeszkowa, miała już za sobą swe znakomite powieści, ślęcząc nad szkicami o ludziach i kwiatach znad Niemna, czyli o wrażliwości „tutejszych”, którą

---

<sup>20</sup> Michał Federowski. „Lud białoruski”, tom V, Warszawa 1958.

nasiąkła przecież od dzieciństwa, — kiedy to panoczek Franciszek ze ściśniętym sercem wywodził w przedmowie do swej pierwszej książki, „Dudki białauskiej” — Nieraz zastanawiałem się nad tym, mój ty Boże wszechmocny, dlaczego to my jesteśmy aż tak zupełnie odarci z własnego losu, boć nawet owa Bułgaria mała, przygarść ledwie tego narodu, czy Chorwaci, Czesi, Ukraińcy i inne ludy pobratymcze posiadają językiem swoim książki i gazety wydawane, a dzieci ich czytają i piszą tak jak mówią; u nas jakoś tak jest, że jeśli ktoś tych słów parę na kartce zechciałby w swej mowie rodzicom przestać, to być może i we wsi rodzinnej powiedzieliby, że „po chłopsku napisał” i niczym durnia wysmialiby!

Jakie to współbrzmienie w formie i treści z odezwaniami i zawołaniami Kastusia Kalinouskiego. Ale są tu też sprawy, które Bahuszevicz pierwszy poruszył i uwypuklił, tak iż urosły wręcz do rangi haseł: Niemało było takich narodów, które najpierw mowę swą utraciły, jako ten człowiek, co w godzinę śmierci zdolność mówienia postrada, a potem one całkiem przepadły. Nie porzucajcież mowy swej białoruskiej, aby nie podzielić ich losu. Poznają ludzi czy to po rozmowie, czy po odzieniu... Więc mowa, język, jest duszy tymodzieniem.

To nie apel idealisty oderwanego od życia. Dość zajrzeć do zszywek czasopisma „Kraj”, w którym zamieszczał on artykuły i korespondencje. W jego curriculum vitae poważną rolę odegrał Jan Karłowicz, zagrożonemu dekonspiracją dwudziestoparolatkowi pomógł dostać się na studia prawnicze w Nieżynie. Ojciec i bracia Bahuszeviczowie wyszli z opresji bez szwanku, sam Franuk natomiast, ranny w nogę, przeczekał niebezpieczeństwo w ukryciu, u niejakich Kruszewskich pod Białymstokiem, rodziny bynajmniej nie mającej (jej dokładniejszy adres, miejscowość, w której żyli, nie są znane). Wykierował się młodzian na adwokata, ale pieniędzy nie zrobił (kariera jest udziałem osobników sprawnych, lecz prymitywnych

w swej konstrukcji duchowej). Tu ogarnia refleksja ponadczasowa: mecenas Bahuszevicz niejednego hołysza wyciągnął z nieszczęścia; ich wnuki nawet nie słyszały o tym dobrodziejcu, na palcach można by zliczyć tych, którzy znają chociaż imię swego rodzzonego dziada...

Drzewo genealogiczne nie daje opału ani owoców. Wiem, co mówię; wędrowałem na przykład po Oszmiańskim — ojczyźnie Bahuszevicza. Szkoda, że nie zwiedziłem Oszmiańskiego Muzeum Krajoznawczego jego imienia, że nie udałem się do Kuszlan, gdzie mimo przetaczających się wojen i frontów przetrwał dom Bahuszeviczów, ani choćby na cmentarz w Żupranach, miejsce wiecznego spoczynku ojca patriotyzmu białoruskiego. Bóg da, pojedę tam i dopełnię powinności, składając hołd pamięci tego człowieka, bez którego obecności w dziejach współczesnych i ja nie byłbym dziś sobą, grzązłbym zapewne w jakimś regionalizmie, podlaskim lub kurpiowskim, naciągany aż na Białystok niczym kusy kawał skóry na zbyt duże szewskie kopyto (powołano w tym mieście barwny zespół pieśni i tańca o nazwie „Kurpie Zielone”. Kto wie, czy z tej okazji nie sprowadzając kumów spod dawnej granicy pruskiej, z Puszczy Zielonej, nie znanę u „śledzików”).

Niestrudzony Kałowicz stał się orędownikiem talentu Bahuszevicza, a co ważniejsze, miał też środki, aby popierać swego podopiecznego. Przedstawił go Orzeszkowej. — Piękny to talent — zachwycała się pani Eliza. — Polskie wiersze pana Bahuszevicza są słabe, ale białoruskie, według mnie, co najmniej wybitne. Trzeba więc ze wszystkich sił zachęcać go do pracy w tym kierunku. Koniecznie chcę lepiej poznać Białorusinów, w morzu których jesteśmy wysepkami, dużo pisać o nich i nawet wchodzić z nimi w stosunki wzajemne.

Dzięki staraniom pana Jana, Bahuszevicz nawiązał bardzo istotne dla niego znajomości. W Krakowie — z Federowskim, następnie z Dykszejnem, a także z wydawcą i drukarzem

Anczycem. Tytus Sopotzko, recenzent „Dudki białuskiej”, wyrażał żal w „Przeglądzie Powszechnym”, że ta zdumiewająca książeczka nie może dotrzeć do czytelnika w sposób legalny. Ponadto sformułował szereg zarzutów pod adresem obecnych w tekście polonizmów i rusycyzmów.

Białorusini nowożytni ciągle nie byli jeszcze w stanie formułować w rodzimym języku myśli niepodległej; mowa ich ledwie wypuszczała pędy, dopiero uczyła się jasności i precyzji, również niezależności od sąsiednich zasobów leksykalnych i składniowych. Badania nad publicystyką starobiałorską prowadzili beznamytni naukowcy w zaciszu akademickich pracowni Petersburga czy Warszawy, obojętni na niewolniczo nieporadną szamotaninę tego kraiku i jego walkę o osiągnięcie tożsamości. Kult Jeufraśnińi Połackiej to zdobycz wykształconych na docentów synów kresowych parobków, żyjących w dobie katastrofy cesarstw na wschód od Łaby i Dunaju. Zwykłą drogą Bahuszevicz nie mógł dowiedzieć się niczego na temat kształtowania się idei narodowej. A drogą nielegalną — też nie. Musiałby nawiązać kontakt z „Narodną Wolą”, a była to kadrowa organizacja konspiracyjna, a więc nieliczna (miała około pięciuset członków w całej Rosji). Pamiętajmy i o tym, że na czele rosyjskiej policji politycznej stali nie byle jacy fachowcy, a ich zaplecze kulturalne sięgało salonów arystokracji. Policja święciła triumf, dekonspiując skądinąd doskonale zorganizowaną siatkę warszawskich socjalistów (proces Proletariatu). Narodowolców unieszkodliwiono w tempie nowoczesnym.

Dlaczego wspominam o tej rosyjskiej partii? I to pisząc o Bahuszeviczu?

Ano z zasadniczego powodu. Otóż z niej właśnie wykluła się frakcja białoruska, inaczej, być może, organizacja ta nie byłaby warta wzmianki w tej książce (narodnik Kalinouski, twórca ośrodka bądź co bądź rządzącego itd. — to zupełnie inna sprawa). Otóż, w 1884, tuż po gigantycznej wyspie, „Narodnaja Wola”

staraniem owej frakcji wyemitowała na powielaczu dwa numery przeglądu socjalno-rewolucyjnego „Gomon” tymczasowo w języku rosyjskim, nawiązującego jednak tytułem do formy białoruskiej „homan” (co w przybliżeniu znaczy: głosy). Policja raczej bez trudu nakryła redakcję; studentów z guberni Siewiero-Zapadnego Kraju; kierowali nimi Marczenko i Ratner. Treść „Gomonu” dostępna jest w wyborze tekstów do dziejów naszej literatury; nie mogą wyjść z podziwu dla przenikliwości intelektualnej gołowąsych publicystów sprzed wieku! Ich opinii czas prawie nie naruszył!

„Gomonowcy” — o tym chciałbym tu mówić — zdefiniowali etniczną samoistność własnego narodu, — w czym kalinouszczycy byli mgliście ogólnikowi, oraz wystąpili z uzasadnionymi postulatami suwerenności Białorusi w oparciu o związek federacyjny z przekształconą przez ludową rewolucję Rosją. W siedem lat potem zaczął publikować Bahuszevicz, pod pseudonimem, ponadto — za kordonem, nie skrepowany cenzurą. W jego wypowiedziach politycznych, jak i w artystycznych, brak nawet śladu choćby pobieżnej lektury przemyśleń zespołu Marczenki i Ratnera. Zapewne nic nie wiedział na temat tej grupy; jej głównym animatorem był sam Ihnat Hryniavicki, przyszły zabójca Aleksandra II (do dziś ów czyn nie doczekał się jednoznacznej kwalifikacji; były przecież widoki na konstytucję!). Znacząca wydaje się owa niewiedza Bahuszevicza, ostatniego z wielkich tej ziemi, którzy tęsknoty zionków wciąż łączyli z losami Polski. Tymczasem w białoruskim myśleniu dokonywał się zwrot ku Petersburgowi; zadzierzgano więzy z podziemiem Stawroginów, czerpiąc przykład, a też i spuściznę ideową — sądzę, że można uznać to za pewnik — z bojów partyzanckich w latach 1863-64. Natomiast w zakresie wzorów organizacyjno-taktycznych wciąż odwoływano się do doświadczeń Królestwa. Ani jedno, ani drugie nie wynikało z irracjonalnego atawizmu — istniały bowiem perspektywy powodzenia planów.



Przyglądając się poszatowanej historiografii Białorusi, podawanej do szerokiej wiadomości nader przyczynkarsko, natknąłem się na zjawisko z pogranicza telepatii: w latach 1916-1918 wychodziła w Wilnie gazeta, właśnie pod nazwą „Homan”, prowadzona przez znakomitego Waclawa Łastouskiego; za cel strategiczny przyjęła osiągnięcie „całkowitej niezawisłości państwowej dla Białorusko-Litewskiego Kraju”. Patronowali jej sławetni bracia Łuckiewiczowie, Ivan i Anton, skupiający wokół siebie najprzedniejsze umysły, ale wątpię w to, by słyszeli oni, a w każdym razie słyszeli wyczerpująco, o swym poprzedniku, o petersburskim „Gomonie” (dokumentacja policyjna ma to do siebie, że jest trudno dostępna, niezależnie od zmian reżimów). W słowie odredakcyjnym, w pierwszym numerze, pisano wiosną 1884 roku:

„Ze wszystkich narodowości, jakie wchodzą w skład dzisiejszej Rosji, los Białorusinów, jak wiadomo, tym się wyróżnia, że już od dawna przyzwyczajono się patrzeć na nich jako na materiał eksperymentów przeróżnych, nie zaś jak na narodowość żywą, zdolną dysponować sobą. Wychodząc z tego punktu widzenia, najbliżsi sąsiedzi Białorusinów, prawem silniejszego, przeprowadzają na nich doświadczenia i próby, bezceremonialnie żerując na żywym organizmie narodowości białoruskiej, w przekonaniu, że winna ona z pokorą podporządkować się silniejszemu i zasymilować się, zlewając się z wielkorosyjskim lub polskim morzem”. Zapowiadano przejście na język białoruski, ale, jak to z nami bywa, niebawem wkroczyła w to służba bezpieczeństwa. W poszukiwaniu międzynarodowego wsparcia spiskowcy zaczęli ciągnąć stąd do Wenecji Północy. Słusznie przeczuwali, iż tym razem nie na marne. W końcu z czym to poparciem ich synowie obwieszczali Białoruską Republikę Ludową 25 marca 1918 r., a w Sylwestra — Białoruską Republikę Rad?!

Gdzieś na dnie umysłu ćmi zaniepokojenie żywotnością konkluzji pierwszych gomonowców, „zwiniętych” przez Ochranę na stacji Ratnera. Nie wszystkich widocznie wyluskano w ów feralny dla nich dwudziesty czwarty dzień kwietnia, konfiskacie uległy — jak skrupulatnie zaprotokołowano — trzydzieści dwa egzemplarze pisemka; drugi numer odbito — kto mianowicie? — tuż po Zaduszkach... Błyskawicą w przedźniwnym zapole skacze mi pytajnik, który jednocześnie jest konstatacją: Czy dojrzał białoruski ruch robotniczy? Ano nie. Wśród proletariatu Białorusi działali na ogół obcoplemieńcy, po części asimilados. Antykolonialny nacjonalizm Białorusinów opierał się na chłopstwie. Ivana Łuckiewicza ponoć wyśmiewano w Mińsku, gdy palnął tam mówkę do robotarzy w języku niefabrykantów.

Czy wieśniacy stworzyli kiedykolwiek państwo, tak jak uczyniła to klasa robotnicza? Sylogizmy są dobre w logice, a i to jedynie w logice formalnej. Marczenko z Ratnerem studiowali socjalizm naukowy nie po to, żeby nic z niego niepojąć; ale żaden z nich nie mógł równać się z Waryńskim, na Białorusi nie było bowiem Lilpopów, szanowni panowie przyczynkarze!

Recepcję ideologii warunkują realia egzystencji zbiorowej (hymn Amerykanów, jak wiadomo, był początkowo paszkwilem autorstwa Anglika, służącego w armii kolonialnej). Marks z Engelsem nie poświęcili większej uwagi niegdysiejszemu Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, w którym kopcilo niewiele dymów fabrycznych; w Wilnie i w Białymstoku, kilka w Mińsku, Witebsku i Homlu. Przemysł obrotnej Kongresówki przesłaniał samą Rosję, jeśli spoglądało się na nią od strony Zagłębia Ruhry. Cesarstwo tego importowało z autonomicznych ziem za Narwią, najchętniej perkaliki; równoległe kwitł przemysł śpiewów rewolucyjnych (nad Nową chwalono się wprawdzie ładną, lecz jedyną „Dubinuską”; Lenin zachęcał więc do przekładów). Ziemia Ruska ciągle cierpiała na azjatyckie zacołanie i gnała do stołu cywilizacji, przy którym zdradzała się jednakże z

kompleksem polskim, w istocie swej nowobogackim (tak bywa na ogół, gdy ktoś chce komuś dorównać).

Myślano prostodusznie, że kluczem do nowoczesności jest rozwój miast. Nieprędko osiągnięto dialektyczne umiarkowanie, i zdano sobie sprawę z tego, że zacošana wieś to kamień młyński u szyi kraju, bez względu na to, ile posiada on fabryk. Jak długo osiedlony w mieście syn odwiedza wioskę ojców, niczym pierwotny busz, tak długo naród, do którego należy, nie jest narodem na miarę swych czasów (przykładem niech tu będzie niegłupi szach, który głupio chciał przekształcić Iran w mocarstwo o poziomie Stanów Zjednoczonych druga forsownej industrializacji).

Kiedy na porządku dnia stanęła kwestia ukonstytuowania się Rzeczypospolitej Białosinów, wyobcowany mieszczański motłoch gwizdał i obrzucał zgniłymi jajami jej zwolenników. Tylko chłopci trochę poradowali się i poklaskali, jak gdyby z przepaszającym grymasem na gębach, aliści wnet ucichli; okazało się bowiem, że i bez tego wydzierania się dostaną owe morgi z dworskiego (Witos wypłynął jednakowoż w dojrzałym strukturalnie społeczeństwie Polaków; na Białosin ktoś taki pojawić się nie mógł). Karta białosinowska zyskała na mocy dzięki stanowczości samego Lenina — powiedzmy wprosi: to on wymusił na bolszewickim KC poważny stosunek do tej sprawy, pójdzie na rękę temu nowemu narodowi, który dopiero stawał się sobą, przypominając dziką gruszę na peryferyjnym ugorze Europy, drzewo o boleśnie skrzyconych gałęziach i listowiu objedzonym przez żarłoczne bydłta. Pozwólmy mu wydać nowe pędy, by rosły wyżej niż łakomie wyciągające się ku nim pyski, i dajmy mu dalej rosnać. Niechaj wyrośnie na zdrowe drzewo, zakwitnie w maju i obsypie się owocami w mgiełce babiego lata. Przybędzie korzyści okolicy. Wykarczować je i porąbać? E, ile z tego chęactwa będzie polan? ... Nie warto. Drzewko to drzewko — zieleń, cień, ozdoba. W Finlandii. proszę towarzyszy, same lasy, a cackają się tam z

każdą brzošką w obejściu, prędzej płot ominie ją, niżi zrąbia, e-he-he...

W ostatni poniedziałek sierpnia 1981 roku spotkała mnie wielka radość: listonosz doręczył mi przesyłkę od profesora Adama Maldzisa z Republiki Białoruskiej, wolumin w twardej oprawie koloru czekolady, z wyłożonymi literami grażdanki: „Adam Mickiewicz. Pan Tadevusz”. Zerknąłem na firmę. Nie ma wątpliwości — wyróżniono mnie zaliczając do ścisłej czołówki czytelniczej i obdarowując autorskim egzemplarzem poematu wreszcie wydanego w Jego ojczyźnie w przekładzie „legendy naszych serc”, Branisiava Taraszkiewicza!

Pięćdziesiąt lat, pośrodku dwudziestego wieku, przeleżał w sejfach ten manuskrypt po zamordowanym w Amerykance przez jeżowowców Taraszkiewiczu (29 listopada 1938 roku). To, że nie zaginęło dzieło Mickiewiczowe w swej wersji białoruszczonaj, jest zasługą wdowy po tym mężu stanu, pani Niny. Kobiety głośniejsz rozpaczają, ale i zawzięciej żyją.

Prasłowiańską wieś w „Balladynie” przedstawił Słowacki według swoich wyobrażeń o życiu za Niemnem — czytam.

Gdy znowu zanosilo się na odwilż po objęciu tronu przez Aleksandra III — po zamachu Hryniavickiego — naiwny w swej pocziwości Vincuk Dunin-Marcinkiewicz jął od nowa upraszać władze o najjaśniejsze pozwolenie akurat na to, co, jak wiemy, oddano na pastwę piomieni, zamieniono w popiół, nie zważając na pokrymską liberalizację... Jedynego naszego zawodowego literata popierała ówczesznie niejaka Zofia Trzeszczkowska, pół-Białorusinka, zasłaniająca się męskim kryptonimem: Adam M-ski. Uładzimir Kaźbianuk z Mińska, ślęcząc w Zakładzie Rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie, dotarł do sygnatury 2864, czyli do paczuski z epistolami tej zapomnianej autorki, adresowanymi do Mińama. — Niedawno pisano w tygodnikach, że jeśliby wydano „Pana Tadeusza” po białorusku, chłopci nie czytalyby go — użalała się pani Adam. — A 'czy rdzenni chłopci

polscy czytają ten utwór w języku polskim? Uważam, że nikt nie może tak argumentować i że takie rzeczy inteligencja winna upowszechniać. A że pieśń po białorusku miałaby ogromne wzięcie, wiem o tym z własnej praktyki... — Wywodziła się Trzeszczkowska ze Słuczczyzny, prastarej dzielnicy, zapisanej w najnowszych dziejach kraju zrywem powstańczym zdesperowanych narodowców (vide: Biełauskaja Rada Słuczczyzny i jej formacje wojskowe, operujące w kleszczach wrogich im frontów 1920 roku).

Delektując się owym sympatycznym epizodem zupełnie nie przypuszczałem, że jestem oto na tropie pewnego klanu tamtejszych pisarzy. Krewnym tej dość tajemniczej intelektualistki był nie kto inny jak sam Władysław Syrokomla! Zachowało się podanie: będący u szczytu populamości Limik Litewski pozytywnie ustosunkował się do pierwoćin poetyckich podlotka, piętnastoletniej wtedy Zosi, a na jej imieniny skreślił wiersz, dedykując go swej miłej kuzynce.

W korespondencji ludzi z tego kręgu wymienia się także Aldonę. Utwory tej kobiety, prawdopodobnie pisane również i po białorusku, spotykają się wprawdzie ze zdawkową, lecz przychylną dla niej krytyką. Któż to zaczął? W liście do białorusko-polskiego pieśniarza Vincesia Karatynskiego z 18 listopada 1871 r. pani Zofia informowała, że Aldona jest córką Elżbiety, rodzonej siostry nieodżałowanej pamięci Syrokomli, która wyszła za Antoniego Rajeckiego (wujka teźże M-skiej). No tak, sami swoi. Ale to jeszcze niekoniec. Pojawia się tu rodzina Niesłuchowskich.

Syn Jan otrzymał dyplom inżyniera po studiach w Petersburgu, ale i wspiął się po laur barda poniżonej mowy, używając niezbyt rycerskiego pseudonimu Janka Łuczyna (Łuczywo). Po kobiecemu gadatliwa autorka listu pisze, że znała Jasia od dziecka, pamięta nawet jego nianię; rodziny przyjaźniły się i składały sobie wizyty. Archeologowie literatury Białosinów, linczowanej przez szowinistów z Moskwy i Warszawy, prześla-

dowanej przez rządy satrapów, są benedyktyńsko metodyczni i niezmiennie pełni nadziei; grzebią w przeszłości żmudnie, lecz rzetelnie. Trzeszczkowska jest ich najświeższym odkryciem, nowością z ostatniego okresu nieustających poszukiwań. Niewątpliwie czekają ich jeszcze dalsze niespodzianki. Archiwa i stare biblioteki nie zawsze wiedzą, co posiadają.

Przyzwoicie zarabiający w swym fachu Łuczyna suszył sobie głowę, jak nadać formy organizacyjne ruchowi literackiemu w swojej do cna zniewolonej przez los i politykę ludowej ojczyźnie. Rzuca pomysł opracowania antologii młodych „Pamas”, w czym popiera go Miniam. Skompletowano nieomal całość i na tym urwało się... Jaś okazał się, niestety, śmiertelnie chory! Na jego śmierć zareagowała wyłącznie prasa polska; w warszawskiej „Prawdzie”, we wspomnieniu pośmiertnym, wypowiadał się o Nim sam Aleksander Świętochowski: Niemal znamy Jego utworów dotychczas jeszcze nie wydrukowanych. Śród nich są także strofy przepięknie napisane w języku białoruskim. Warto więc, by ktoś zaopiekował się tą puścizną, zebrał ją w wiązankę (podkr. moje, S. J.), kwiaty której stałyby się ozdobą literatury...

Nie był to zwykły gest kurtuazyjny względem naprawdę bratniej Polakom sztuki, nieporównywalnie bardziej uciśnionej przez zaborcę. Dzieje pisarstwa światowego uczą nas, iż każde liczące się dokonanie jest cenne dlatego, gdyż odnajdujemy w nim narodowe, więc oryginalne, nie wtórne, słowo o człowieku (stosowny garnitur fonetyczny nie jest tu niezbędny. Łuczyna, jak i poprzedzający go parnasiści na tej nielitewskiej Litwie, nosili się naturalnie z polską i to nas dziś myli). Jak gdyby z inspiracji Świętochowskiego, choć dopiero w 1909 r., młodzi budziciele Białorusi wydali w zimnym Petersburgu utwory Łuczyny, opatrując je właśnie tytułem: „Viazanka”. Wyprzedziło ich jednak „Echo muzyczne, teatralne i artystyczne”, zamieszczając spolszczoną przez niego sztukę Theodore'a de Bauville'a „Sokrates i jego żona”.

Narodowość, która zapisała się w sztuce, staje się nieśmiertelna bez względu na to, czy zostanie połknięta przez agresywne cywilizacje tryskającą witalnością sąsiadów. Któż — zastanówmy się — z Europejczyków nie jest po trosze Egipcjaninem, przynajmniej jeśli chodzi o kuchenną astrologię; nie wszyscy zresztą wiemy, że ostatni z tego genialnego plemienia wygaśli w czasach Sobieskiego (wąsaci praojcowie nasi z trudem sylabizowali wówczas senniki egipskie i wzdrali się na samą myśl o szkaradnych stworach znad Nilu, rzeki tak odległej, że wręcz nierealnej!)

Polskie i białoruskie myślenia przecinają się wzajem. Jedno użycia drugie. Jestem Białorusinem, oświadczał Wańkowicz, co nie było jednoznaczne z narodowym samookreśleniem. Zdarzały się okresy, że ów dialog zanikał, by znów z mocą rozbrzmieć, o czym rozprawiał również wielki Melo. Ubiegłego sierpnia, kiedy to brązowiły kasztany, a przyroda zaczynała tonąć w rumieńcach przedjesieni, odłożyłem na bok „Białoruś, Białoruś”, żeby oszczędzić sił na dzień następny i wyciągnąłem się na tapczanie z grubym miesięcznikiem „Maładość”. Zaczadzenie pracowitym dniem z wolna ustępowało, odnawiała się łączność między wzrokiem i mózgiem. Wgapiłem się w winiętę Rodzina. Wieś. Naród. Parzysty vacat wypełniało zdjęcie mężczyzny o twarzy aktora, no tak — twórcy „Czużoj baćkauszczyny” („Obcej ojczyzny”) — Czesia Adamczyka;

z perspektywy Mińska człowiek ten pochodzi spoza przedwojennej granicy. Szkic, portretujący jego osobowość, nakreślił Serafim Andrajuk, repatriant zza linii Curzona, spod Białegostoku. Ocknąłem się. To przecież wspaniałe swojski skrót, spojrzenie z progów domostwa; najpierw widać wioskową ulicę ukwieconą georginiami z panięńskich ogródeczków, dalej zmienia się ona w gościniec za chatą na wydmuchu, zda się, gnający od razu w niebiosa, ponad jazgotliwe, obce rusticusowi aglomeracje... Proszę Szanownych Państwa! W tej triadzie Adamczykowej w

ogóle nie ma miasta, a jego nieobecność w wyobraźni Białorusinów jest wysoce znamienna. Wszak to nacja wybitnie włościańska — powtarzam solennie za Juliją Kane i jej esejem „Jakimi my byli — jakimi staniem” („Jacy byliśmy — jakimi staniemy się”), w którym gromi ona, z pomocą racji przekonywająco wyważonych, ów okropny „filializm” miński, alias zauroczenie miejscowych krytyków światowymi nazwiskami zza miedzy, usychanie wyobraźni w spojrzeniu na proces literacki w Białorusi. Naród białoruski, z powodów dziejowe usprawiedliwionych, nie poczuwa się do długu wdzięczności wobec ośrodków wielkomięjskich, nurt urbanistyczny w jego piśmiennictwie jest niemądrym chciejstwem tychże zwolenników filializmu; przebijają się natomiast czyściutkie źródelka pisarstwa wyrosłego z migracji, którego jądro definiuje wyrażenie Michasia Stralcova: „siena na asfalcie” (siano na asfalcie). Pani Juliją, rozprawiając gómolotnie na temat epokowego znaczenia przewrotu naukowo-technicznego, poszukiwała paraleli warszawsko-krakowskich, zamyśliła się nad prozą Kawalca i Myśliwskiego, jej odmiennością.

Adamczyk wtóruje jej tonem, aliści przyznaje się do obsesji godnej swego talentu. „Opisałem i jeszcze wiele razy opiszę ojcowski zagon żyta, naszą dróżkę w pole, młodozieloną brzoźkę koło chatynki, ciszę wieczomą i matulę z płachtą pełną zielska, zarzuconą na plecy” — deklaruje znakomity epik. „Ludzie rodzą się i umierają, następują wymiany pokoleń. A ja wciąż zastanawiam się i będę się zastanawiać nad tym, dlaczego to mamy obecnie osiem milionów Białorusinów, kiedy to było ich przecież ponad dziesięć już wówczas, gdy słynny człowiek spod Nowogródka, wygłaszając wykłady w College de France mówił o cudownej prostocie języka naszego. Chcę to ogamać i zrozumieć, dla siebie i dla innych”.

Wiekowy Kuźma — postać z prozy Ivana Czyhrynava, kolegi po piórze — podumał, podumał i rzeki (cytuje): „Z wojną



na Moskwę chadzano i dawniej. Ino ciągiem przez nasze, przez Białoruś... I tak se dochodzę, że jakościk dziwnie umieszczono tę naszą Białorusie, jakby sam Pan Bóg umyślnie tak uczynił. Jak nie przez nasz to kraj z pożogą ciągną, przez nasz i przez nasz. Inszy raz pomyśli sobie człek, żeby już kto przeniósł tę Białorusie naszą do jakiego ustronszego miejsca, toć i nam byłoby lżej. A ziemia tutaj dobra, może i lepsza nawet niżli w raj. Bo i ponyśleć jeno — u obcych głód, ludziska mrą u nich jak te muchy, bez liku przepadają, choćby i w tej Ukrainie, tamako strasznie teraz naumierało, a tu, u nas, chłopcy, tyle że opuchli i nic dalej im nie było — jak nie korą to jagodą, jak nie jagodą to grzybem se podtrzymać można, byle do nowych kartofli, do żytko po żniwie, i sam nie obaczysz, kiedy bida popuści, abyś rąk tylko nie zwieszał w niej i cudzego zlitowania nie czekał. Nie ma dobrejszej ziemi nad naszą, ano nie ma... Z Białorusią, to, ot co — z położeniem jej udreka nam zawsze wielga! — i Kuźma lulkę zaćmił, przez zęby strzyknąwszy śliną w łopiany".

To moje pisanie dla Polaków o Białorusi nie było możliwe nawet w ćwierćwiecze istnienia PRL-u, jeśli odrzucić ewentualność nabazgrania jakiejś broszurki, o której z góry wiedziałbym, że nikt jej nie przeczyta (z wyjątkiem wydawcy i znudzonego cenzora). Za przyczynę owej niemożności trzeba uznać między innymi zwyczajny brak dostępu do publikacji i dokumentów źródłowych w tamtych latach. Obecnie jest z tym znośniej. Toteż rzuciłem się łapczywie na te publikacje i dokumenty, niczym mieszczuch na nowalio!

Przypominam jednak: tekst ten ma być zaledwie dłuższą dywagacją, nie zaś pełnym omówieniem tematu. Będę zadowolony z owoców mego wysiłku, jeśli dowiem się, że ktoś zatrzymał się nad tymi słowami. Będzie to dowód, iż zdolny jestem do snucia rozważań, mniejsza o to, czy celnych, no i dowód obrotności w nabytej polszczyźnie (czego nie należy uważać za natrętną sugestię, by ktoś wyłożył po białorusku polski punkt

widzenia na bieg tych spraw! Choć — dałby Bóg — by tak się stało.)

Po reportersku, bez wytchnienia, montowałem podróże nad Niemen, Świsłocz i Narocz (loty na podlondyński Zachód, też z Tanią, to już najnowsze osiągnięcie organizacyjne szperacza).

Był to mój piąty pobyt na Białorusi. Kiedy z żoną Tanią wysiadałem z białostockiego pociągu w Grodnie (Hrodna, Horadnia), by czekać na pociąg jadący nocą do Mińska, pomyślałem sobie, że można by pójść z wizytą do kogoś z krewnych albo przyjaciół. Do szwagrostwa Kreczyków — po zaniemeńskiej stronie — zbyt daleko, a prawdę mówiąc obawiałem się, że zmuszą nas do zostania u siebie na dni kilka, gdy tymczasem pilno mi było jechać dalej. O Grodnie pisała Konopnicka do Lenartowicza (18 października 1888 r.): niech Bóg się nad nim użali. Gdyby ten Niemen spłynął samymi łzami, też nie byłoby to dziwne. Ludzi tu zbyt mało, życie nadto ciężkie, serca za słabe. To, co tutaj kiedyś zrodzi się w środowisku ludowym, nie będzie Polską czy Litwą, lecz Białorusią. Historyczne rysy Rzeczypospolitej wygrzyzą tutaj czas f niewola, ostaną się jeno etnograficzne.

Zadzwoiłem z automatu telefonicznego do Alaksieja Piatkiewicza. Czułem po prostu większą potrzebę zobaczenia się z nim niż z kimkolwiek innym. Ten nieco przesadnie skromny docent grodzieńskiego Uniwersytetu imienia Janki Kupały z powodzeniem zainicjował prace badawcze nad białoruskim życiem literackim w Kraju Białostockim. Co tu ukrywać, byłem też ciekaw rozprawy niejakiej pani M. Avierka, poświęconej mojej twórczości, obrona zakończyła się — jak poinformowano mnie później — wynikiem celującym.

Ulica Elży Orzeszkowej zaczyna się koło dworca. Na jej nie tkniętych wojną i przebudową trotuarach widać spacerowiczów; para wyrostków, idących przed nami, opowiada sobie przygody Koziołka Matołka (program telewizji warszawskiej, dociera tutaj

— podobnie jak do Białegostoku — program telewizji mińskiej). Polska restauracja „Białystok” — w remoncie; w piwnicy naprzeciwko, w barze, podano nam kołduny.

Żałuję teraz, że nie spotkałem się wtedy również z Alaksiejem Karpiukiem, pisarzem ze Straszewa koło naszego gminnego Gródka. Twórczość swą osadza w białostockich realiach — miniatury prozatorskie osnute mgiełką filozoficznej zadumy, opowieści biograficzne czy powieść „Danuta” (z zamiarem wydania jej w polskim tłumaczeniu nosi się Wydawnictwo Łódzkie). Przed półtora rokiem Karpiuk odwiedził Białostockie, by podładować swój „akumulator” przed rozpoczęciem pracy nad kolejną książką. Wypuściliśmy się wtedy w Opola Puszczy Kryńskiej; powstało z tego i moje opowiadanie: „Niaździejśnienaja razmova” („Z dawnym kumplem”). Owa eskapada dała Karpiukowi możliwość obejrzenia zmienionego krajobrazu okolic, w których spędził niejedną partyzancką dniówkę. Po brawurowej ucieczce z obozu koncentracyjnego w Stutthofie przeobraził się on w istne wcielenie telewizyjnego Hansa Klossa. Zorganizował oddział leśny imienia Kastusia Kalinouskiego; w przebraniu niemieckiego oficera działał w samym Białymstoku (śmiałą akcją likwidacji wpływowego kolaboranta, sołtysa w Kruszynianach, spowodował rozpad ochotniczych grup Samaachovy, organizowanych przez Niemców dla przeciwdziałania narastającemu w białoruskich wsiach ruchowi oporu). Po wojnie Alaksieja Karpiuka odznaczono krzyżem *Virtuti Militari*.

Choć znany się od dawna, widziałem się z nim nie więcej niż cztery razy. Trudno zastać go w domu i aż dziw, kiedy zdążył tyle napisać; lubi załatwiać sprawy i podróżować.

Szczyście do spotkań dopisało mi w Mińsku. Właśnie piętnastego zajrzał do swego mieszkania — podlać kwiatki? — mistrz, Janka Brył, urywając się pewnie ze swej letniej samotni na Ponienieniu. Miałem doń interes jako tłumacz jego urokliwej

książki „Vitraży” na język polski, na białoruski zaś — Tadeusza Różewicza, Stanisława Srokowskiego, Edwarda Redlińskiego, Mariana Pilota, Jana Czopika, Erwina Kruka, Jana Adamskiego, Adiany Szymańskiej, Jana Leończuka, Bogusława Falickiego... Brył to opoka w nowoczesnych stosunkach białorusko-polskich w zakresie literatury. Jest on rzeczywiście uważany po trosze za ambasadora lechickiej kultury nad Niemnem, Dźwiną i Prypecią. Sama lista nazwisk pisarzy, z bez mała wszystkich miast Polski, których utwory przyswoił literaturze białoruskiej, jest zanadto obszerna, by móc ją tu zmieścić. Ten był żołnierz o wzroście grenadiera rodem z Nowogródczyny, obrońca Gdyni w 1939 r., laureat i naszych nagród literackich (min. imienia Włodzimierza Pietrzaka), jest u nas równie popularny jak Vasil Bykau, do niedawna mieszkaniec Grodna. Jego twórczość jest spolszczana prawie na bieżąco. Obiadowaliśmy niespiesznie, sami, w komfortowej „Żuravince” (z jakichś tam powodów nieczynnej, aleć nie dla gości z zagranicy!). Zwiedziliśmy potem obleganą przez tłumy wystawę zadziwiających płócien Rörichów, w pewnym stopniu przygotowani do ich odbioru; Brył fascynuje się malarstwem tych rosyjskich Norwegów. Później, oszołomieni, jak po każdym zetknięciu się z prawdziwie doniosłym dziełem artystycznym, próbowaliśmy w milczeniu ochłonąć w parku Janki Kupały. Natrętnie tłukła mi się po głowie pewna scena Różewiczowskiego opowiadania z antologii „Ad Buha da Odry”, opracowanej przez Bryła do spółki z Piotrem Stefanowiczem (Stefanowicz to białoruski Polak, podobnie jak i Mikołaj Tatur, z którym zgadałem się onegdaj na temat jego belferki w łomżyńskim Czyżewie po 17 września 1939).

Polska w Bryłowym piarstwie jest stale obecna. Pozostaje on w zażyłych kontaktach z literatami Łodzi, Warszawy, Gdańska... Jest oczekiwanym gościem w ich domach; pamiętam, jak podejmowali go uroczystą kolacją w SPATiF-ie, w Alejach Ujazdowskich, lat temu parę, jak gdyby na zakończenie naszej

dwudobowej wspólnej harówki w pokoju Hotelu Europejskiego, gdzie dopadłem go z prośbą o autoryzację polskojęzycznej wersji „Witraży”. Bryła zacząłem poznawać w smutną lutową odwilż 1966 roku, w niemożebnie zagraconym mińskim mieszkaniu mojego brata, Juki Siemianiaki, też po części białostoczanina, kompozytora „Na usiu Biełarus i Saviecki Sajuz”. Rozczytywałem się wtedy w maciupieńkiej książeczce „Zmienia soniecznych promniau” („Garść promieni słonecznych”). Była to jedna z tych lektur, które zapadły mi w duszę. Myślałem: ludzkość cały czas dąży nie tylko do tego, by coraz lepiej jeść i mieszkać, co jest najpierwszym jej prawem, lecz także by żyć z podniesioną głową, a nie na klęczkach. Przede wszystkim temu ma służyć sztuka, nauka, polityka, ideologia, wytwarzanie dóbr materialnych. Rewolucja dokonuje się w imię szczęścia....

Odszukał mnie z Tanią Sławak Rahojsza, pracowity teoretyk literatury i zapobiegliwy szef sekcji tłumaczy Związku Literatów BSRR. Co tu się krygować: to miło, kiedy ktoś zaprasza do siebie. Nazajutrz pognaliśmy w jego aucie traktem wileńskim do Miasoty, na uroczystość odsłonięcia kamienia pamiątkowego ku czci wielkich, podróżujących przez te okolice. Nie bardzo uświadamiałem sobie powagę wydarzenia, brakowało mi dystansu. Co może ofiarować ci droga, ów ziemski szlak, który pokonujesz kilometr po kilometrze, od miasta do miasta, pieszo lub na rowerze, pociągiem czy samochodem? A jednak spodziewasz się interesujących znajomości, wrażeń. Czasami szczęśliwie ześle ci los niezapomniany nastrój, olśnienie, raptowny zachwyty. Przecież oglądasz świat swoimi oczyma, przenikasz go, zapamiętujesz. Droga wzbogaca, odciska się na twym jestestwie; raz mocniej, raz słabiej. O trakcie z Wilna do Mińska mówią liczne zapisy źródłowe; listy, dzienniki, wspomnienia, teksty artystyczne. W szesnastym stuleciu widywano na nim Symona Budnego, który przez pewien okres mieszkał we wsi Chouchława koło Maładeczna (Mołodeczna). Szedł nim

piętnastoletni Taras Szewczenko pośród dworskich sług jaśnie pana Engelharta. W roku 1839 wracał z Wiednia przez Grodno drogą na Mołodeczno i Mińsk Mikołaj Gogol, poznając — jak sam się wyrażał — „żywą geografę Rosji”. Żegnał się tutaj z Ojczyzną Michał Kleofas Ogiński. Dookolne widoki niejedno podpowiadały Syrokomli. Przeszła tędy plejada Młodej Białorusi: Janka Kupała, Jakub Kołas, Ciotka, Maksim Bahdanowicz... A propos Kołasa: rówieśny Kupale i równy mu talentem syn gajowego w dobrach Radziwiłłów, od dzieciństwa widział portret Adama Mickiewicza na reprezentacyjnej ścianie ojcowskiej chaty, a od matki chrzestnej otrzymał w prezencie „Ballady i romanse”... Dał światu poemat epicki „Novaja ziamla” („Nowa ziemia”), którego nigdy nie byłoby bez „Pana Tadeusza” (pierwsze strofy: „Strono ma rodzinna. Jakże cię miłować mam...” — „Moj rodny kut. Jak ty mnie miły...” — automatycznie przywodzą na myśl: „Litwo, ojczyzna moja”).

Dołączyła do nas pani Vala Karatkievich z ciągle nielicznego środowiska kobiet-naukowców, niejako w imieniu swego sławnego męża tudzież Akademii Nauk Białoruskiej SRR. W Miasocie spotkałem się ze starym duhem Hienadziem Kachanouskim, w życiu zawodowym — dyrektorem maładeczeńskiego muzeum i pomysłodawcą imprezy; zainspirował go wiersz Kupały „Jedu ja siońnia u Vilniu” („Dziś do Wilna jadę”). Zjechały znakomitości. Przemawiali. I ja zabrałem głos, polski Białorusin: — Że Białorusinów i Polaków jedna ten sam historyczny los i powstania; że przez wieki mieliśmy jedną macierz, Rzeczpospolitą Obojga Narodów; że obie kultury są siostrzanie sobie bliskie, że białoruskie odrodzenie narodowe wiele zawdzięcza Polakom, ich duchowi niepodległemu, hasłu „Za waszą i naszą wolność”! Że nigdy nie byliśmy zaborcą!

Patronujący całemu przedsięwzięciu przesympatyczny Viaczasław Laszkowicz z komitetu rejonowego Komunistycznej

Partii Białosi — znowu zetknę się z nim niebawem — zaprosił tłumek gości do niedalekiej Vidziuszczyny (Widziwuszczyna), gdzie powstaje muzealny park pamięci narodowej. Druga wojna światowa straszliwie naznaczyła psychikę Białorusinów, co czwarty z nich zginął! Jak nigdzie w Europie władza okupanta nie zdołała na dobre wyjść poza roгатki miały, republika funkcjonowała nadal. Sama przez się nasuwa się przeto analogia do sytuacji Amerykanów w Wietnamie.

Zmotoryzowaną kawalkadą zapadaliśmy się w dolinki; kojarzyło mi się to z podróżą do moich Krynek albo Knuszynian. Wkrótce obejrzelśmy imponujących rozmiarów rzeźby w kłodach; dłubali w nich plastycy z Baranavicz (Baranowicz); najbardziej udała im się postać dziecka-sieroty z czasów wojny oraz Światowid, trój symbol genezy narodu białoruskiego: srogie oblicza wojów — krywickiego, drehowickiego, radymickiego. Chłopycy byli przejęci, miodzieńczo narwani, chropowaci szczerością. Największym malarzem białoruskim jest dla nich Marc Chagall, w przeszłości komisarz bolszewicki w Wiciebsku (Witebsku) i współzałożyciel zrębów radzieckiego państwa Białorusinów, premierował mu Żmicier Żyłunowicz, z zawodu garbarz, a z powołania pisarz, kryjący się pod pseudonimem: Ciszka Hartny. Nie ma takiego domu, który doświadcza samych radości; zresztą same radości bez smutku są niemożliwe. Szacunek dla zmarłych uszlachetnia nasze uczucia, jest niezbędny właśnie nam, żywym. Zdumiewające to, jak mimo wszystko lekceważymy wysiłki zmierzające do pielęgnowania pamięci zbiorowej.

Uprosiłem Słauka Rahojszę, by zawiózł nas — o czym marzyłem — do Viazynki, zaścianka, do owej półlegendarnej chaty, pod której dachem przyszedł na świat — w 1882 roku — geniusz słowa naszego, Janka Kupała. Trzydzieści osiem kilometrów na północny zachód od Mińska. Gdy znaleźliśmy się w rozslonecznionej zagrodzie, wydało mi się, iż nieraz już

bywałem w tej miejscinie! Skutek to nie tyle zadomowienia się w mojej wyobraźni zdjęcia samej sadyby, reprodukowanego także w monografiach i encyklopediach ile uderzającego podobieństwa okola... do Barsukoviny, gniazda rodowego mojej matuli, a dla mnie ojczyzny uczciwego żywota. Jestem roztrzęsiony, nie potrafię nic wpisać do podanej mi (przez serdeczną gospodynię muzealnego obiektu) książki pamiątkowej, choć zostałem sam pod oknem na sad i ruczaj. Są mężczyźni, których żenują własne łzy; ja nie należę do nich, mam po temu swoje racje nieprzystawalne do pozerskich — tak miemam — stereotypów. Do dziś wyrzucam sobie, iż nie zachowałem się w Viazynce, jak przystało na duchowego spadkobiercę Kupały; małodusznie wstydząc się otaczającego mnie towarzystwa, nie ucałowałem progu świętego dla mych uczuć miejsca, i tego sobie nie wybaczę.

Prawdziwe imię i nazwisko Kupały — powtórzę — brzmi: Jan Łucewicz. Debiutował po polsku. Wychowywał się na poezji Słowackiego, znał na pamięć Wyspiańskiego („Wesele” — „Miałeś, chamie, złoty róg...”), nieprzytomnie fascynował się — wzorem wielu — Przybyszewskim („Śnieg”). Obficie czerpał ze świetnej domowej biblioteki Czechowiczów na Biesiadzi; tak, tych samych; którzy dali Polsce wybitnego poetę. Do rąk młodzieńczo chłonnego Janki dociera „Dudka białoruskaja” Franciszka Bałuszevicza, vel Macieja Buraczka, alias Symona Reuki z-pał Barysava — nie ma tu żadnego przejęzyczenia — dozgonnego druha Orzeszkowej, która to łożyła na druk jego książek wespół z Janem Karłowiczem (między innymi w krakowskiej oficynie Anczyca), a następnie ich przemyt przez kordon galicyjski. Ukazał się tam po białorusku „Janko Muzykant” w czasach, w których przecież za samo pisanie w tym języku lub za sprzyjanie takowemu przedsięwzięciu nawet w przypadku treści prorządowych — jak już wiemy — nieodwołalnie zsyłano na Wyspy Sołowieckie lub nad Lenę; imię krainy nad



Niemnem i Dźwiną wymazano z rejestrów, w tym i geograficznych, na mocy ukazu imperatora Mikołaja I.

Udałiśmy się do kryniczki ukrytej niczym symbol w zwalisku kamieni pod lipami rozłożystymi, w dawnym siedlisku Łucewiczów; obmyliśmy w niej twarze, jak obyczaj pątniczy nakazuje.

W tak cudownej okolicy musiał urodzić się poeta — przerwała milczenie Vala.

Zapamiętałem te słowa, ale jakoś tak mimochodem, bez większego wzruszenia. I dopiero po latach wypłynęły mi na powierzchnię uczuć i myśli, dokładnie dzisiaj, kiedy to po raz nie wiem który skończyłem cyzelowanie tego monologu, „Białorusi, Białorusi”, ku pozyskaniu serc polskich, by sparafrazować Sienkiewicza. A była po temu nie byle jaka okazja. Mój miński przyjaciel nadesłał mi elegancki albumo niezwykłej zawartości:

wiersz Janki Kupały „A chto tam idzie?” w przekładach na języki świata! Policzyłem — jest ich osiemdziesiąt dwa, między innymi tak egzotyczne jak japoński, indonezyjski, hindu czy walijski (na polski przełożył go K. A. Jaworski: „A kto tam idzie?”, na kaszubski natomiast Alojzy Nagiel). W Anglii utwór ten tłumaczono aż sześć razy, na Węgrzech i w Rosji po cztery, kilka razy — we Włoszech, Niemczech i Czechach. Louis Aragon uważał ten wiersz za punkt zwrotny w literaturze białoruskiej, mimo że był to jeden z pierwszych wierszy wieszczka Kupały! Lublinianin Ludonir Rogowski (Rahouski) napisał do niego muzykę, „Nasza Niva” zrobiła z tego ulotkę i tak powstał nasz pierwszy hymn (kiedy śpiewała go sala na zakończenie jakiejś legalnej imprezy białoruskiej, salutował nawet wąsaty stupajka). O Białorusi ty moja, im bardziej zgłębiam Twe dzieje, tym lepiej rozumiem świat ten nieszczęsny i zagubionego w nim człowieka!?!...

Ognisty dysk słońca staczał się do lasu za ukwieconymi łąkami i pora była wracać nam na stołeczną autostradę, pora na

nocne rodaków rozmowy. Wieczorem do Rahojszów przyszedł Wałodźka Karatkievicz z Valą i Cześ (Viaczasław) Adamczyk, u którego — pamiętam — w siedemdziesiątym siódmym spędziłem niespokojną noc w otoczeniu niesamowitych obrazów jego syna, ni stąd, ni zowąd artysty-malarza. Adamczykowi cknę się za Mławą i jej okolicami, gdzie jego ojciec walczył w dywizji kresowej, blokującej marsz kolumn hitlerowskich nacierających od północy na wrześniową Warszawę. Ukończywszy „Czużuju baćkauszczyņu”, powieść z życia Białorusinów w Polsce, za linią Curzona, przemyśliwa nad jej kontynuacją, dylogią zapewne... Karatkievicz zaś pogrążył się całkowicie w dziejach ojczyzny — Litwy i Powstania Styczniowego, zatem w nieznanym powszechniej ruchach tektonicznych przebijającej się na powierzchnię uspiionych dusz krywickich (to z ksiąg Jana Czeczota) nowoczesnej świadomości, narodowej a w konsekwencji — tęsknoty do własnego bytu niezawisłego.

Tenże Uładzimir Karatkievicz dożył zaledwie pięćdziesięciu czterech lat, a wielki Bykau żegnał go słowami: „Białouś już nigdy nie będzie mieć takiego artysty, a jej naród — takiego syna”.

Feliks Fornalczyk, historyk literatury i krytyk z Poznania — to w tym mieście wydano „Smyk białauski” Bahuszevicza w w 1894 roku — bezsilnie ubolewa w swych wystąpieniach w prasie tygodniowej, że frapująca twórczość Karatkievicza jest właściwie Polakom nie znana. Feliks, obrotna indywidualność śląskiego chowu, użalał się któregoś lata — popijaliśmy winko greckie w kawiarence na zamku biskupim w Lidzbarku Warmińskim — że nie jest w stanie posunąć sprawy dalej. (Urodzonym Warmiakiem był Michał Ciecierski, ów dramatopisarz polsko-białouski!)

Widzę w tym jakiś pogłos, w PRL-u i w nas samych, sojuszy egzotycznych, że odwołam się do żargonu politycznego, zapatrzenia w oddalę, chodzenia po obłokach, dalekowidztwa ponad głowami najbliższych... Wówczas brakowało mi zdolności

myślenia kategoriami porównawczymi, nie przetwarzałem należycie wprost rzucającej się w oczy charakterystycznej cechy białoruskiego procesu literackiego i jego dzisiejszych rezultatów — w zażęciu wpa nań specyfika odbiorców tej literatury, włościan, potomków poddanych pańszczyźnianych i schłopiałej szlachty zagonowej. To oni zabrali się do wznoszenia niebosiężnego ideowego gmachu ojcowizny, której na imię — Białoruś. Właśnie stąd wywodzi się ów fatalny dla nas i Polaków automatyzm pojęciowy: Białorusin — chłop, Białorusin...

Najnowszy bestseller Wałodźki „Czorny zamak Alszanski” („Ciemne zamczysko olszańskie”), cykany w odcinkach, podbija na rynku międzynarodowym cenę jednemu z „toustych czasopisau”, a Czesi ponawiają propozycję umowy. Współpraca między oficynami Polski i Białorusi to nadal leitmotiv marzycielskich konwentykli. Zetknąłem się z nimi w wydawnictwie „Mastackaja Litaratura” („Literatura Piękna”), firmie edytorskiej z prerogatywami monopolisty, mieszczącej się na Parkawaj Mahistrali o przytłaczającej architekturze city, tuż za czarcim młynem tumultu przecznicy metropolii, za grzmiącym wiaduktem, po którym w okamgnieniu przemykają pociągi elektryczne trakcji obwodowej. Nawiązano do rozmów z „Pojezierzem”, do poczynionych przed paroma laty prób wzajemnej adoracji.

Co miałem na to odpowiedzieć? Żeby dali sobie spokój? Upchawszy jako tako swoje prace, z ciężkim sercem dopadłem taxi i, zabierając po drodze Tanie, kazałem zawieźć się na Dworzec Centralny, gdzie wydreptywał minuty oczekiwania umówiony z nami Hienadźnik Kachanouski; w biegu nieomal powskakiwałem do „elektryczki” relacji Mińsk-Maładeczna. W Zaslauju (Zasławiu) zrobiliśmy przerwę w podróży, by wyjść na miasto, z którym wiąże się tysiącletnie dole i niedole Białorusi. Jak wieść gminna niesie, spoczywają tu gdzieś prochy legendarnej Rahnedy, gospodaryni Ziemi Połackiej, niezależnego księstwa,

które objęło późniejszą Wielkobiałoń i skutecznie opierało się zakusom Rusi Kijowskiej, owego przedwcześnie skleconego przez Normanów imperium — jak to dosadnie określił Karol Marks w „Rewelacjach...” Niczym ksiąstewko Polan, z którego urosła Polonia — Polska.

Na wałach obronnych, dorównujących stromiznom morenowych wzniesień i w najlepsze kpiących sobie z czasu, gardłowała o czymś trójka bokobrodych młodzianów. Najbardziej rezolutny z nich wnet dopytał się, że jesteśmy z Białegostoku i zaraz wymienił nam swego wujka ze średniejskiej Częstochowskiej. — Niestety nie znamy go. — Zaslau uważany jest za niezmiernie ważny punkt tzw. złotej pętli, składającej się z zabytków zamierzchłej przeszłości. Valery Dranczuk, dziennikarz i lokalny patriota, wręczył mi swój miniesej, wydrukowany w „Żviaździe”, piśmie o profilu „Trybuny Ludu”. Wyczytałem zeń, że rząd republiki przewiduje kompleksową restaurację tutejszej Starówki (za grube miliony, oczywiście).

A u państwa Kachanouskich w Maładecznie, jak na naszym białostockim Antoniuku Fabrycznym lubo Marczuku, gwizdzą cienkością zaułki z nowobogackimi willami w sadkach. Sam teść Hienadzika jako żywo przypomina mojego, mieszanka kordialności z apodyktycznością. Skupiliśmy się w rozmowie na temacie widocznie najmilszym nam obu, na Branisławie Taraszkieviczu. — Nie wolno o nim zapominać — konkludował tonem nie znoszącym sprzeciwu — w żadnym wypadku, bowiem on — to my!

Stary zna monograficzną „Rzecz o Bronisławie Taraszkieviczu” Aleksandry Bergman z Warszawy, ową książkę-hołd złożony białoruskiemu mężowi stanu, a zarazem współanimatorowi rzeczywistości politycznej Drugiej Rzeczypospolitej.

Ułożyliśmy się do snu ledwo po północy. Z ciemnego okna pokoju gościnnego widać było blade, gasnące gwiazdy, dolaty-

wało głucho spadanie jabłek z gałęzi za ścianą i leniwe poszczekiwanie koło rozświetlonego ganku w sąsiedztwie; tam wciąż jeszcze biesiadowano.

Ja, kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy, czuję niewymowny smutek, spływający na mnie z kosmosu; gubimy się w niezmierności, łapiąc to, co wpada w rękę, jak topielcy; doznajemy płasawicy emocji, stawiając siebie w nie chcianych sytuacjach. Przecież jesteśmy dziełem naszych przodków i nikt nie wie, jakie to geny zadecydowały o naszej osobowości; może nie geny ojca, lecz któregoś z pradziadków, który słuchał płomiennej przemowy Budnego, gnał na armaty wśród kosynierów Kościuszki albo czałował w wedecie kalinouszczyków, mając dość jaśnie pana... Wyobraziłem sobie, iż jestem zachodniobiałoruskim konspiratorem, członkiem Hromady, wyposażonym w instrukcje od samego Taraszkiewicza i przebiegłym kluczącym przed granatową policją, szpiclami z defensywy. Czyżby to był mój kod genetyczny?

Ranitko zaś pociągnęło mnie nad Narocz, w buntownicze przed wojną włości, gdzie w trzydziestym piątym doszło do protestacyjnego wybuchu rybaków, w ojczyste strony poezji Maksima Tanka, w tchnienie odwiecznego błękitu rozlewisk, w aromaty borów jantamych; nad najczystsze ponoć jezioro w Europie, na niewypowiedziane malownicze Pojezierze Białoruskie. Tłumy plażujących; tranzystory brzęczą muzyką rozrywkową nadawaną z Warszawy, choć nigdzie wokół nie słychać nawet cienia intonacji mazowieckiej czy sandomierskiej. Podnosi się lekki sztorm, dmie przegrzany powietrzem; na płycznach ciepło niczym w wannie. Dróżką przez młodniak podążamy za Kachanouskim do wierzei półprywatnego muzeum przyrodniczego w leśniczówce; wcale ciekawa miniatura białowieskiego. Twór fanatyka ochrony środowiska naturalnego; jakże pożądana to pasja w dobie powszechnego zagrożenia podstaw istnienia biologicznego, wszechogamiającego, samo-

bójczego skażenia globu cywilizacją. Tutaj, na razie, nie stanowi to problemu. I nikt bodaj nie strzeże owej ekspozycji, nie trzeba płacić za jej kontemplowanie; byleby nie kraść (gospodarz wyszedł na obchód; szczerza dusza, mądra w swej bezwarunkowej życzliwości).

Znalazłem się w sercu byłej Zachodniej Białorusi, w jej epicentrum politycznym; wydała mnogie a bitne kadry dla, niepodległościowej w końcu, Białoruskiej Socjalistycznej Hromady w czasach caratu, Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady w okresie międzywojennym. Ich zdławienie wymagało udziału samego sztabu generalnego, natomiast tamtejszych rekrutów władze zmuszone były rozrzucić po pułkach stacjonujących nad zachodnią granicą. Taktykę przerzucania świeżo wyrastającej narodowości na inne tereny stosowano także wobec kleu katolickiego (sławetne wygnanie „w Polskę” ojców Marianów z Druł!). Wojewoda białostocki wściekał się i pienił, deklarując gotowość przykładowego wytzebienia białoruskości na podległym mu terenie, a nie były to przecież najistotniejsze momenty degrengolady zasad państwa sanacyjnego; niebezpieczeństwo kontynuacji takiej polityki przewidział już Konstanty Srokowski w swym słynnym raporcie „Sprawy narodowościowe na Kresach Wschodnich”, opracowanym na zlecenie, szkoda że przejściowego, gabinetu Władysława Sikorskiego. Prezes Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich F. Goetel, otwierając wieczór autorski Maksima Tanka w dniu 3 lipca 1939 roku w Warszawie, mówił z niejakim zakłopotaniem, iż nic nie uczyniono dla zbliżenia (na niwie literackiej) z Białorusinami, co winno stać się pierwszą potrzebą...

Niemal każdy ma tutaj krewnego w Polsce. Z pokrętej uliczki Miadziołu dopędza mnie chóralne „Sto lat”; co wcale jednak nie oznacza, iż zjechał tu do kogoś swojak z PRL. Jest to

raczej dziczejący owoc dawnych obopólnych wpływów, niczym ów dostrzeżony przez Cata-Mackiewicza „wiatr białoruski” w słownictwie Mickiewicza. Granice ustanawiają ludzie.

Wędrując po miadziolskich kocich łbach mam wrażenie, że zaraz spotkam Bohdana Dzitkę z Olsztyna i usłyszę jego przykominkowe opowieści o niezrepatniowanych swojakach z podgrodzińskiej wsi. Mam do Bohdana pewną pretensję o to, że poświęca on swoje życie dziennikarskiej doraźności, będąc niezłym artystą słowa. Wydaje mu się, osadnikowi na Ziemiach Odzyskanych, że zgłębi problematykę, brzydko zwaną autochtoniczną, której naturalnie nie jest w stanie osiąść, jest ona bowiem całkowicie sprzeczna z jego doświadczeniem życiowym. Nie wolno zdradzać siebie; nade wszystko winni jesteśmy wiemość dzieciństwu, swoim szczenięcym latom. Erwin Kruk, pogrobowiec i ostatni dziedzic skopanego w szapaninie dziejów mazurskiego plemienia, niechybnie przychyli się do moich racji. „Ktoś ty taki, i co z ciebie? Bez swej ziemi, śpiewu w niebie!” — wykrzykiwał, co prawda z innego powodu, przed rokiem Siarhiej Zakoińnikau, poeta zaangażowany i zapaleniec młodoliteracki. atakując rodzinnych zwolenników łatwych wyjść.

Do Maładeczna wracaliśmy w deszcz. Rozpadało się i Viaczasław Laszkowicz, rejonowy sekretarz partii, a z usposobienia dobrotliwy pedagog, zmartwił się nie na żarty, że to miasto w zieleni będzie musiał pokazywać nam z okienek łazika; dobrnęliśmy — hen — do Nasilawa. połykanego przez przemysł niczym Pieczurki przez molołch Białegostoku, podziwialiśmy wyłaniające się tu i tam nietypowe kształty architektury kombinatów przemysłowych, zbudowanych w kooperacji z firmami zachodnimi. Być może z tego właśnie powodu całkiem inaczej spojrzeliśmy na kamieniczki w rynku, projekcję schyłku Wielkiego Księstwa Litewskiego i czasów filomatów. Gród ten niebawem zacznie gotować się do obchodów sześćsetlecia.

Mieliśmy szczęście poznać jeszcze jedną mądrą i cichą rodzinę, Światlanę i Michasia Czamiauskich (uderzająco podobnych w swej dobroci do Ziny i Hienadzia Kachanouskich). Przebywali akurat u teściów, w zamiadziolskich Dziahilach. Ona — lekarka, on — archeolog pisujący eseje o prehistorii. To niezwywalne bogactwo — mieć za przyjaciół ludzi szlachetnych!

Przeżycia gonily przeżycia; taka wizyta jest dlatego męcząca, że właściwie nie zostawia chooby godziny na bezczynność. Nasze powroty z głębokiego interionu do Mińska odbywały się za każdym razem inną arterią; tyle ich jest w tym pępku kraju. Zatracałem poczucie kierunku w tej rozbuchanej, półtoramilionowej stolicy — przed półwieczem wielkości Białegostoku — wchłaniającej w siebie kolejne setki tysięcy z arealu niewiele ponad dziesięciomilionowego państwa związkowego. Rozwija się w tempie wprost niebywałym; roboty budowlane trwają okrągłą dobę!

Skwapliwie skorzystaliśmy z propozycji zwiedzenia Muzeum Dawnej Kultury Białoruskiej, nowo organizowanej placówki Akademii Nauk Białorusi. Bezcenne ikony i drewniane rzeźby świętych, anonimowe malowidła i cudeńka sztuki zdobniczej; ocalałe dzięki zmuđnym zabiegom konserwatorskim pasy szuckie ze złotymi nićmi i tkaniny bezimiennych mistrzyń znad Niemna, Dźwiny i Prypeci; unikalne odłamki przepysznej niegdyś kultury, wypracowanej przez rody „złotyh rączek” w dobrach Radziwiłłów, Sanguszków, Sapiehów, Paców... Wschodnie kresy Zachodu. Ileż tego widzi się również w muzeach Warszawy, Krakowa, Lublina, Malborka, Wrocławia... Świadcstwa kulturalnej przeszłości także i Polski. Owo polsko-białoruskie austro-węgrowsanie zaczęło ulegać zerwaniu od roku 1696, czyli od momentu podjęcia przez wspomnianą konfederację warszawską uchwały inicjującej wprowadzanie języka polskiego w miejsce starobiałoruskiego, na razie do praktyki głównych sądów trybunalskich na Litwie. W sto lat potem naczelnik



Kościusko — sam unita z pochodzenia — zdąży sporo zdziałać dla scementowania pęknięć na fundamencie gmachu wspólnej z Białorusinami i Litwinami ojcowizny, lecz okaże się, że już poniewczasie.

Zorzę poranną spotykałem na Ziałonym Łuhu, w jednej z bardziej udanych dzielnic Mińska, niewąsko skołowany po młodzieńczo całonocnej dyspacie u dwóch Alesiów, Trajanouskiego i Żuka; był to nie pobity mój rekord w gadaniu, a Tani — w narzeczeńsko ciepłym znoszeniu tegoż. Ci dwaj pisarze to dwie nie tyle przeciwne, co różne generacje; pierwszy — z heroiczną przeszłością niczym polscy Kolumbowie, drugi natomiast to pokolenie wstępujące. Starszy z Alesiów, wręcz po pensjonarsku rozkochany w języku polskim, przekłada na białoruski wieszczów Łużyczan i parnasistów kaszubskich, chwytą góralszczyznę. Młodszemu wkoło szumi Białoruś: wysokopienny entuzjazm, krzepnący naród, młody organizm państwowy, wzrastająca literatura, nie kręcąca się za swoim ogonem, bardzo otwarta na świat... Z trzecim Alesiem, Pietraszkiewiczem, obcowałem poprzez „Tryvohe” („Trwoę”) na proszonym spektaklu publicystycznym (przerastającym niewątpliwie „trój-czworokaty” Redlińskiego). Aliści ma on za sobą dokonanie niebłahę, sztukę pełnospektaklową, opartą na biografii i dorobku Franciszka Skaryny, kupieckiego syna z Połacka i ojca Renesansu białoruskiego, postaci znanej w średniowiecznej Europie, bibliisty narodowego i wydawcy ksiąg „ku pożytkowi pospólnemu”. To ten Skaryna dał później początek drukarstwu w carstwie moskiewskim i na hetmańskiej Ukrainie, jego to uczniowie, gnani przez kontreformację wyjaławiającą Białą Ruś, chronili się pod opiekuńcze skrzydła Rurykowiczów i Romanowów. O Białorusi ty moja, wciąż czekasz na nietuzinkową syntezę swych dziejów! Teren to przebogaty w oszałamiające odkrycia, dokonywane pośród ledwo ruszonych pokładów

przeszłości, a i naturalne laboratorium dla badaczy zjawisk asymilacyjnych w owej Szwajcarii słowiańskiej.

Koleżeńskie spotkanko w „Maładości” („Młodości”), takim naszym „Nowym Wyrazie”, lecz ambitniejszym i z blisko dwudziestotysięcznym nakładem, który jak na rynek czytelniczy istniejący pośród siedmiu milionów rdzennych Białorusinów stanowi nakład niemalże masowy. Przetwarzam w myślach to, co usłyszałem, a dzięki czemu dobitnie zdałem sobie sprawę z tego, co poprzednio było raczej tworem intuicji: etos przedwojennej Zachodniej Białorusi coraz wyraziściej nasycza substancję kulturalną republiki. W atmosferze wyzwolenia narodowego, zwieńczonego odrębnością polityczną BSRR, wynurzają się talenty, które bezwzględnie dorównują wielkości Maksima Tanka czy Janki Bryła (wyposażone przez naturę dodatkowo i w to, co w dobie obecnej stało się niekiedy walorem pierwszorzędnym — w przebojowość). Uładzimir Damaszevicz, redaktor mojego tomu „Siarebrany jazdok” („Srebrny jeździec”), zrewanżował mi się za „Ścianę” księgą swojej prozy wybranej; rozpocząłem od wzruszającego „Abudżeńnia” („Przebudzenia”). Czytając przednoworoczną „Maładość” rozsmakowałem się w „Czatyroch darohach” („Czterech drogach”), epice Jauhiena Vierabja (Mikłaszeuskiego, jednego z nas, pochodzi on z Łysek koło Choroszcy, tuż za Bacieczkami, dzielnicą Białegostoku). I oto mam już pomysł referatu „Obraz Białostoczczyzny w radzieckiej literaturze białoruskiej” na drugą sesję literacko-naukową „Most przez wieki”; sesję tę organizuje Białostocki Klub ZLP, zainteresowany dziejami związków polsko-białoruskich.

Na elektryzującą wiadomość, że Kupała bywał w Białymstoku, trafiłem czytając podpis pod jakimś zdjęciem w muzeum Pieśniara. Chętnie kontemplowałbym do samego zmierzchu nad rękopisem w gablotce, przed panoramką gabinetu, gdzie On pracował — we śnie, w bólu tworzenia. Wajdelota z czasów, w których rosyjscy policjanci dosługiwali się orderów na

biedzie i nieszczęściu apostołów tego ludu, dotkniętego epidemią samoponizenia. Problem artystyczny: Kupala a „Dziady” Mickiewicza. W czerwcu siedemdziesiątego siódmego, kładąc skromniutki goździk u stóp Jego pomnika, wybuchnąłem nagłym płaczem, zaskakującym mnie, wariackim zgoła. Najbardziej ludzcy z ludzi, nie wiadomo dlaczego, odchodzą od nas tragicznie. Czy jest to prawidłowość? Czyżby dramat idei warunkował istnienie sztuki, programując tym samym indywidualny los jej twórców? A więc pisze się całym swoim życiem! W literaturze liczą się tylko własne drogi — uczył przemądry Ivan Mieleż, autor epepei „Paleskaja chronika” („Kronika poleska”), którego opinie na temat moich utworów stały się dla mnie drogowskazem — Literatura jest bezlitosna!... Nikomu nie udało się i nie uda jej omamić!... Hochszaplarskie twory — do piachu!

Miewałem potyczki ze szwagrem, Tolikiem Bokavem, solistą Opery Białoruskiej i niezrównanym gawędziarzem, facetem niewiarygodnie, acz chaotycznie odczytanym i — jak to artysta — o niemożliwie rozregulowanym zegarze biologicznym. Żłowiąc ileś tam kaw, nieraz do białego rana, wodziliśmy się za łby: Czy literatura ma przyszłość?; „Sobowtór” Fiodora Dostojewskiego a człowiek w samopoznaniu; Poznanie zewnętrzne i wewnętrzne; Manipulowanie społeczeństwem za pośrednictwem zasad etycznych; Polityka a sztuki piękne; Fakt jako ułuda prawdy; Zagadnienie cwaniactwa w karierze artystycznej; Narodotwórcza rola mitu; Szansę jednostki na uniknięcie zamulenia w powszednim kieracie; Kultura jest aktywnością niekonieczną, powstaje w czasie pozaprodukcyjnym; Zmęczenie psychiczne jako filtr dla zdarzeń o znaczeniu pierwszorzędym; Tyławyja padziei, czyli jak wyłuskiwać to, co możemy sobie darować... Tolik najlepiej zna Augustów, gdzie wypoczywał u państwa Wasilewskich. Skoczył do Warszawy. Powąchał Zachodu, zadziwiony małomiasteczkowym bezludziem wieczornej Brukseli; to nie dla jego stepowej natury, przeflancowanej tu z południa

Rosji — mdlące zapachy, obce obyczaje, chłodne widzenie bytu, ubóstwienie pieniądza.

Różnojęzyczna biblioteka domowa Bokavów, choć bogata, ale typowa dla rodzin inteligenckich, jest w widocznym stopniu biblioteką polską. Żona Rena — moja siostrzyna cioteczna, surowy akademicki nauczyciel muzyki — swobodnie czyta w tym języku, a nawet mówi nim z pewną swadą; Białystok pozostał w jej wspomnieniach miastem młodości (mieszkała na Ciepłej). Mieszkiwała też w moich Krynkach, u Siamionawowych na Sokólskiej; o mało co nie wyszła tam za mąż... Było to dawno i nieprawda, odrzekałaby z ironią. Z nie skrywaną niechęcią wdała się ze mną w dyskusję o tezie praskiego profesora Vaclava Židlicky'ego, który twierdzi, iż procesy literackie na Białorusi zwały się z kontekstem ogólnoeuropejskim na przełomie szóstego i siódmego dziesięcioleci dwudziestego wieku. Według niej jest to przerost teoretyzowania nad stanem faktycznym, przykład pochopności w wyciąganiu wniosków oraz niedostatecznej wiedzy na temat analizowanego materiału.

Kiedy człowiek znajdzie się w miejscowości szczytającej się urodzeniem pisarza czy polityka, zastanawia się później, czego właściwie oczekiwał. Duma jakoś tak wstydliwie, rozczarowany do znudzenia zwykłym, jak wszędzie, krajobrazem i szarzyzną otoczenia, przeciętnością mieszkańców... Poetyka sacrum jest podobna, żywi się ideą i odległościami; jej ludyczną realizacją są wycieczki. Takie refleksje ogarniały mnie podczas zwiedzania z Tanią i Rałojszą spalonego w czasie wojny majątku Dzierżyńskich. Chodzi mi o to, że legenda Żelaznego Feliksa, która tylu intryguje lub przeraża, nie poczęła się w Dżarżynawie. I niewiele wspólnego miał z nią jego rodzony brat, Kazimierz, gospodarz majątku, inżynier z dyplomem politechniki austriackiej, który wraz z żoną Łucją podczas okupacji hitlerowskiej zginął męczeńską śmiercią za współpracę z partyzantką białoruską i polską.

Odsapnęliśmy nad sypkim zakolem Usy, za zdziczałym pastwiskiem z nadal zauważalnymi wypukłościami, zapewne po grządkach dworskiego ogrodu warzywnego. Na pagórze naskubaliśmy nieśmiertelnikowych kapustek; wybieraliśmy się na grób Vincuka Dunina-Marcinkiewicza, vel Navuma Pryhavoŭki, rodzica piśmiennictwa w kraju Białorusów i twórcy — drugiego po niemieckim — przekładu „Pana Tadeusza” (dokonanego prawdopodobnie za życia Mickiewicza). Był to zarazem założyciel teatru białoruskiego, konspirator, druh Stanisława Moniuszki, z którym, jak wiemy, tworzył pospołu pierwszą operę białoruską „Sielankę”, wystawianą w Mińsku i pomniejszych ośrodkach; zajadle inwigilowany przez policję polityczną, dożywno pozbawiony prawa do swobodnego poruszania się po imperium rosyjskim. Spoczywa na przydrożnym cmentarzyku w Lucince, za przepięknym kościółkiem z kamienia, przed rozpadającym się w płatawisku zarośli grobowcem jakiegoś wielmoży, jakże słusznie puszczonego w niepamięć... Słavak zawiadomił mnie ostatnio, że tamte kapustki, sadzone ręką Tani na wzór omamentu wziętego z flagi BSRR, ładnie się przyjęły. Czyżby to symbol?

Niezlomność Dunina-Marcinkiewicza, jego iście kapłańskie powołanie literackie, przymioty, które wspaniale mieszcza się w pojęciu obrony własnego domu, uodporniły go na napady szowinistów rosyjskich i polskich, skłonnych utopić tego krnąbrnego obrońcę mniejszości w przysłowiowej łyżce wody. Nie zachłysnął się. Za sprawą Syrokomli oraz Adama Pługa przedstyczniowa „Gazeta Warszawska” błyskotliwie przeciwstawiła się nienawistnikom muzy „chamów”, owym pieczeniarzom z hrabiowskich lub kazionnych pałaców. Natchniona Polska stanęła murem w obronie ohydnie deptanego „Ja” Białorusina, opędzając się od politykierskiej tłuszczy. Józef Ozga-Michalski, też bywały w tych stronach, powie w pierwszopaździernikowym „Tu i Teraz”: „(...) ujrzałem tam

wzniesiony pomnik ze składek dzieci szkolnych dla poety polsko-białoruskiego Dunin-Marcinkiewicza, zadałem sobie pytanie, czy my nawzajem wiemy wszystko, co trzeba, o sobie? Czy przez dziwną zezowatość żrenicy nie zajmujemy się więcej obrazem Luksemburga niż bratniej Białorusi?"

Za daleko stąd w Ihumeńskie, do ostoi rodowej Aleksandra Jelskiego (tłumaczył „Pana Tadeusza” na białoruski i trochę ogłosił był tego we Lwowie). Jego szkic „Adam Mickiewicz na Białorusi”, to nic że aż sprzed dziewięćdziesięciu lat, do dziś nie utracił obiektywnej wartości. Przekładał niestrudzenie, między innymi „Marię” Malczewskiego. Opisał kraj mu miły, gospodarkę i kulturę. Zaklinał — mimo że czuł się Polakiem! — pokochajcież całym sercem niesprawiedliwie porzuconą, świętą mowę białoruską!

Snując dywagacje o domniemanych kolejach żywota Marcinkiewiczów, Słavak zasypywał mnie szczegółami, napomykając często o sąsiednim miasteczku Rakau (Raków), swoim gnieździe, którego nie potrafi zapomnieć. Z potrzeby ciągłości? Rakauska osada nie uległa zasadniczej metamorfozie od czasów, kiedy przejeżdżał przez nią ówże Pryhavoika. W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej — zasobna domena Sanguszków, z tradycją renesansowej oficyny drukarskiej, z wykształconym mieszczaństwem.

Wstąpiliśmy do Rańojszów, gościnnych rodziców Słauka, który od czasu do czasu odwiedza wypełniony biblioteką pokój w domu matki i ojca — wiejską filię swojej pracowni literackiej, cichą przystań po zgiełku wykładów uniwersyteckich, jakie prowadzi ten młodziutki docent z nudą brodą, ożeniony, jak i ja, z Tanią, Iwowianką, Kozrzycką.

W ryneczku — domostwo Januszkiewiczów. Nie przeczuwam olśnienia, którego doznam za chwilę. Oto oczom moim ukaże się... prywatny ołtarz ku czci kultury białoruskiej! Wita nas starszy z braci, Feliks Januszkiewicz, narodowiec w gorącej

wodzie kąpany i nawiedzony artysta-plastyk, a także archeolog-amator i kolekcjoner staroci. Swój salon upiększył na wzór ewangelii dwunastoma malowidłami sufitowymi — widniały na nich podobizny apostołów Białej Rusi: Franciszka Skaryny, Symona Budnego, Vincuka Dunina-Marcinkiewicza, Franciszka Bahuszevicza, Kastusia Kalinouskiego, Janki Kupaty, Alaizy Paszkiewicz... Komnatę obok wybił oryginalną tkaniną ludową z czasów naszych dziadków; regały wypełnił ceramiką wykopaliskową, wyrobami zapomnianego zdobnictwa użytkowego. Na podwórzu — rozkopalisko: odkrywka siedemnastowiecznej kaflami? Na werandzie, własnoręcznie stylizowanej na średniowieczną karczmę, degustowaliśmy miody i zapamiętałe rozprawialiśmy, przelatując mezolit i białoruskojęzyczne Statuty Litewskie, ów pionierski w skali kontynentu kodeks praw, rozważając politykę dynastyczną Jagiellonów, sięgającą od Estonii po Bułgarię, przewagę instynktu klasowego nad narodowościowym wśród wieśniaków etc. Dostaję w prezencie katalog wystawy obrazów — brał w niej udział Feliks — zorganizowanej w mińskiej galerii z okazji setnej rocznicy przyjścia na świat buntowniczej Paszkiewiczzanki-Ciotki, poetessy Młodej Białorusi. Mój Boże, jej rodzona siostra dożyła sędziwego wieku jako repatriantka (sic!) na wsi pod Łodzią i była niezwykle zaskoczona, gdy ze cztery lata temu opowiedziano statuszecze o kanonicznej wielkości kochanej Loizki. Po chłopsku, praktycznie, ceniła w niej niezłą fclczerkę, współczującą biedakom, której zmarło się na suchoty w kwiecie kobiecości. Martwili się nią nasz tato, oj martwili; miała na pieńku z władzą, dała nogę do Krakowa w Austrii, poszła w studenty, poniosło ją aż do jakiejś Italii, dobrze wydała się za inżyniera, co był z Litwinów, ale żeby pisarzowała?... Taki to los twórcy w podziemiu, który w dodatku winien się obawiać śmierci skrytobójczej, jaką w każdej chwili zadać mu mogą ludzie zwalczanego przezeń reżimu.

Srebrne gody u Maldzisów, podsumowujące pogwarki przy weselnie zastawionym stole, bo i nam, Tani i mnie, już do tej rocznicy blisko...

O północy opuszczamy Białoruś.

Adam Maldzis zrehabilitował osiemnaste stulecie, uważane przecież za stracone dla kultury białoruskiej wskutek rozlania się polszczyzny po Inflanty i aż na przedpola Smoleńszczyzny. Tymczasem było cokolwiek inaczej, jakby się wyraził Stefan Kieniewicz.

Czesław Jeśmian, polski historyk emigracyjny, ujął to następująco: „Chrześcijaństwo, idące z Konstantynopola, zapuściło tam korzenie już w X wieku, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat przed chrztem Mieszka I i tzw. zwycięstwem pod Cedynią. (...) Politycznie ziemie północnonoruskie, zwane potocznie Białą Rusią, tworzyły 4/5 Wielkiego Księstwa Litewskiego. Żmudź i Litwa były północno-zachodnim jego pograniczem (...) Jako państwo Wielkie Księstwo przejęło schedę Białej Rusi, znacznie wyższej formacji cywilizacyjnej w tamtych czasach aniżeli prymitywne organizmy szczepowe Litwy właściwej. Litwa przejęła też „Pogoń” — rycerza szarżującego z uniesionym mieczem — ruski czy białoruski znak plemienny (...) Od czasów unii lubelskiej w r. 1569 i unii brzeskiej, o pokolenie późniejszej, aż do III rozbioru Wielkie Księstwo Litewskie było państwem kulturalnie i językowo białoruskim. Wpływy polskie były znaczne, ale o wiele mniejsze niż to się dziś sądzi. Na przeszkodzie polonizacji stała odrębność konstytucyjna i wojskowa. Suweren, siły zbrojne, sądy i język urzędowy były odrębne. Nieraz nawet polityka zagraniczna Litwy była odrębna. Ale nie miało to wiele wspólnego z Litwą etnograficzną czy językową (...) wszelkie dokumenty dotyczące Litwy — przywileje, nadania, orzeczenia itd. — formułowali po białorusku”. Dalej Jeśmian konstatuje: ” (...) tzw. polityka mniejszościowa II Rzeczypospolitej była katastrofalna w



założeniu i bezmyślna w wykonaniu. Dotyczyła m. in. również Białorusinów".

Kunsztowną białoruszczyzną poezjował nie tylko cytowany wcześniej Joachim Chraptovicz, sposobiący się na kanderza księstwa; w samym, w istocie też białoruskim Smoleńsku podobnie poczynał sobie niejaki Bazilevicz (region wydał gromno pisarzy rosyjsko-białoruskich, na przykład Isakowskiego). Rozbrzmiewał ten język w kolegium dominikańskim w Zabieliach koło Połacka, w utworach trójcy autorskiej w osobach Kajetana Maraszeuskiego (autora „Komedyi”, znaczącego utworu nowobiałoruskiego), Michała Ciacierskiego (białoruska przeróbka „Lekarza mimo woli”) i Ihnata Jurevicza, wykładowców retoryki, poetyki, filozofii, a także w scholarum unickim w Żyrowiczach pod Słonimem. Godzi się podkreślić raz jeszcze: Tadeusz Kościuszko nawiązywał do mowy białoruskiej nie tylko w godzinie najwyższej konieczności; z przekonaniem głosił równość praw i obowiązków obywateli bez względu na ich wyznanie i narodowość w Rzplitej Wielu Narodów, niestety gasnącej. Gdybyż mu się powiodło! („Dziennik Poznański” — „Pieśń białoruska o Kościuszcze”). Karatkievicz z uczuciem śpiewał u Maldziszów tchnące orszańskim junactwem: „Anusiu, serdenko, palisz moju duszu”. Na niezłym cyku ruszyłem z Wałodzką (on nie pije!) „w Białoruś”, skończyło się na pobliskiej przecznicy imienia Very Charuzaj, gdzie poprzednio mieszkał. Fama koleżeńska niesie, że ów autor „Moich niedźwiedzi” naprawdę chował misia w swoim M-3, a kiedy bydlę nabrało tuszy, zwrócił je Puszczy Nalibockiej...

Ktoś niegłupio powiedział, że dyskusje są po to, aby utwierdzić się we własnym mniemaniu. I że o sensie życia decyduje obecność dążenia, które organizuje w nas wszystko, owej siły dośrodkowej; bez niej wszelka konstrukcja zamienia się w beżyteczne rumowisko. Bez owego Żywego Boga Człowieku

nie ma nic — mawiał Antoni Czechów. I pytał: W co naprawdę wierzysz, brachu?

Z tej podróży po Białorusi wywiozłem jakże pogłębioną pewność, że nie jestem na mylnej drodze i nie zmarnowałem podarowanych mi lat, oddając się duszą i ciałem sprawie wielowiekowych zmagania i braterstwa Białorusinów i Polaków.

W 1966, kiedy ukazała się w BSRR książeczka profesora Maldzisa „Tworcze pabracimstva. Biełaruskaja-polskaja litaraturnaja uzajemasuviazi u XIX stahoddi” („Twórcze braterstwo. Białorusko-polskie związki literackie w XIX wieku”), nie znałem osobiście jej autora, po uszy ubabrany w prowincjonalnej głuszy, w tej zabiłostockiej resztówce kresów wschodnich. Jednakże ujął mnie ten, nie znany mi wówczas badacz, śmiało wykazując idiotyzm pewnej koncepcji, a mianowicie: za stalinizmu celowo ignorowano więzi pomiędzy literaturami białoruską i polską, wręcz przemilczano je, wytwarzając swego rodzaju negatywną tradycję, bezzasadnie podkreślającą oddziaływanie piśmiennictwa rosyjskiego, o którego to wpływach na Białorusi można mówić dopiero u schyłku stulecia powstań. Zresztą Rosjanie uważali dokonania Białorusinów za prowincjonalny wariant polskiej literatury. Psychiczna aneksja przez nich Litwy historycznej nastąpiła w czasach boomu kapitalistycznego, unarodowiania się mas ludowych.

Referat poświęcony omówieniu stopnia naszego pokrewieństwa wygłoszono już na piątym zjeździe slawistów, dzięki Łojce i Piorkinowi. Śliskie to było w owych latach, takie odgruzowywanie łączności Krywiczów z Lechitami. Warszawsko-krakowskiemu wyobrażeniu „ziem za Bugiem” owo tabu też jakoś dogadzało... I dogadza?

W londyńskiej Bibliotece Skaryny wynotowałem smakowite drobiazgi z lektur, w jakich się pograżałem. Rodzina Franciszka Bahuszevicza otwarcie nienawidziła absolutnie wszystkiego, co choćby pachniało białoruszczyzną. I nie dziw, że najsilniej

właśnie Jego samego. Archiwum zmarłego poety, pozostawione w takich rękach, musiało przepaść. Bezspornie ustalono: bywał on polonofilem — w przeciwieństwie do gomonołowców z ich wizją Białorusi w kontekście rosyjskim nie wyobrażał sobie przyszłej Białorusi jako kraju „czysto” niepodległego. Ów weteran sześćdziesiątego trzeciego roku z bólem musiał zauważać topnienie demokracji wśród Polaków. Znał go „towarzysz Ziuk”, czyli Józef Piłsudski. W wileńskim mieszkaniu Franciszkostwa konstituował się komitet obchodów setnej rocznicy Mickiewiczowskiej. Na wieczorze u wielmożnej pani Dmochowskiej pan Franciszek recytował: Chmarki cionnyja, maje bratańki... Nigdy nie wstąpił do konspiracji walczących o niezawisły byt Białorusi, ani też do polskiej czy do rosyjskich narodników. Wszędzie jednakże podkreślał swą odrębność. Zmoukli pieśni tyja, szto ihrau na dudcy — te słowa wypisali żałobnicy na ręczniku z wiankiem jodłowym, który złożyli na grobie Piśniara (po pogrzebie „ktoś” zniszczył napis). Jan Karłowicz nie miał już komu poruczyć ułożenia słownika mowy białoruskiej (Nosowicz, twórca jego początków, od dawna nie żył).

Zygmunt Nagrodzki, zdaje się, że piłsudczyk, wyłożył sto rubli na drugie wydanie „Białoruskiej dudki” u tegoż Anczyca w oficynie krakowskiej; sam Piłsudski przeszwarcował przez graniczne straże rosyjskie blisko dwie setki egzemplarzy (za pud takiej kontrabandy buliło się... czterdzieści rubelków).

Nie od rzeczy będzie dodać, iż Konstancja Bahuszeviczówna, obdarzona cudownym altem, zapowiadała się na nieprzeciętną śpiewaczkę i gotowała do kariery w mediolańskiej La Scali. Kries jej planom położyła choroba gardła.

*Kupka drewek dogorywa  
Na kominku w chacie,  
A cos w sercu się odzywa:  
Tak i z tobą, bracie.*

*Inny ogień tutaj buchał,  
Ogrzewał i świecił.  
Każdy patrzył weni i słuchał,  
I swój płomyk niecił.*

*Nie zapłonie on tu więcej,  
Nie rozbłyśnie łuną,  
Zamrze, jak głos twej dziecięcej  
Liry z jedną struną.*

Eliza Orzeszkowa, sprawiedliwie zresztą wywyższając białoruskie poezjowanie swego przyjaciela nad polskie, miała na myśli wersy o wiele poważniejsze (aniżeli zacytowany wierszyk (sztambuchowy?). Doskonałość warsztatu — tak jest! — nie gwarantuje mistrzostwa.

Działacze odwołujący się do Bahuszevicza (o którym „towarzysz Ziuk” miał powiedzieć Nagrodzkiemu: Ot, taki sobie adwokacik...) eksponowali jego dokonania pozaliterackie. Gorszyło to srodze estetów, traktujących ruchawkę Młodo-Białorusinów jako pochodną zaczynającą się wśród nich — po szoku rządów Murawiewa — odnowy kulturalnej. Aleksandar Ćvikiewicz tak o tym mówi: „Pierwsze rzeczywiste ukazanie idei białoruskiej i jej świadome ustalenie jako idei nie prowincjonalno-polskiej ani też prowincjonalno-rosyjskiej, lecz samodzielnej, niezależnej od jednej lub drugiej strony, należy z pewnością wiązać z działalnością Franciszka Bahuszevicza” („Zapadno-Russizm”, Mińsk 1929, BSRR).

Jak tu się z tymnie godzić... No tak, w „Muzyckiej Prawdzie” brak jest takich pojęć: Białoruś, naród białoruski. To ekstremalnie narodnickie pisenko trzeba uważać raczej za zorzę poranną nad przecierającą oczy Białą Rusią. Narodowość tej krainy póki co czekała swej formuły. Kastuś Kalinouski, alias Vasil Švitka, alias

Jaśko, haspadar spad Vilni, nie wyszedł poza kategorie Wielkiego Księstwa Litewskiego, państwowości tym razem w zamyśle chłopskiej (zdarzały się takowe, z reguły poronione, w czym nie sprzeciwiam się staremu Marksowi).

Wszelako w dwadzieścia dwa lata po opublikowaniu „Muzyckiej” grupa „Gomonu” nie mówiła już o Litwie, oświadczając:

Jesteśmy Białorusinami. To była bomba! (Termin „Litwin” nieodwołalnie przywał do Żmudzinów) Jednakże pańie głupstwo każdy, kto potraktuje tę deklarację gomonowców ściśle według dzisiejszych pojęć. Bezpieczniejsze i bliższe prawdy byłoby odwołanie się do swoistej dwustopniowości czy piętrowości drobiazgowo analizowanego już przez badaczy tzw. zjawiska narodu: Polak, ale Litwin (dla filomatów); Rosjanin, ale Białorusin; a we Francji: Francuz, ale Bretończyk. To znane choćby z fundamentalnej pracy J. Chłebowczyka „O prawie do bytu małych i młodych narodów”, (Kraków 1983). A czy dla Hryniawickiego i kolegów kult białoruszczyzny miał znaczenie trzeciorzędne? Ależtak! Pomyślmy — jeszcze przed stu laty!

Zachodził zwrot. O równe sto osiemdziesiąt stopni, z kierunku warszawskiego na petersburski. Zwracano się ku Rosji. Teraz stamtąd nasłuchiowano „dobrych wieściu”.

Bahuszevicz, jak reasumują znawcy epoki, to także narodnik białoruski, lecz bez afiliacji ościennych! Terminował u niego Adam Hurynowicz, młodzieniec uczony, który jednak nie przeżył swego mistrza (zmarł na czarną ospę, w dwudziestypiątym roku życia). Zrodzony z matki Polki i ojca — spolonizowanego szlachcica, przywodzi na myśl znusyfikowaną i równie liberalną rodzinę wielkiego Maksima Bahdanowicza. Osadzony w twierdzy pietropawłowskiej, ów budzący nadzieje poeta podupadł w więziennym rawelinie na zdrowiu; odesłano go na konanie do posiadłości rodowej Krystynopól koło Smorgonia (miejsce

policja oczywiście otrzymała odnośne rozkazy). W jego śmierć władze zrazu nie uwierzyły, wydawał im się zbyt szczywany!...

Nasza, Białorusinów, sytuacja emocjonalna, na dobrą sprawę pozostała nie zmieniona. Owszem, zaszły zmiany w samopoczuciu nowoczesnych patriotów. Jak i ongiś, co prawda, chodzą oni z przypinanymi im skwapliwie łatkami „nacionalistów” tudzież „separatystów”, ale o ileż pewniej poczynają sobie obecnie, czując grunt, jaki stanowi ukształtowana wreszcie kultura wszechbiałoruska. To nic, że nosi ona ciągle denerwujące „inteligenta zza stodoły”, niejskiego asimilados, zamię chłopskości (bardzo cenne zresztą i pozbawione drobnomieszczańskiej ksenofobii!). W Mińsku, Wilnie czy Białymstoku pomimo rewolucji społecznej sprawa wygląda identycznie, a różnice nie wykraczają poza specyfikę regionalną. Tu i tam obrzydłe gadanie: Pan stale tak, po białorusku? Jest pan pewnie z wiochy albo tutejszy artysta?... Aż proszą się tu wersy Tadeusza Konwickiego, choć może nie te, w których mówi, że chce pozdrawić Miłosza „ślicznie po litewsku i białorusku”. Na trzydziestej stronie pysznej książki „Kalendarz i klepsydra” wspólczuje: „Białoruś, Białoruś. Dlaczego nazywasz się Białoruś, jeśli nie masz w sobie bieli, jeśli bielą twoją są rude rżyska jesienne, jeśli bielą twoją są postawy szarego płótna wyłożone na słońcu, jeśli bielą twoją jest gorący pot umęczonych ludzi. Powinnaś się nazywać Dobroruś, powinnaś się nazywać Dobrą Ziemią Dobrych Ludzi. — Moje oczy są pełne Białorusi. (...) Nie wryłaś się w ludzką pamięć, Białorusi. Nie odbierałaś innym wolności, nie rabowałaś cudzej ziemi, nie mordowałaś ludzi zza sąsiedzkiej miedzy. Miałaś dla obcych szacunek i gościnny kołacz, miałaś dla rabusiów ostatnią krowę i ostatnią kromkę żytniego chleba ze znakiem krzyża, miałaś dla nieszczęśliwych krwawiące serce i biedne nie pieszczone życie do oddania. Dlatego mało kto ciebie pamięta. (...) Kiedy przypomnę białoruskie słowo, kiedy zawieje wiatr z północnego wschodu,

kiedy zobaczą płócienną koszulę ze smutnym haftem, kiedy usłyszą krzyk bólu bez skargi, zawsze uderzy mi żywiej serce, zawsze wyskoczy skądś łagodna tęsknota, zawsze pod wpływem raptowny chłód nieokreślonych wyrzutów sumienia, poczucia współwiny i zawstydzienia. — Białorusi, Białorusi szarozielona z ogromnym niebem nad płową głową, za dobra, za łagodna, za szlachetna jesteście na nasze czasy".

W nie zamierzony stuletni bez mała jubileusz zrodzenia się tu walki o prawo do życia i rozwoju rozpowszechniano w Białymstoku ulotkę: „Rodacy! Zapisujcie swe dzieci na lekcje języka białoruskiego w szkołach białostockich. Jedynie od waszej postawy patriotycznej zależy to, czy język nasz ojczysty zajmie należną mu pozycję w nich. Żadnych innych przeszkód nie ma i być nie może. Los narodu i los jego języka — to ten sam los. Grzebanie mowy swej równoznaczne jest z grzebaniem własnej narodowości. Więc nie porzucamy jej, abyśmy nie umarli!" — nawoływało po bahuszeviczowsku miejskie koło Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Ponoć ubierało się wskutek tego apelu trzydzieścioro uczennic i uczniów, co wywołało niemal sensację wśród wrogiego mieszczaństwa. Nikt — w tym i szlachetni inicjatorzy tej kampanii — nie oczekiwał tytułu młodocianych desperatów, którzy stawili się pomimo tradycji poniżania chłopczyzny-białoruszczyzny, o dziwo nad dziwami! — nie zatartej przez przewroty społeczne nobilitujące ludzkie doły (któż bowiem nie chce być pięknym panem?). Coś się odmienia jednak w tym zahukanim świecie parweniuzszy z pańszczyźnianą genealogią; dobijają na wyżyny człowieczeństwa, choć jeszcze zalewani biskajskimi grzywaczami samopogardy i samoopluwania się rabów. Hołyszostwo zawstydzia najdotkliwiej?

Doświadczenia światowe pouczają, że nie ma takiej ideologii, której nie próbowano by kontynuować, a także walczyć w jej imieniu. Nic w przyrodzie nie ginie, dworują wesołkowie...

Kalinouski, vel Chamowicz, korespondował z Bolesławem Dłuskim, komisarzem wojennym Białorusi i Litwy za granicą:

„(...) Nie dbam o nic, to przez okno na dach, to inszemi sposobami zawsze szczęśliwie z rąk ich (Moskali — przyp. S. J.) się wyślizgam. Opieka Boska czuwa nade mną, a jeśli przyjdzie zawisnąć, to niech tak będzie na pociechę wszystkim szlągom (panom — S.J.) litewskim i prześwietnej Moskwie”. Stało się tak, jak przeczuwał” w swych wisielczych żartach. Jego ideologiczny spadkobierca, Hryniawicki, desperacki carobójca z Białorusi w siedemnaście lat potem dogorywał rażony odłamkami rzuconej przez siebie samego bomby. Ihnat osiągnął zaledwie wiek młodszego brata Kastusia, a zginął Kalinouski w wieku 26 lat. (Pochwycono go — jak wiemy — z fałszywymi papierami na nazwisko Witożeniec; głupia, jak na tak doświadczonego „miateżnika”, wpadka w Murach Bazylikańskich).

Chłopomańskie idee narodowolców, tragicznie zbyt liczna bohaterszczyzna gołowących liberałów z dworów szlacheckich, klasowe całopalenie i rewolwerowa technika unicestwiania despotyzmu — z wolna przekształcały się w polityczną konspirację plebejską zrodzoną w proletaryzujących się miastach, których pośredniowieczne rogatki obrastały przyfabrycznymi slumsami. Nędza wraz z bezdomnością szerzyły się na niespotykaną skalę; wytryskiwały gejzery nigdy nie widzianej w takim natężeniu lutej nienawiści ubogich do bogatych. Ulice spływały krwią najemnej gawiedzi, zwanej robotnikami, pretendującej do roli demonstrantów, a kroczącej pod przewodem agitatorów, oblekających się w symboliczne już wkrótce komisarskie skórzane kurtki i kaszkiety. Klarował się ruch robotniczy, bardziej czytani organizowali kółka samokształceniowe; omawiano na nich temat wartości dodatkowej i wyzysku. Język białoruski zaczynał dźwigać objawione ludzkości abstrakcje filozoficzno-ekonomiczne. Wyrośli w nim fabrykanci i bankierzy pozowali mimo to na Rosjan lub Polaków (do dziś nie



dokopano się w archiwach wiadomości, choćby na pokaz, iż by choć jeden z nich czuł się Białorusinem; raczkująca ta narodowość zasilana na razie niewielką diasporę „białych kołnierzyków”). Sama Polska Partia Socjalistyczna na Litwie uznała widocznie za wystarczające skwitowanie osobliwości swego terenu kilku broszurkami, i to przeznaczonymi dla wsiowego malkontenta, „Hutarka ab tym, kudy muzyckija hroszy iduć” („Gawęda o tym, gdzie pieniądze chłopskie podziewają się”) albo „Jak zrobić, kab ludziom stała dobra na świecie...”

Prapoczątków trwale zorganizowanej emancypacji narodowej Białorusinów dziejopisarze dopatrują się około 1896 roku, zrodziły się one w zbiorowisku młodzieży krajowej studiującej w Petersburgu. Dane na ten temat czepano między innymi ze wspomnień Wacława Ivanouskiego (Wacław Iwanowski, w okresie międzywojennym profesor Politechniki Warszawskiej. Jego brat zaś, Tadeusz, jak to u nas bywa, wyrósł na wielkość kowieńskiej potem Litwy). Wyłoniło się wtedy nieformalne koło nieoportunistycznych studentów w stołecznym burgu imperatorów... Kruh Biełaruskaj Narodnaj Praświety to już rok 1902 i opętany wizją powstającej z kłęczek Białorusi Ivan Łuckiewicz, (wybieram się do Zakopanego, by złożyć tam kwiaty na Jego mogiłę). Biełaruskaja Rewalucyjnaja Partycja (Białoruska Partia Rewolucyjna) za jeden z celów stawia sobie druk i kolportaż twórczości... Franciszka Bahuszevicza! Programu na razie nie układano. Ten dokument inaugurujący nowożytną politykę białoruską przygotowuje ona po zmianie nazwy na: Biełaruskaja Rewalucyjnaja Hramada (Białoruska Rewolucyjna Gromada) — podczas zjazdu założycielskiego w kolejnym, 1903 roku; przymiotnik „Rewolucyjna” wkrótce zastąpiono innym — Socjalistyczna (wpływ PPS!). — Autonomia dla Białorusi z sejmem ustawodawczym w Wilnie; ziemia dla chłopów bez wykupu... Skończyło się jednak na tym, że ledwie posunięto się do marzeń o rozkoszach więzi federacyjnej w starodawnych

granicach, tj. z Litwą, Łotwą i Ukrainą! Dumę Państwową Cesarstwa Rosyjskiego, zanim dochrapał się premierostwa bezwzględny Stołypin, zasypywano petycjami na temat autonomii, jak też w sprawie nadziałów gruntów omych oraz unarodowienia szkół publicznych.

Reakcja rządu po uciszeniu owej „próby generalnej” przed rewolucją rosyjską i powstanie zorganizowanego podziemia białoruskiego. Z wierszem Bahuszeviczowym na ustach włoką się zesłańcy na Sybir. Aleś Harun, katorżnik w kopalniach złota nad Leną, wyzna: do PPS-u wstąpiła cała rzesza Białorusinów, i to oni zainicjowali Hromadę (między innymi — poetessa Ciotka). Ciągłe, bez wyjątku, katolicy. Patrioci prawosławni niedługo wyłonią się z podnoszących się nizin nędzy, przeważnie z kompleksami „niepańskiego wyznania” (elita społeczna była tradycyjnie wyznania rzymskokatolickiego). Pismo tygodniowe „Nasza Niva” — legalna ekspozytura owych czających się „separatystów” — układane wymiennie alfabetem łacińskim i cyrylicą grażdanką dla czytelników jednej mowy, lecz wyznawców antagonistycznych wobec siebie religii, spełniło rolę naród owo twórczą na tyle ważną, że nawet najwięksi staliniści, za mojej już pamięci, nie zdecydowali się pominąć go w swych groteskowo zafałszowanych encyklopediach!

„Nasza Doła” natomiast, akcja źle skalkulowana, upadła. „Svabodę” uduszono przy porodzie, zresztą nie sposób porównywać tego tytułu choćby z efemerydą „Gomona”. No, a „Mużykaja Prauda” była zjawiskiem bezdyskusyjnie przedbiałoruskim (jak to już sobie powiedzieliśmy). Epizod ze „Svabodą”, że do tego wróć, jest żenujący: nakład zniszczył sam redaktor, młody Ivanouski, przerażony awanturą zrobioną mu przez ojca, wysokiego urzędnika... Tak wygląda to zdaniem Jura Turonka, badacza z Warszawy. Wyobrażam sobie, jak studenciak Vacik (Wacusz) bajerował potem grono organizacyjno-koleżeńskie, adepta architektury Romualda Millera (z PPS-u), który to ładnie

zaprojektował mu pierwszą kolumnę — miano ją tłoczyć na cyklostylu — i swych pomagierów: braci Wołęjków, Leona Maleckiego z wileńskiego PPS czy Michałowicza, co pośredniczył w kupnie urządzenia... Tamten krzyk apoplektyczny „wapniaka” z wyorderowaną piersią jakoś rozumiem: pierworodnego syna, Jurkę, ściagała Ochraha, w międzyczasie przetrząsając warszawskie mieszkanie tego inżyniera fabryki Handtkego z niechęcią pensją itd.

Mickiewicz śnił o wojnie ludów, w której upatrywał szansę na wskrzeszenie Polski. Upolitycznieni Białorusini nie snuli rojeń na taką skalę. Ich ambicje miały wymiar przeciętny. Za szaleństwo uważali nawet postulat państwowości na wzór konstytucyjnego Królestwa Polskiego. Zadowoliliby się samodzielnością kulturalno-oświatową, uznaniem elementarnych praw, które nigdy niczym nie groziłyby Polakom, skoro nawet nacisk rusyfikacyjny nie zachwiał monolitem ich narodowości. Wmuszono Kongresowce dwujęzyczność w administracji oraz uwijano się wokół ruszczenia szkolnictwa średniego i wyższego. Wszystkie te wysiłki załamały się i tak w następnym pokoleniu, potęgując wbrew rachubom zaborcy zwieranie się żywiołu (Jarosław Iwaszkiewicz pisze o polszczeniu się młodych Rosjan, zawleczonych tu przez łasych na awanse rodziców).

Tak to widzę, wcale nie dziwiąc się „wybuchowi Polski” w osiemnastym roku.

Mistrz Adam nie mógł naturalnie dożyć tej pierwszej światowej, wobec której anglo-francuska kampania krymska i wspomagająca ją dywersyjka synów Lechistanu, co przybieżeli do Konstantynopola, jawi się z dalekości niczym dziecinna igraszka (przeczuwane przez Verne'a moce piekielne obudziły się). Przy czym uformowany rynek ogólnoiimperialny więcej — okazało się — działał na rzecz wiązania Polaków z Rosją niżli pierwiej armie Paskiewiczów. Cofające się w piętnastym roku „wzwoody” i „roty” przyzienny muzyk kielecki żegnał ze łzami: o rety, nasi odstępuje! Asymilacja państwowa poczyniła głębokie postępy.

Piłsudski mógł początkowo liczyć na parę tysięcy (ponoć trzy) rozgorączkowanych gimnazjalistów i kadrowców z Polskiej Organizacji Wojskowej (Henryk Sienkiewicz nie życzył sobie wizyty tych awanturników!). Procarscy puławczycy zarzuciliby czapkami kilkuset legionistów, których dowództwo austriackie ubogo uzbroiło w nie gwintowane strzelbiska z demobilu. Niepodległość była aksjomatyczną wizją „myśli nowoczesnego Polaka”, lecz wówczas zalatującą romantycznym cudactwem (Dmowski, realistyczne przeciwieństwo Komendanta, posługiwał się tu chłodną kalkulacją).

Na Białorusi wystarczała bezpieczna mrzonka (i to, być może, jedynie w domu Łuckiewiczów?). Myśli o utrzymaniu z Polską, rzecz rozumiała, coraz częściej nie dopuszczano! Pozierano przez czas jakiś na Litwę, na Ukrainę, ale tam nie ekscytowano się spadkiem po Wielkim Księstwie Litewskim, nikomu nie było spieszo zawierać ugody z nowo narodzonym i słabującym sojusznikiem, rzecz starano się więc rozgrywać na poziomie warszawskiej Rady Regencyjnej. Nie wiem, czy na Trzeciej Konferencji Narodów w Lozannie (czerwiec 1916 r.) z należytą atencją odniesiono się do memoriału deputacji Białorusinów: pragniemy stać się gospodarzami na swoim! Ten apel do narodów cywilizowanych — pierwszy białoruski dokument dyplomatyczny? — przeszedł najpewniej bez echa... Dobrze, jeśli dołączono go do jakiegoś protokołu, kto wie, czy nie zasadniczego w końcu, jako wzruszający dowód, iż urocza Europa niezbyt szczęśliwie powiła kolejną nację (ciąża przebiegała z niespotykanymi dotychczas komplikacjami). Chrzcziny odbyły się w wieku Chrystusowym.

Detronizacja i zgładzenie Romanowów też zbytnio nie wpłynęły na losy tego dużego dziecka. Wszechbiałoruski Kongres, wspomagany ideowo i materialnie przez resort Stalina i obradujący przez dwa tygodnie przedbożonarodzeniowe po Wielkim Październiku, (uczestniczyło w nim około tysiąca

dziewięciuset wysłanników wszelkich orientacji) upajał się zabawą w demokrację, o której w tej części kontynentu dokładnie zapomniano. Do chwili przerwania Kongresu zdołano jeno okrzyknąć Białosus republiką sprzężoną z Rosyjską i przegłosować rezolucję o ustanowieniu Wszechbiałoruskiej Rady Chłopskich, Żołnierskich i Robotniczych Delegatów, być może intensywnie zabarwionej programem eserów. Likwidację Białoruskiej Rady Wojskowej ostrożnie odłożono do jutra. Rada samego Kongresu liczyła siedemdziesięciu jeden członków — w tym piętnaście miejsc przeznaczono dla mniejszości narodowych (7 dla Żydów, 4 dla Polaków, 2 dla Rosjan, po jednym dla Ukraińców i Litwinów).

U schyłku głodnej i chłodnej zimy porowolucyjnej, na Kazimierza stanął, wymuszony dramatycznymi okolicznościami dla rewolucji, traktat brzeski, w którego paragrafach i artykułach nie wyczytamy ani słówka o Białorusi (terytonia na zachód od linii: Świeciany — Lida — Prużany odstąpiono Cesarstwu Niemieckiemu). W Mińsku zawrzało! Tajny Komitet Wykonawczy Rady kolportuje w lutym Ustawodawcze Posłanie, w którym podaje do wiadomości ulicy, że władzę przejmuje Sekretariat Białorusi (odpowiednik rady ministrów). Na akt brzeski zaś reaguje Drugim Posłaniem, obwieszczającym zakładanie Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL). Powtórzono w nim zasadę demokratycznego ludowładztwa (nasuwa się analogia z zachowaniami lubelskiego rządu ludowego).

Jeśli tego przedwiośnia ktoś jeszcze bąkał tutaj uparcie o autonomii jak o wciąż upragnionym celu, to był zapóźniony niedojda polityczny... Radośnie stawiano nagle wszędzie na samodzielność, wywieszając na balkonach biało-czerwono-białe flagi narodowe! Rada BRL, przemianowana z Rady Kongresu, 25 marca 1918 roku obwieszcza niezawisłość państwową, z tym, że o jej kształcie miały zdecydować zamieszkujące określony obszar narodowości (Białosusini, Żydzi, Polacy, Rosjanie, Litwini,

Ukraińcy). Po tak przełomowym wydarzeniu dominująca partia hromadowców szybko rozpadła się na mrowie ugrupowań i organizacji, od ugodowych poczynając, a na komunistycznych czy ekstremalnych kończąc. Żadna z nich, naturalnie, nie uzyskała rozstrzygającej pozycji. Nie wyłonił się też nie kwestionowany przywódca moralny odpowiedniego formatu, nie mówiąc już o odpowiedniku „towarzysza Ziuka”. Sprawa grzęzła w paplaninie inteligentkich politykierów. Wzruszające do łez racje i argumenty deptanego przez historię narodu nie sprowadzały się — niestety — do zięjących ogniem pułków i dywizji a ich kompletny brak nikogo nie płoszył w tym rozległym państewku bez armii. Jak się słusznie domniemywa, do świadomości bezsilnie idealistycznego kierownictwa nie docierało również i to, że Białoruś, choć pozbawiona atrakcyjności ekonomicznej, posiada na swe nieszczęście unikalne położenie strategiczne, wręcz warunkujące bezpieczeństwo Rosji (kierunki uderzeń militarnych, ukraiński i nadbałtycki, od niepamiętnych czasów po dziś dzień miały charakter pomocniczy). Dlatego Europa, a szczególnie wyłaniająca się z niebytu Polska ze swą tendencją wschodnią, nie były zainteresowane w samoistności Białorusi, nikt nie uznał jej narodzin, nawet wycofujące się ze swego „Drang nach Osten” Niemcy kajzerowskie. Chodziło przecież o zachowanie bezbuforowej drogi na przełaj, do Moskwy; na jedną taką „poduszkę” przystano z gorzkim grymasem po stu pięćdziesięciu latach, przyzwalając w Paryżu, ale już nie w Londynie, na aranżowanie „Cudu nad Wisłą”, do którego na pewno nie doszłoby, gdyby na Kremlu wcześniej usadowił się, powiedzmy, Wrangel (Komendant, lis, dalekowzrocznie wykręcał się od udzielania wsparcia „białym!”). Głośna deklaracja Talleyranda na Kongresie Wiedeńskim, że Europy Zachodniej nie interesuje Polska w oderwaniu od Rosji — brzmi jak aksjomat, zwłaszcza w odniesieniu do Białorusi.

Pora na zwięzłą, końcową informację. BRL, pomimo iż była efemerydą, stanowiła katalizator procesów prowadzących do powstania białoruskiego państwa radzieckiego. W Sylwestra 1919 r. obwieszczono powstanie Socjalistycznej Republiki Białorusi, z bezwzględnie gwarantowaną przez wschód suwerennością.

Powtórka tego aktu miała miejsce 1 sierpnia, na jakiś tydzień przed wkroczeniem legionów galicyjskich do Mińska. Żywość republiki skończyłby się w niemowlęctwie, gdyby Naczelnik Państwa Polskiego przystał na proponowane o rok wcześniej przez Kraj Rad granice, sięgające aż do Podnieprza (po traktacie ryskim obszar BSR do 3 III 1924 r. przypominał województwo mińskie).

Marian Brandys pisze we wspomnianym już wcześniej „Królestwie Białorusi”: „Naczelnik i naczelny wódz odrodzonej Polski przybył 19 września 1919 roku do zajętego przez wojska polskie białoruskiego Mińska. Witają go olbrzymie tłumy radośnie podnieconej ludności, na czele z duchownymi wszystkich wyznań, biły dzwony w kościołach i prawosławnych cerkwiach. Na przemówienie prezesa Narodowego Komitetu Białoruskiego, Pruszyńskiego (Alesia Haruna — przyp. S. J.) naczelnik Piłsudski odpowiedział również po białorusku. Obiecał Białorusinom szeroką swobodę rozwoju kultury narodowej, mówił o autonomii, o lojalności wobec Rzeczypospolitej. Podkreślał w swym przemówieniu, że »jest synem tej samej ziemi, co zebrani i dlatego może lepiej rozumie i odczuwa wszystkie biedy i nieszczęścia, które były jej udziałem. Każdy mieszkaniec tej ziemi — powiedział — rodził się niewolny, gwałt i przemoc panowały na niej. W tej wojnie raz jeszcze ta ziemia doświadczyła przemoc i gwałtu idącego ze wschodu i w imię najszczytniejszych ideałów braterstwa wprowadzającego terror «Piłsudski zapewnił ludność Mińska, że Polska i jej wojsko postanowiły przeciwstawić systemowi gwałtu i przemocy system swobody.» Ziemia ta sama rozstrzygnie, jak żyć ma, jakim prawem się rządzić — mówił —

będę dumny z Polski, będę dumny z moich żołnierzy, będę dumny wreszcie z samego siebie, jeżeli będę mógł tej nieszczęsnej ziemi dać najcenniejszy dar Boży — dar swobody «.

Towarzyszający wtedy Piłsudskiemu pułkownik Sławoj (przyszły generał Sławoj-Składkowski — ostatni premier Drugiej Rzeczypospolitej) wspominał po latach: »Nigdy później, w czasie największych tryumfów politycznych, nie widziałem tyle ognia, radości i satysfakcji w oczach Komendanta, jak wtedy w Mińsku...«.

Komendant w szarej maciejówce wierzył jeszcze wtedy, że uda mu się urzeczywistnić swoją umiłowaną ideę federalizmu, że potrafi stworzyć w środkowowschodniej Europie potężną federację państw czy narodów, w której będą żyli obok siebie w całkowitej zgodzie i na zasadach zupełnej równości: Polacy, Litwini, Białorusini i Ukraińcy, a w dalszej perspektywie może także: Łotysze i Estończycy — federację, która będzie wystarczająco silna, aby móc się przeciwstawić wszelkim zagrożeniom ze strony zaborczych sąsiadów<sup>21</sup>.

Brandys nie dostrzegł, że właśnie Piłsudski i właśnie Sławoj-Składkowski bezwstydnie rozprawiali się potem z resztkami kulturalnego i narodowego życia Białorusinów i innych mniejszości, cały czas tłamszonych przez endeckie w swej istocie moralno-politycznej społeczeństwo! Ów wszechmocny Dziadek, skory przecież do „rzucania miechem”, ów schludny i rzeczowy Sławoj, ani razu nie huknęli na swych wyfrakowanych ordynansów, zajmujących sanacyjne stanowiska: Dość, dajcie im odsapnąć!... — Dusiliśmy i będziemy dusić! — uciął tenże pan premier skargi delegacji prześladowanego Towarzystwa Szkoły Białoruskiej i Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury, po czym bezzwłocznie nakazał bezzwłoczną likwidację tych organizacji, już ostatnich. Był grudzień 1936 roku.

---

<sup>21</sup> Marian Brandys, op. cit., s. 5-6



Bo też nie szło im o rzeczywistą wolność, lecz o rozbięcie kolosa Rosji cudzymi rękoma tak, by cofnęła się ona gdzieś hen, za Smoleńszczyznę... Nigdy nie uznano by wyłącznie białoruskiego terytorium, z Litwy zrobiono by województwo kowieńskie, a Ukrainę zredukowano do Kijowszczyzny (w myśl ujawnionego teraz traktatu z dysponującym — w przeciwieństwie do Białosinów — siłą zbrojną Petlurą. Federacja ta przypominałaby zarastający staw z kilkoma rybkami i szczupakiem! Tak rozumiano by ową lojalność, którą wybijał w swej wrześnieowej oracji ów szlachcic z litewskim nazwiskiem i w polskiej maciejówce, chory na manię antyrosyjską i dysponujący najpotężniejszą tutaj siłą zbrojną.

Działy twarde prawa najazdu! Za Zbigniewem Załuskim, również pisarzem historycznym, cytuję peowiaka i piśsudczyka Antoniego Zalewskiego, który alarmował centralę w dobie wyprawy kijowskiej: „Dzieją się przechodzące pojęcie nadużycia: wyprawy kame z żandarmerią, wojskiem, karabinami maszynowymi, batożenie ludności, ściąganie kontrybucji zupełnie dowolnie nałożonych, wyrzucanie służby folwarcznej na bruk przez żandarmerię bez wyroków sądowych etc.”<sup>22</sup>. Podpułkownik Kościakowski dodawał, że Litwę i Białoruś traktuje się jako kraje podbite. Z drugiego oddziału dowództwa białoruskiego obszaru operacyjnego 4 armii donoszono z godnym szacunku obiektywizmem: „Społeczeństwo polskie (miejscowe — S. J.) w ogóle w entuzjastycznej dążności do połączenia się z Polską nie uświadamia sobie tego, że jest mniejszością narodową, że musi sobie ułożyć stosunki z ludnością miejscową, nie pogłębiając antagonizmów, że największą na przyszłość siłą naszą może być wpływ moralny, a nie jaskrawy szowinizm i nietolerancyjność”<sup>23</sup>.

---

<sup>22</sup> Zbigniew Załuski, op.cit., str. 39.

<sup>23</sup> Ibid. s. 41.

Było tak źle, że, jak uzupełniano w wyraźnej panice, „ludność żałuje nie tylko bolszewików, ale nawet Niemców!”

Doktor Ćvikiewicz pod koniec 1925 rezygnuje ze swej naczelnej funkcji w rządzie białoruskim na obczyźnie. Realistycznie oceniając sytuację geopolityczną, wraz z częścią wychodźczego gabinetu ministrów wraca do kraju. Ten sukces dyplomacji młodobolszewickiej, niezwykle giętkiej wówczas, to przygłuszenie emigracji, karmiącej się wyidealizowaną wizją BRL i naciągany nieco heroizmem Powstania Ślucckiego (spóźnionego zapachu zbrojnego pohromadowskich eserowców, który wybuchł, kiedy w Rydze kończono redagowanie traktatu między Polską z jednej strony a BFSRR z drugiej. Dom Białoruski, jak z sympatią nazywano w kołach patriotycznych Białoruś mińską, metodycznie przekształcano w obiekt raczej cepeliowski... Sprawa Białorusi nie osiągnęła pułapu ogólnoeuropejskiego. I niemądre byłoby oburzanie się na to czy pomstowanie.

W 1879 — gdy w samym Bahuszeviczu za ledwie kielkowało poczucie prawdziwej ojczyzny, a nie była nią ta, którą skwapliwie mu podsuwano — w rodzinie diaka Kreczeuskiego, koło Kobrynia, urodziło się dziecko płci męskiej, któremu nadano imię Piotr, Grzebiącemu się na ziemskim padole ojczulkowi zapewne ani w głowie powstało, że jego syn to przysły apostoł Dobrorusi błękitnookiej, że czeka go męczeństwo i zgon tragiczny, oplwanego, w rechocie judaszowym (Praga, 8 III 1928 r.). Piątro Kreczeuski pisał: Romantyzm idei tworzy rzeczywistość... Rzeczywistość podporządkowuje słabszych... Słaby ma do dyspozycji jeden niezawodny oręż — szlachetność.

To przypadek klasyczny. Wszyscy Go opuścili. Odchodził w samotności przenikliwej, nędzarz, lecz nie duchem!

Lata dwudzieste. Białorusini poszli dalej w czas i historię, mimo przeciwności losu, już własnym traktem i o własnych siłach. Białoruś, dotychczas kadłubowa, niepowstrzymanie rozrastała się do swych obrzeży naturalnych. Było to możliwe

dzięki poparciu partyjnej góry w Moskwie. Polonofile ulegali degradacji, trzymani przez Belweder w sytuacji dorywczo odwiedzanej kochanki (oczekującej małżeństwa tylko z kobiecego nawyku). Stali się oni elementem folkloru politycznego, by zamienić się w proch i popiół dosłownie w przeddzień września 1939, kiedy to Rydz Śmigły w końcu ruszył do realizacji drakońskiego planu „umocnienia polskości” kraju. Od tego momentu tylko powiatowy zachodniobiałouski głupiec mógł hołubić złudzenia co do szans mniejszości. A były te nadzieje bynajmniej nie peryferyjne w Polsce przedmajowej i wcale nie zdeprecjonowały się tak mocno po osławionym pogromie Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady i rozprawieniu się z zespołem jej przywódców pod egidą kongenialnego Branisława Taraszkiewicza (styczeń 1927 r.).

Trudno mi mówić całkiem zwyczajnie o tym człowieku, wyniesionym przez czas i wydarzenia na piedestał nowoczesnego symbolu naszego narodu; cisną się na usta same wznioste, więc wytarte słowa. Wczytując się któryś raz z rzędu w „Rzecz o Bronisławie Taraszkiewiczu” Aleksandry Bergmanowej, książkę prześwietną i pewnie dlatego wydaną przez „Książkę i Wiedzę” w nakładzie niepotrzebnie małym (1977 r.), zamyślam się rzewnie: pamięć o Nim jest niczym owe ziarenko, w którym zawiera się cały kod genetyczny rośliny. Kto nie zna losów Taraszkiewicza i kolei Jego dokonań, ten nie zrozumie Białorusinów i Białusi! Jako gimnazjalista angażował się On w polskie podziemie niepodległościowe w Wilnie (jeszcze w trzydziestym ósmym wiało tu Antoniemu Słonimskiemu „smutkiem wschodu”). Znał wielu przyszłych prominentów Drugiej Rzeczypospolitej (vide: zdjęcie jakby z majówki, chłopcy i dziewczęta — to koło „Wyzwolenia”). Wchodzi też w rodzącą się pod wpływami socjalistów konspirację białoruską, błyszczy talentami znakomicie zapowiadającego się naukowca na uniwersytecie carskim w Petersburgu, pisze i wydaje w osiemnastym — nareszcie! —

pierwszą gramatykę języka ojczystego. Był członkiem loży masońskiej „Prawda”, w której stykał się między innymi z Wieniawą-Długoszowskim, Arciszewskim, Prystorem, Stpiczyńskim, Andrzejem Strugiem; w „Przymierzu” Wakara z lewicy belwederskiej ogłasza „Białoskie postulaty polityczne” (apeluje do obozu Piłsudskiego o przyjęcie wyciągniętej dłoni Białorusinów!). Współanimuje jakieś towarzystwo przyjaźni białosko-polskiej, uśmiercone narastającą obojętnością społeczną. Niebawem staje się liderem licznej wtedy białoskiej reprezentacji poselskiej w Sejmie (25 kwietnia 1925 roku oświadczy z trybuny parlamentarnej: „(...) byliśmy przez chwilę naiwni, uwierzyliśmy w iluzje konstytucyjne, sądziliśmy, że traktaty i konstytucje istotnie gwarantują prawa polityczne i narodowościowe. Przyszliśmy do tego Sejmu, aby walczyć o autonomię”). Jeszcze miał pretensje, jeszcze wierzył — jeszcze nie czuł się zmuszony do szukania dla swej narodowej sprawy alternatywy w ruchu komunistycznym, z którym walczył od samego 1917 r., a przez 'działaczy którego był od pewnego czasu pilnie obserwowany (w zimie tegoż roku zjawił się w Białymstoku przy Młynowej 22 tajny emisariusz z Mińska, wysłany przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Na hasło: „Ja przywioz przywitańnię dla Fani” (Przywiożem pozdrowienia dla Fani) — wyszedł go przywitać krawiec Cygielnicki z łączności centralnej. Wysłannikiem obarczonym także zadaniem dotyczącym Hromady okazał się Mikołaj Arechwa — znany działaczom PRL jako Mikołaj Orechwo, pułkownik UBP).

Na białostockim procesie komunistów słynna bojownicza Viera Charużaja — powieszona później przez gestapowców — usłyszy od sędziego: Dlaczego oskarżona odpowiada po białosku, czyżby nie znała języka polskiego?

Wśród komunistów białoruskich dominowały w latach dwudziestych nastroje euforii z uzyskania własnej państwowości,

w olbrzymim wręcz tempie budowano struktury, mające posłużyć za solidną konstrukcję szybkiego rozwoju kultury i świadomości narodowej u Białorusinów. W nowej dekadzie właściwie idea narodowości białoruskiej rozlała się szeroko w masach, przeistaczając je z bezoblicza etnograficznego, wydobywając z amorficzności. Naród tworzy państwo — państwo tworzy naród.

Adamczyk w powieści „Hod nulavy” („W roku zerowym”), dalszym ciągu wspomnianej „Czuzoj baćkauszczyny” („Obcej ojczyzny”) relacjonuje następujący dialog, jaki wywiązał się między dwoma zahukanymi przez granatową defensywę działaczami białoruskimi gdzieś w stołpeckim okolicy:

„— Być może ktoś nam da państwowość?

— Czego jak czego, ale państwowości i wolności nie dają za darmo, o nie trzeba walczyć.

— (...) Siedzimy cichutko i nawet boimy się odezwać, żeśmy Białorusini (...)

— Oduczono nas, przez wieki całe tłamszono (...)

— (...) O, Polacy, gdy nie mieli wolności, ileż to łez wylali. A teraz, widzisz, jak dają nam w kość. — Caryk chwycił Micie za koszulę”.

Wzajemne związki białorusko-polskie stale i prędko topniały za sanacji, niczym śniegi na wiosnę. W Drugiej Rzeczypospolitej niemal przestały istnieć. Ci, którzy starali się przywrócić im zniszczoną świetność, popadali w izolację, a jeśli byli nieustępliwi — do więzień.

Badacz polskiego nacjonalizmu profesor Roman Wapiński przypomina to, co jeden z publicystów Narodowej Demokracji pisał w polemice z dziennikarzem socjalistycznym: Tak jak i my walczyliśmy o demokratyzację, ale gdy dojdzie do pełnej demokratyzacji społecznej, to dopiero zobaczycie, jakimi nacjonalistami są Polacy.

Z mowy obrończej adwokata Eugeniusza Śmiarowskiego na procesie Hromady w 1928 roku:

„Jeśli chodzi o Taraszkiewicza... Dlaczego został nazwany przez pana prokuratora »północnym barbarzyńcą«? Czy dlatego, że przetłumaczył w więzieniu do ostatniego wiersza »Iliadę«, a obecnie tłumaczy na białoski »Pana Tadeusza«?... Dlaczego nazywać barbarzyńcą człowieka, który przyswaja kulturze białoskiej arcydzieło poezji polskiej; czyż trzeba było przeciwko temu człowiekowi (...) wytoczyć trwający miesiące proces, czy nie należało raczej znaleźć innej drogi, by tych ludzi, którzy w okresie przełomowym szukali wspólnych dróg z Polską, których kultura wiąże z Polską (...) zachować dla Polski? (...) Taraszkiewicz — była to wartość, którą można było dla Polski zdobyć, w Taraszkewiczu zbierały się promienie idące od wsi białoskiej, Taraszkewicz był ogniskiem wielkich sił i one te skarby mógł przynieść Polsce nie w ofierze, nie w daninie, nie w postaci komego daru poddanego, lecz na podstawie równowartościowej wymiany. Lecz zamiast harmonii, zamiast wybaczenia sobie różnic, wynikających z odmiennego charakteru obydwu narodów, cóż mamy? Mamy demagogię, nienawiść szowinistyczną, traktowanie Białosinów jako obywateli drugiego rzędu i wreszcie, jako likwidacja, następuje proces”.

Na sentencjonalnej wypowiedzi tego działacza „Wyzwolenia” można by skończyć opowieść o miłości długiej, acz nie spełnionej, jaką żywiły do siebie bratnie serca. Ale nie wypada tak minorowo urywać tej ballady. Więc dodajmy kilka akordów.

Ozga-Michalski w pięknym i mądrym wierszu „W stulecie urodzin Janka Kupały” — pisze (po ostatnim pobycie na Białosii):

Sto cymbalitek bardzo pięknych,  
oczy niebieskie, włosy blond,  
zasiadło w samym środku pieśni,  
na strunach z młoteczkami rąk.

Z mysią o wszystkim, co jest tobą  
struna do struny dźwięczy prosto,  
ten dźwięk już twoją jest osobą,  
kują cię młoteczkami ostro.

Jakby Mickiewicz nas tu rzeźbił  
z Kupalą młodszym swoim bratem  
dwoma dłutami w jednej pieśni  
nad narodowym poematem.

Prawda stopniowo musi olśnić  
inaczej wszystkich nas oślepi,  
jak błyskawica małe dzieci.

Geniusze muszą długo świecić,  
bo kiedy słowo się wypowie,  
myślicie, że to już po słowie?

Przedtem niektórzy tak mówili;  
ono zaczyna żyć w tej chwili.

Podnowogródzki ród Kastrowickich wydał twórców najwyższej rangi: Apollinaire'a, wołanego przez swych francuskich kolegów: Kastro, i Kahanca, sumienie uczuć białoruskich. Urodzeni na popowstaniowym wygnaniu — pierwszy w Rzymie, drugi w Tobolsku — pomarli w tymże osiemnastym, w którym zmartwychwstały ich ojczyzny, Polska i Białoruś. Hajasz Leuczyk-Laukovicz (Eliasz Lewkowicz) ze Stonima, ten urzędnik magistratu miasta Warszawy i tłumacz „Dziadów”, zarazem ceniony liryk z kręgu „Naszej Nivy”, zginął, być może, na AK-owskiej sierpniowej barykadzie Powiśla czy Starówki... Widziano go żywym po którymś z bombardowań. Studiował w Szkole Sztuk

Pięknych, tej samej, którą w pół wieku później kończył Jasza Bursz (Anisiarowicz), baranowiczaniec, a dzisiaj awangardowy poeta białoruski i artysta-malarz warszawski. Prezes Związku Literatów Polskich, Jan Józef Szczepański, opowiadał mi o tym, jak jego rodzice gaworzyli sobie po białoruski!... Melchior Wańkowicz pasjami lubił ten język, wręcz natrętnie wyjaśniając w którymś z numerów tygodnika „Kultura”: jestem także Białorusinem! Ferdynand Ruszczyk, uczeń znakomitego Szyszkina, w latach trzydziestych nie rusza się ze swych kresowych stron. Wychowuje świetnych pejzażystów: Jazepa Drazdowicza, Piatra Siarhijewicza — białoruskiego Matejkę, Jazepa Horyta, pozostając artystą obu kultur... Gdzieś w warszawskich salach wystąpiła pierwsza białoruska trupa Ilnata Bujnickiego w muzycznej oprawie Ludomira Rogowskiego. W jej repertuarze znajdowały się między innymi inscenizacje „Chama” i „W zimowy wieczór” Elizy Orzeszkowej. Był wtedy rok 1913 i profesor Jauchim Karski (z chłopów grodzieńskich) po złożeniu urzędu rektora Uniwersytetu Warszawskiego, zabierał się do pracy swego życia, trzytomowego dzieła „Białorusini”. Wkrótce „Echo Literacko-Artystyczne” piórem Rogowskiego zwróci uwagę na wielki dar poetycki Maksima Bahdanowicza, syna emigranta z Powołża, na którego geniuszu literacka Białoruś poznała się, niestety, grubo później (suchotnicza śmierć tego młodzieńca wydłużyła rejestr tragedii najbardziej zaszczonego narodu Europy).

Można by długo przytaczać życiorysy jednakowo znaczące tu i tam, i fakty, nawet z wczoraj (Emilia Kunawicz z Wrocławia i jej polsko-białoruska książka autobiograficzna „Serce nienasycone”). Uświadamiam sobie jednak, że dość już, czas kończyć. Nie zamierzałem przecież pisać monografii, lecz tylko mówić o tym, o czym nie myślimy, a powinniśmy myśleć, i o tym, czego nie wiemy, a co wiedzieć trzeba, i o tym, jak dalekie bywa nam bliskie — a dotyczy to wszystkich w tej części globu.



*1980-1981*

**P.S.** Odnaleziono grób Alesia Haruna (Aleksandra Pruszyńskiego) na cmentarzu wojskowym z 1920 roku w Krakowie. Pierwsze datki na jego uporządkowanie złożyli właśnie Polacy. Zgodne to z duchem wydanej niedawno książki „Białorusini... Nasi wrogowie — czy bracia?”

*Jesień 1984*